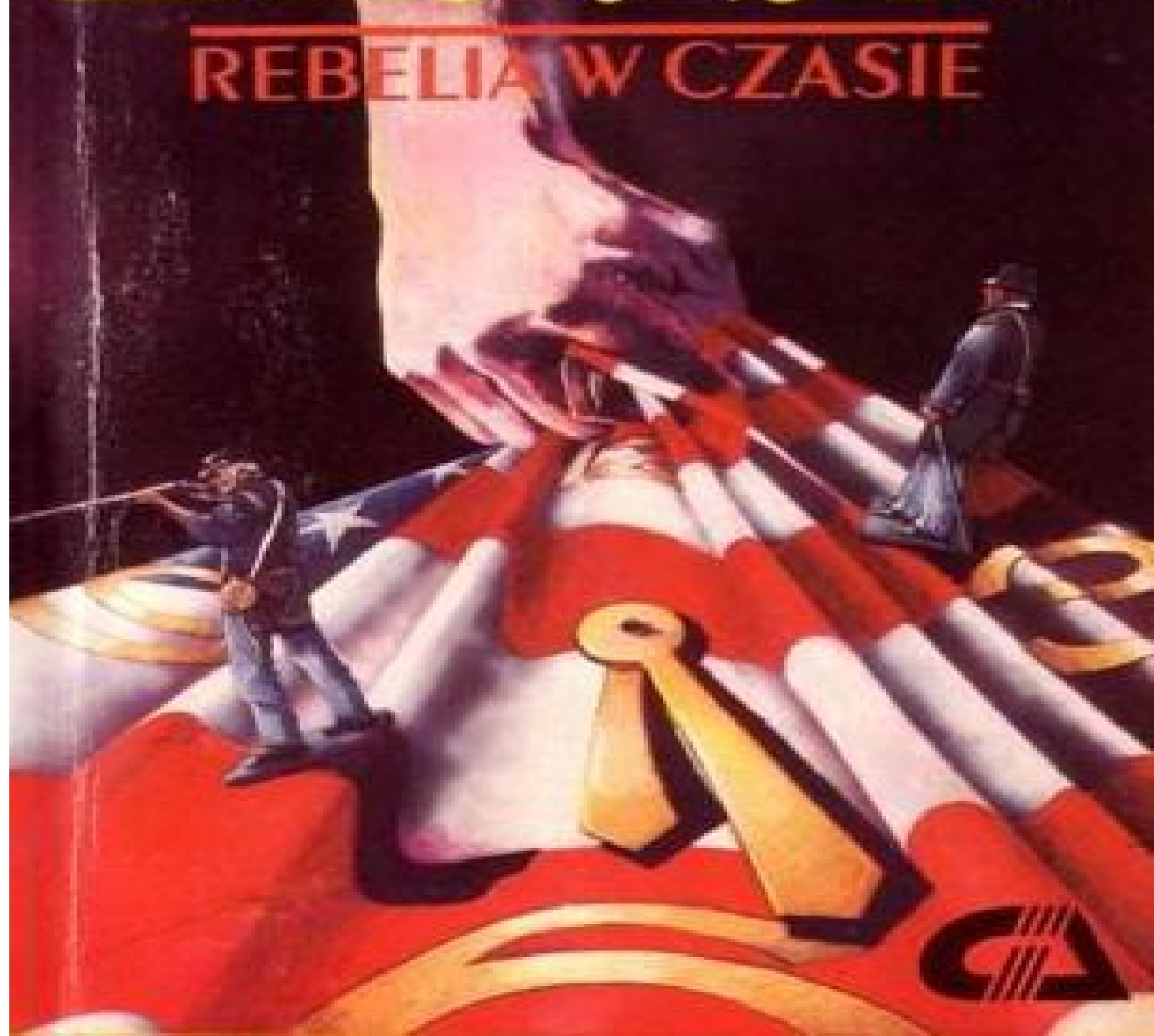


HARRY HARRISON

REBELIA W CZASIE



HARRY HARRISON

REBELIA W CZASIE

(przekład: Grzegorz Kołodziej)

Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

ROZDZIAŁ 1

Szeroka, sześciopasmowa droga Capital Beltway owija Waszyngton betonową pętlą, robi rozległy łuk przez zalesiony obszar Wirginii, dotyka rogatek Aleksandrii, miasta – sypialni, i dalej biegnie prosto przez rzekę Potomac aż do Maryland. Ziemia jest tutaj tańsza niż w Waszyngtonie, nic więc dziwnego, że było to dobre miejsce na powstanie biurowców i nie zanieczyszczających środowiska fabryk, gwałtownie wynurzających się z leśnych wyrębów. Droga wylotowa numer czterdzieści dwa odgałęzia się w tym rejonie i prowadzi do rozwidlanej autostrady. Tuż przed znakiem zatrzymywania się biegnie nie oznakowana szosa, która dalej ginie wśród drzew.

Stary Pontiac terkocząc skręcił z wylotu Beltway i wjechał na szosę. Już za pierwszym zakrętem stał biały budynek bez okien. Kierowca nie zwrócił uwagi ani na budynek, ani na napis na bramie wjazdowej, witający w Weeks Electronics Laboratory 2. Kiedy tylko budynek zniknął mu z pola widzenia, zjechał na pobocze i wyłączył silnik.

Gdy wysiadł z samochodu, zamiast trzasnąć drzwiami zamknął je bez najmniejszego odgłosu, stanął plecami do maski i patrzył na zegarek, obojętny na otaczające go wspaniałe złotobrunatne kolory jesiennych liści. Obsesyjnie wpatrywał się w zegarek. Przypadkowy obserwator zobaczyłby mężczyznę mającego ponad sześć stóp wzrostu, niebrzydkiego, a może nawet całkiem przystojnego, gdyby nie ostry nos nie pasujący do łagodnych rysów twarzy. Cokolwiek by o nim powiedzieć, jego równomiernie opalona skóra i ciemne, posiwiałe nieznacznie na skroniach włosy sprawiały, że był mężczyzną o szczególnym wyglądzie. Gdy wpatrywał się w zegarek, marszczył czoło; sądząc po zmarszczce między oczami ten wyraz twarzy nie był mu obcy. Miał na sobie nie rzucający się w oczy wojskowy płaszcz, granatowe spodnie i czarne buty.

Z niespodziewaną satysfakcją skinął głową, wcisnął przycisk przy zegarku, odwrócił się i zniknął między drzewami. Szedł cicho, ale szybko, aż dotarł do powalonego przez burzę dębu. Musiało się to wydarzyć całkiem niedawno, gdyż liście zaczynały dopiero więdnąć. Mężczyzna rzucił się na ziemię i czołgając się pod osłoną dębu, pokonał co najmniej piętnaście stóp, po czym wstał, by pędzić dalej.

W odległości mniejszej niż dwadzieścia jardów las kończył się porośniętym trawą borem biegnącym wzdłuż kolczastego ogrodzenia. Za nim rozciągał się trawiasty teren z porozrzucanymi gdzieś kępami drzew, zza których widoczny był róg budynku należącego do Weeks Electronics. Mężczyzna zaczął schodzić do rowu, ale po chwili błyskawicznie wycofał się i schował między drzewami. Kilka sekund później po drugiej stronie ogrodzenia pojawił się strażnik z owczarkiem niemieckim trzymanym na krótkiej smyczy. Gdy tylko zniknęli z pola widzenia, mężczyzna rzucił się do rowu. W biegu włożył skórzane rękawiczki i wdrapał się na szczyt ogrodzenia. Z ugiętymi kolanami i rozpostartymi ramionami balansował przez chwilę nad podwójnymi zwojami drutów, po czym zręcznie je przeskoczył i wylądował po drugiej stronie. Później biegł szybko z opuszczoną głową w kierunku najbliższej kępy drzew. Zanim zdążył tam dotrzeć, zatrzymał go gwałtownie hamujący przed nim dżip. Obok kierowcy siedział strażnik z karabinem wycelowanym w intruza, który wolno podniósł głowę. Strażnik bez słowa patrzył, jak wysoki mężczyzna powolnym ruchem ręki wcisnął przycisk przy zegarku.

– Dokładnie sześć minut, dziewięć i trzy dziesiąte sekundy, Lopez – powiedział.

Strażnik machinalnie skinął głową i opuścił karabin.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– To niedobrze, cholernie niedobrze! – Mężczyzna nazwany pułkownikiem wspiął się na tył samochodu. – Jedziemy do wartowni.

Okrzyżli laboratorium i skierowali się do niskiego budynku zasłoniętego od strony drogi dużym gmachem. Stojąca przy nim grupa umundurowanych mężczyzn w milczeniu obserwowała nadjeżdżającego dżipa. Siwowłosy strażnik z belkami sierżanta podszedł do zatrzymującego się pojazdu. Pułkownik wysiadł i wskazał na zegarek.

– Co myślisz o sześciu minutach, dziewięciu i trzech dziesiątych sekundy od czasu, kiedy z drogi dostałem się do lasu, do chwili, kiedy mnie zatrzymano?

– Nie myślę o tym zbyt dobrze, pułkowniku McCulloch – powiedział sierżant.

– Ja też nie, Greenbaum. Byłem w połowie drogi do laboratorium, gdy pojawiła się straż. Gdybym był intruzem, mógłbym w tym czasie dokonać wielu ciekawych rzeczy. Czy masz coś do powiedzenia?

– Nie, panie pułkowniku.

– Czy masz jakieś pytania?

– Nie, panie pułkowniku.

– Żadnych? Czy nie interesuje cię, w jaki sposób dotarłem nie zauważony do ogrodzenia?

– Interesuje, panie pułkowniku.

– To dobrze – przytaknął pułkownik McCulloch w sposób, w jaki przytakuje się niedorozwiniętym dzieciom. – Ale twoje zainteresowanie jest nieco spóźnione, sierżancie. Dokładnie o jeden tydzień. To właśnie tydzień temu spostrzegłem świeżo powalone drzewo blokujące częściowo pole widzenia jednej z oddalonych kamer. Tydzień czekałem na to, aż ty lub któryś z twoich ludzi zauważycie to, ale ponieważ nic takiego się nie stało, musiałem pokazać wam, jaką wagę przywiązujecie do ochrony tego terenu.

– Dopilnuję, by ochrona spełniała swoje zadania, pułkowniku.

– Nie, nie dopilnujesz, Greenbaum, ktoś inny to zrobi. Zostajesz zdegradowany, zwolniony, pozbawiony premii, a nagana będzie wpisana do twoich akt.

– Nie zostanie, pułkowniku McCulloch, gdyż porzucam tę pracę. Koniec z tym. Uciekam od pana i pańskich metod.

– Tak, koniec – potwierdził McCulloch. – Dobrze się określiłeś. Uciekinier. Uciekłeś po dwudziestu latach służby w Armii Stanów Zjednoczonych i teraz też uciekasz.

– Cholera, jeśli wybaczy pan to słowo, pułkowniku. – Greenbaum zacisnął pięści i poczerwieniał z wściekłości. – Odszedłem z armii, bo miałem dosyć takich metod jak pańskie, ale okazuje się, że nie odszedłem dostatecznie daleko. Pan jest dowódcą ochrony tego laboratorium, co oznacza, że jest pan za nią odpowiedzialny. Mamy robić to wszyscy, a pan ma nam pomagać, a nie bawić się z nami w kotka i myszkę. Idę stąd jak najdalej.

Odwrócił się i odszedł. McCulloch patrzył za nim w milczeniu i dopiero, kiedy Greenbaum był już daleko, zwrócił się do milczących żołnierzy.

– Jutro rano na moim biurku chcę mieć od każdego z was pisemny raport o tym zajściu. – Odsunął Lopeza od dżipa i usiadł w tyle. – Podrzuc mnie do samochodu – powiedział kierowcy. Gdy silnik zapalił, odwrócił się do strażników. – Wszyscy jesteście zwolnieni. Pieprzycie wszystko tak jak Greenbaum.

McCulloch nie oglądał się za siebie, gdy odjeżdżali.

Kiedy dżip był już w drodze powrotnej, otworzył bagażnik samochodu, zdjął płaszcz i wrzucił go do środka. Został w samym mundurze, na którym nie było ani odznaczeń, ani stopni z wyjątkiem srebrnych orłów na ramionach. Sięgnął ponownie do bagażnika, wziął czapkę i mocno osadził ją na głowie, po czym wyjął czarną dyplomatkę. Kilka minut później pojechał drogą MacArthur Boulevard w kierunku miasta.

Jazda nie trwała długo. Po przejechaniu kilku mil skręcił w duże centrum handlowe i zaparkował samochód w pobliżu filii DC National Bank. Zamknął samochód, zabrał dyplomatkę i udał się z krótką wizytą do banku. Po niecałych dziesięciu minutach wyszedł z budynku, wsiadł do samochodu i odjechał – śledzony przez cały czas przez mężczyznę siedzącego w czarnym Impalu zaparkowanym dwa rzędy dalej. Mężczyzna wziął do ręki mikrofon.

– Abel jeden do Abła dwa. George opuszcza teraz parking i kieruje się na południowy wschód, na MacArthur. Teraz jest twój. Skończyłem.

– Zrozumiałem. Bez odbioru.

Mężczyzna odłożył mikrofon na deskę rozdzielczą i wysiadł z samochodu. Był szczupłym blondynem ubranym w popielaty garnitur, białą koszulę i ciemny krawat. Wszedł do banku i skierował się do recepcji.

– Nazywam się Ripley – powiedział do recepcjonistki. – Chciałbym się widzieć z dyrektorem. Chodzi o pewne inwestycje.

– Oczywiście, panie Ripley. – Podniosła słuchawkę. – Sprawdzę, czy pan Bryce jest wolny.

Dyrektor wstał zza biurka i wyciągnął rękę na powitanie.

– Panie Ripley, czym mogę panu służyć?

– To sprawa wagi państwowej. Zechce pan sprawdzić moją legitymację.

Z zewnętrznej kieszeni marynarki wyjął skórzany portfel, otworzył go i podał przez biurko. Bryce spojrzął na złotą odznakę oraz legitymację w plastikowej oprawie i skinął głową.

– W porządku, panie Ripley powiedział. – W czym mogę być pomocny FBI?

Wyciągnął rękę, by zwrócić legitymację, ale agent powstrzymał go.

– Chciałbym, żeby potwierdził pan autentyczność tej legitymacji. Przypuszczam, że dano panu zastrzeżony numer telefonu, pod który należy zadzwonić w sytuacji takiej jak ta.

Bryce skinął głową i otworzył szufladę biurka.

– Tak, do tej pory korzystałem z niego jeden raz. Jest tutaj. Pan wybaczy.

Dyrektor wykręcił numer i po chwili przedstawił się rozmówcy. Podał numer legitymacji i zakrył ręką mikrofon.

– Chcą, abym im podał kryptonim sprawy.

– Proszę powiedzieć, że chodzi o dochodzenie w sprawie George'a.

Dyrektor powtórzył te słowa, skinął głową, odłożył słuchawkę i oddał legitymację agentowi FBI.

– Poinformowano mnie, bym współpracował z panem i dostarczył wszystkich dostępnych mi informacji o jednym z naszych klientów. Muszę jednak powiedzieć, że nie jest to u nas powszechnie praktykowane...

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie Bryce, ale proszę nie zapominać, że od tej chwili zajmuje się pan dochodzeniem w sprawie bezpieczeństwa mającym bezwzględny priorytet. Jeśli odmówi pan współpracy, będę musiał udać się do pańskich zwierzchników i...

– Nie, proszę! Nie o to mi chodziło. Źle mnie pan zrozumiał. Oczywiście, że panu pomogę. Miałem na myśli jedynie to, że wszelkie informacje o naszych klientach są zawsze tajne w normalnych okolicznościach, ale jeśli chodzi o bezpieczeństwo państwa, to rzecz ma się zupełnie inaczej. W czym mogę panu pomóc?

Bryce mówił bardzo szybko, wycierając chusteczką wilgotne czoło i ręce. Agent skinął głową, zachowując kamienną twarz.

– Doceniam to, panie Bryce, i mam nadzieję, że pańska dobrowolna współpraca będzie cenna dla śledztwa w sprawie naruszenia bezpieczeństwa państwa. Nie muszę chyba dodawać, że nikt nie

powinien się o tym dowiedzieć.

– Tak, oczywiście, z nikim na ten temat nie będę rozmawiał.

– Bardzo dobrze. Kilka minut temu pewien mężczyzna opuścił bank, dokonawszy jakiejś transakcji. Nazywa się Wesley McCulloch i jest pułkownikiem Armii Stanów Zjednoczonych. Nie, proszę tego nie notować, nie powinien pan mieć trudności z zapamiętaniem tej informacji. Proszę przynieść dokumenty wszystkich transakcji dokonanych przez pułkownika oraz dowiedzieć się, który pracownik go obsługiwał. Nie powie pan nikomu, dlaczego interesuje się pan tą sprawą.

– Oczywiście, że nie.

– Doceniamy to, panie Bryce; jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, poczekam tu na pański powrót.

– Oczywiście, proszę się w tym pokoju czuć swobodnie. To nie powinno zająć zbyt wiele czasu.

W przeciągu pięciu minut dyrektor był z powrotem. Starannie zamknął drzwi, przekręcił zamek, położył na biurku teczkę z aktami i otworzył ją.

– Pułkownik McCulloch dokonał zakupu...

– Płacił czekiem czy gotówką?

– Gotówką. Banknotami o dużych nominałach. Nabył złoto i od razu za nie zapłacił. Osiem tysięcy pięćset trzydzieści dwa dolary. Złoto zabrał ze sobą. Czy to jest ta informacja, o którą panu chodziło, panie Ripley?

Agent skinął głową i po raz pierwszy uśmiechnął się nieznacznie.

– Tak, panie Bryce. To jest dokładnie to, czego chciałem się dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 2

Sierżant Troy Harmon wracał metrem z Pentagonu, zastanawiając się, czego właściwie dotyczyło to cholerne spotkanie. Wszystko odbyło się w tak gorączkowym pośpiechu, że nie dowiedział się absolutnie niczego. W przeciwieństwie do innych, którzy szybciej mogli wydostać się z Union Station, sierżantowi nie zapewniono transportu do budynku na Massachusetts Avenue. Jechał metrem, patrząc na grubą i zapieczętowaną kopertę, w której były jego własne akta, historia jego dziewięcioletniej służby w armii. Odznaczenia, awanse, kartoteka ze szpitala Fitzsimmons, gdzie wyjęto mu z pleców odłamek. Dwa lata pobytu w Wietnamie bez najmniejszego draśnięcia, a potem krótka salwa z osłaniającego go oddziału. Odznaczenie Purple Heart odlane ze stali w Detroit, później przeniesienie do policji wojskowej, a następnie do G2 – wojskowej służby wywiadowczej. Wszystkie te dokumenty były tutaj. Przeglądnięcie zawartości koperty mogło być ciekawym zajęciem, ale otwarcie oznaczałoby dla żołnierza koniec wojskowej kariery.

Do jakiej organizacji na Massachusetts Avenue jechał? Znał prawie wszystkie, począwszy od CIA, a skończywszy na formacjach "niewidzialnych". Jednak o tej nigdy nie słyszał. Raport dla pana Kelly. Kim, do diabła, był Kelly? Dosyć. Już wkrótce miał się przecież tego dowiedzieć. Podniósł oczy, by sprawdzić, czy to stacja McPherson Square, później spojrzał przed siebie i napotkał wzrok dziewczyny siedzącej naprzeciw niego. Szybko odwróciła głowę. Była bardzo seksownym rudym kociakiem. Spojrzała na niego raz jeszcze, a on obdarzył ją uśmiechem, jakim reklamuje się pastę do zębów – wargi ściągnął tak, że jego białe zęby tworzyły przyjemny kontrast z ciemnobrązową skórą. Dziewczyna zadarła lekko nos i pogardliwie prychnęła, odwracając głowę.

Dostał kosza! Uśmiechnął się, bo tak wypadało. Czyż nie widziała, co traci? Ponad pięć stóp przystojnego, krótko ostrzyżonego żołnierza.

Pociąg zwolnił, wjeżdżając na Metro Center. Troy pierwszy wysiadł z wagonu i kroczył na czele tłumu zmierzającego w kierunku ruchomych schodów przy Red Line. Wjechał w słabo oświetlony korytarz przypominający pieczarę lub futurystyczny hangar.

Było zimno i dotkliwie odczuwał jesienny chłód, kiedy szedł wzdłuż Massachusetts, sprawdzając numery. To tutaj; wysoki budynek z piaskowca, po drugiej stronie New Jersey. Żadnej nazwy, żadnej tablicy, nic. Wszedł na stopnie i nacisnął wypolerowany, mosiężny przycisk, zdając sobie sprawę, że nad nim przesuwają się małe obiektywy mikrokamery. Elektryczny zamek zabrzączał i Troy wszedł do pomieszczenia przypominającego komorę powietrzną. Przed nim były następne drzwi, które nie otworzyły się, dopóki drzwi zewnętrzne nie zostały dokładnie zamknięte. Tutaj też była telewizyjna czujka. Na drugim końcu wyłożonego marmurem korytarza zauważył biurko. Wszędzie śledziły go czujne oczy kamer. Słysząc było głośny stukot obcasów, kiedy przemierzał hali. Rudowłosa recepcjonista w grubym swetrze podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Czym mogę panu służyć?

– Jestem sierżant Harmon. Pan Kelly spodziewa się mojej wizyty.

– Dziękuję, sierżancie Harmon. Zechce pan usiąść. Zawiadomię pana Kelh/ego, że jest pan tutaj.

Sofa nie była zbyt wygodna. Była za głęboka i za miękka, więc usiadł tylko na krawędzi. Przed nim na niskim stoliku leżały egzemplarze "Fortune" i "Jet". Co to miało oznaczać – czyżby troskę o jego szczególne potrzeby? Usiłował się uśmiechnąć, kiedy podnosił "Fortune". Może chcieli mu coś przekazać, a jeśli tak, to otrzymał wiadomość dawno temu. Elita towarzyska na przyjęciu w hotelu Theresa, potem kilka budynków, dalej slumsy i dzieci pogryzione przez szczury. Był to dla niego inny świat. Wychował się w południowej Jamajce, w Queens, przyjemnej, spokojnej, średnio zamożnej dzielnicy pełnej drewnianych domów i zieleni. O Harlemie wiedział tyle, co o drugiej stronie

Księżycu.

– Pan Kelly czeka na pana.

Odłożył czasopismo, wziął kopertę i rozbawiony udał się za ruszającym kokieteryjnie biodrami recepcjonistą do sąsiedniego biura.

– Proszę wejść, sierzancie Harmon. Miło mi pana poznać – powiedział Kelly, wstając zza biurka, by podać rękę Troyowi. Sposób, w jaki wymawiał “Harmon”, świadczył o pochodzeniu z Bostonu. Jego nienagannie skrojony trzyczęściowy garnitur w delikatne prążki przywodził na myśl Back Bay i Harvard.

– Dziękuję za przyniesienie koperty.

Kelly wziął dokumenty wojskowe, dołączył je do kartoteki leżącej przed nim na biurku i starannie poprawił wszystkie papiery, wyrównując ich brzegi. Przez cały czas nie odrywał wzroku od sierżanta. Nie musiał zaglądać do kartoteki. Z baretek wynikało, że zbliżał się do trzydziestki i był wzorowym żołnierzem. Nie był zbyt wysoki, ale dobrze zbudowany. Miał czarne, tajemnicze oczy, twarz bez wyrazu, szczękę jak skała. Sierżant Troy Harmon był oczywiście żołnierzem zawodowym o wysokim poczuciu odpowiedzialności za swoje czyny.

– Ze względu na pańską specjalistyczną wiedzę G2 skierowała pana na pewien czas do nas – powiedział Kelly.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć o tym coś więcej? Byłem strzelcem wyborowym, strzelałem z M-16...

– Nie, to nie będzie aż tak niebezpieczne – powiedział Kelly, uśmiechnąwszy się po raz pierwszy. – Z tego, co nam powiedziano, wynika, że wie pan dużo o złocie. Czy to prawda?

– Tak, proszę pana.

– Dobrze, właśnie ta pana wiedza będzie dla nas najcenniejsza. Jako dowództwo QCIC polegamy na własnych siłach, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo.

– Spojrzał na zegarek, złotego Rolexa. – Za kilka minut spotka się pan z admirałem Colonne, który szczegółowo wszystko panu wyjaśni. Admirał jest dowódcą tego wydziału. Czy ma pan jakieś pytania?

– Nie, proszę pana. Za mało wiem, o co w tym wszystkim chodzi, bym mógł mieć jakieś pytania. Dano mi ten adres i powiedziano, żebym doręczył panu moje dokumenty. Wspomniał pan już, że ten wydział to QCIC, ale ja nawet nie wiem, co oznacza ten skrót.

– To również wyjaśni panu admirał. Ja sprawuję tutaj funkcję łącznika. Wszelkie raporty proszę kierować na moje ręce. – Napisał coś szybko na kartce i wręczył ją Troyowi. – To jest mój numer telefonu, pod którym może mnie pan zastać o każdej porze. Proszę zapisywać swoje wydatki i co tydzień dostarczać mi ich wykaz. Jeśli potrzebowałby pan jakiegoś sprzętu czy pomocy specjalistów, proszę dać mi znać. Admirał przedstawi panu w skrócie całą operację, której kryptonim brzmi “Subject George”. – Kelly zawahał się i postukał palcami o krawędź biurka. – Admirał jest starym marynarzem, który długi czas służył w Annapolis. Wie pan, co to oznacza?

– Nie.

– Myślę, że jednak pan wie, sierzancie. Kiedy podczas drugiej wojny światowej był w czynnej służbie, Murzynów nazywano czarnuchami i nie pozwalano im służyć w marynarce, chyba że jako pomoc kuchenna.

– Raczej nie nazywano ich pomocą kuchenną, tylko służącymi, panie Kelly. Właśnie w ten sposób wyrażano się o nich. Mój ojciec był wtedy w armii i walczył o demokrację na świecie. Tylko w wojsku istniał podział na tych, którzy mogli nosić broń, i tych, którym nie ufano, więc pracowali przy okopach i transporcie. Ale to było dawno temu.

– Być może dla nas. Miejmy nadzieję, że dla admirała również. Jest stuprocentowym produktem białego szowinizmu... Cholera, chyba za dużo mówię.

Troy uśmiechnął się.

– Doceniam pańskie spostrzeżenia. Mocno wierzę w zdrowy rozsądek, więc nie boję się admirała.

– I ma pan słuszność. On jest dobrym człowiekiem, a to jest cholernie ważna robota. – Kelly wstał i wziął teczkę. – Chodźmy do admirała.

Hałas panujący na Massachusetts Avenue nie dochodził do sali konferencyjnej. Okna zasłaniały ciężkie kotary, a ściany od podłogi do sufitu zastawione były regałami pełnymi książek. Admirał siedział za długim mahoniowym stołem i starannie nakładał tytoń do swej staromodnej fajki, zrobionej z korzenia wrzośca. Był opalony i prawie łysy. Uwagę przykuwały imponujące rzędy baretek. Wskazał Troyowi krzesło naprzeciwko, kiwnął ręką w kierunku teczki, którą Kelly położył przed nim i zapalił fajkę. Milczał, dopóki Kelly nie wyszedł i nie zamknął za sobą drzwi.

– Został pan przydzielony do nas przez służbę wywiadowczą ze względu na pańską wiedzę specjalistyczną, sierzancie. Chcę, aby powiedział mi pan coś o złocie.

– To jest metal, panie admirale, bardzo ciężki i ludzie gromadzą go w dużych ilościach.

– Czy to wszystko? – Admirał rzucił groźne spojrzenie zza kłębu niebieskiego dymu. – Czy wydaje się panu, że jest pan dowcipny?

– Nie, panie admirale, ale taka jest prawda. Złoto jest ważnym materiałem przemysłowym, ale to nie dlatego interesuje się nim większość ludzi. Kupują je, kradną i ukrywają, ponieważ stanowi dużą wartość dla innych. Na Zachodzie traktujemy je jako towar, ale dla reszty złoto jest inwestycją bezpieczniejszą niż obligacje czy banki. Złoto nabyte legalnie tutaj, nabiera podwójnej wartości po przeszumgowaniu go do innego kraju, powiedzmy do Indii. Właśnie w takich okolicznościach z nim się zetknąłem. Armia Stanów Zjednoczonych posiada oddziały stacjonujące na całym świecie. Pokusa zarobienia dodatkowych dolarów na sprzedaży złota jest dla wielu śmiertelników zbyt silna, by się jej oprzeć.

Admirał skinął głową.

– W porządku – powiedział. – Ale to tylko jeden aspekt złota. Co z jego zastosowaniem w przemyśle, o którym pan wspomniał? Gdzie jeszcze, oprócz zakładów jubilerskich, potrzebne jest złoto?

– W elektronice, gdyż jest kowalne, nie matowieje ani nie rdzewieje i jest dobrym przewodnikiem. Wszystkie połączenia w komputerze są nim pokryte. Używa się go również w oknach do redukcji przepływu promieni słonecznych.

– Żadna z tych rzeczy nie ma związku z problemem, który tutaj mamy. – Admirał zamknął leżącą przed nim teczkę. – Interesują nas powody, dla których pewien pułkownik Armii Stanów Zjednoczonych kupuje duże ilości złota. Wiem, że jest to absolutnie legalne, ale chcę wiedzieć., dlaczego to robi.

– Czy mógłbym spytać, co rozumie pan przez “duże ilości”?

– Złoto wartości ponad stu tysięcy dolarów, według wczorajszych notowań. Czy wie pan, co oznacza skrót QCIC?

Troy bez słowa zaakceptował tę nagłą zmianę tematu.

– Nie, panie admirale, nie wiem. Pan Kelly powiedział, że pan mi to wyjaśni.

– Quis custodiet ipsos custpdes? Czy zna pan znaczenie tych słów?

– Po dwóch latach łaciny na studiach sędzę, że powinienem. W dosłownym tłumaczeniu znaczy to: kto będzie trzymał straż nad strażnikami?

– Zgadza się. Kto będzie pilnował pilnujących? Ten mały problem jest tak stary jak łacina. Już policjanci, którzy biorą łapówki, są godni potępienia. A co zrobić z ludźmi, którym powierza się bezpieczeństwo państwa? Właśnie dlatego istnieje ten wydział. Musi pan zdawać sobie sprawę, że to co robimy, ma ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa tego kraju. Nie będzie w tym żadnej przesady, jeśli powiem, że jest to najważniejsza operacja w historii zapewnienia bezpieczeństwa państwowego. Nie możemy więc pozwolić sobie na żadne błędy. Jak mówią, dolar nie ma tutaj wstępu. Spoczywa na nas największa odpowiedzialność, bo to my pilnujemy agentów aparatu bezpieczeństwa. To jest właśnie przyczyna, dla której zdecydowałem się pana tutaj ściągnąć. Ponadto są trzy rzeczy w pańskich aktach, które mi się podobają. Po pierwsze, wie pan wszystko o złocie. Po drugie, pańskie przejście do służby bezpieczeństwa jest ściśle tajne. Czy domyśla się pan, jaka jest trzecia przyczyna?

Troy powoli skinął głową.

– Sądzę, że tak. Chodzi z pewnością o to, że użyłem gwizdka, gdy przyłapałem mojego przełożonego na kupowaniu narkotyków.

– Właśnie. Wielu żołnierzy odwróciłoby się wtedy w drugą stronę. Czy spodziewał się pan jakiejś specjalnej nagrody za to, co pan zrobił?

– Nie, panie admirale, nie spodziewałem się. – Troy usiłował panować nad emocjami. – Jeśli już cokolwiek oczekiwałem, to na pewno nie pochwały. Jestem pewien, że armia nie lubi żołnierzy bez zastanowienia donoszących na swoich przełożonych. Ale to był wyjątkowy wypadek. Może gdyby chował do kieszeni fundusze z klubu oficerskiego, zastanowiłbym się dwa razy, zanim wyjąłbym gwizdek, ale to dotyczyło dowódcy grupy, która miała walczyć z przedostawaniem się narkotyków na teren koszar. Nie zajmowaliśmy się trawką czy jakimiś wachaczami, ale narkotykami o najsilniejszym działaniu, zwłaszcza heroiną, której było najwięcej. Kiedy zobaczyłem, że mój dowódca mający walczyć z handlarzami kupuje od nich towar, nie wytrzymałem. – Uśmiechnął się chłodno. – Ostatnio słyszałem, że nadal jest w Leavenworth. Przypuszczałem, że będą chcieli wyrzucić mnie z jednostki i zupełnie nie spodziewałem się dwustopniowego awansu i przeniesienia do G2.

– To była moja robota. Podjąłem decyzję za twoich bezpośrednich przełożonych, którzy chcieli zrobić to, czego się spodziewałeś. Niejeden dowódca stracił wiele, nie doceniając refleksu niektórych żołnierzy. Miałem ciebie na oku od początku twojej kariery, ponieważ ludzie tacy jak ty należą do rzadkości. – Dostrzegł wyraz twarzy Troya i uśmiechnął się. – Nie, sierżancie, to nie są pochlebstwa, ale najuczciwsza prawda. Dla mnie największą wartość mają ludzie, którzy ponad osobistą przyjaźń czy karierę stawiają wierność przysiędze lojalności. Potrzebni nam są tutaj tacy jak ty. Mam nadzieję, że po skończeniu tej operacji rozważysz propozycję pozostania na stałe w tym wydziale, ale to wciąż jeszcze przyszłość. Teraz zajmujemy się operacją pod kryptonimem "Subject George". – Zdjął z półki teczkę z papierami i otworzył ją. – Operacja "Subject George" została wszczęta na skutek rutynowej kontroli. Inwigilacja osób zajmujących się ściśle tajnymi sprawami bezpieczeństwa jest praktyką powszechną. Obiektem tego dochodzenia jest Wesley McCulloch, pułkownik Armii Stanów Zjednoczonych, cieszący się dobrą opinią jako żołnierz i darzony przez rząd ogromnym zaufaniem w najbardziej tajnych sprawach bezpieczeństwa. Kawaler, ale, jeśli wybaczysz to wyrażenie, nie trzeba go namawiać. Dbą o kondycję, jeździ na nartach i uprawia surfing. Ma mały dom w Aleksandrii, który wkrótce spłaci. Wszystko to jest dosyć nudne i nie ma w tym nic nadzwyczajnego... Z wyjątkiem tego, że pułkownik kupuje duże ilości złota. Zaczęło się to niedawno, jakieś sześć miesięcy temu. Miał wtedy trochę pieniędzy ulokowanych w papierach wartościowych i trochę na koncie w banku. Papiery sprzedał, konto zlikwidował i za wszystkie

pieniądze kupił złoto. Sprzedał również obligacje, które odziedziczył. Obaj wiemy, że wszystko to jest absolutnie legalne, ale ja wciąż chcę wiedzieć, dlaczego on to robi?

– Czy mogę zobaczyć kartotekę, panie admirale? – Troy przejrzał ją, zatrzymując się dłużej na niektórych stronach i odłożył. – Nie ma tutaj żadnej wzmianki o obowiązkach zawodowych pułkownika.

– I nie będzie. Nawet agenci FBI, którzy pisali te raporty, nie wiedzieli, czym zajmuje się pułkownik. McCulloch jest odpowiedzialny za ochronę jednego z najważniejszych i najbardziej tajnych laboratoriów. Nic nie można zarzucić jego pracy, jest bardzo dobry i nie to spędza mi sen z powiek. Złoto. Coś, nie wiem...

– Sądzi pan, że coś się za tym kryje?

– Właśnie. Jest w tym coś dziwnego. To jedyna niezwykła rzecz, jaką pułkownik zrobił w całym swym życiu. Twoim zadaniem jest dowiedzieć się, dlaczego je kupuje.

– Zrobię to, panie admirale. Intryguje mnie to w równym stopniu jak pana. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego człowiek o tej pozycji robi tego rodzaju inwestycje. Mam na myśli legalne powody.

– Sądzisz, że mogą być jakieś nielegalne?

– W tej chwili jeszcze nie wiem. Muszę wziąć pod uwagę wszelkie możliwości. Potrzebujemy konkretnych faktów, zanim zdecydujemy się na jakiegokolwiek działanie.

ROZDZIAŁ 3

Ulewa przypominała oberwanie chmury w krajach tropikalnych. Mimo końca października było bardzo parno, co stanowiło jedną z przyczyn, dla których Waszyngton posępnie nazywano Mglistym Dnem. Troy Harmon usiadł za kierownicą Pontiaka i poprawił kapelusz prawie zasłaniający mu czoło. Nie przez przypadek zarówno kapelusz, jak i płaszcz ortalionowy były bardzo podobne do tych, jakie miał na sobie pułkownik, kiedy wychodził ze swojego domu jakieś pół godziny temu. Pułkownik miał również takiego samego Pontiaka; identyczny kolor i rocznik jak ten, którego prowadził Troy. Łoskot deszczu padającego na metalowy dach został nagle zagłuszony przez sygnał z odbiornika. Troy nacisnął przycisk.

– Mówi George Baker – powiedział. Słuchawka zatrzeszczała w odpowiedzi. – George właśnie zaparkował na tym samym parkingu i w tym samym miejscu gdzie zawsze.

– Dziękuję. Bez odbioru.

Troy przekręcił kluczyk w stacyjce i zapalił silnik. Przygotowanie wszystkiego zabrało cztery dni powolnej i bardzo żmudnej pracy na tyle dokładnej, że jakikolwiek błąd był wykluczony. Nie wyobrażał sobie podjęcia działań w pośpiechu – wszystko musiało być dopięte na ostami guzik. Teraz z niecierpliwością czekał na kolejny etap operacji. Dokładny dzienny i tygodniowy rozkład zajęć pułkownika znajdował się w raportach FBI. Troy przestudiował go starannie i wykorzystał wszystko, co było mu potrzebne. Ludzie z FBI zaopatrzyli go w legitymację członkowską klubu lekkoatletycznego, w którym McCulloch trzy razy w tygodniu grywał w Squash. Wykorzystał ją tylko raz, gdy musiał otworzyć szafkę pułkownika i zrobić odciski jego wszystkich kluczy, co zajęło mu niecałą minutę. Teraz, gdy powoli jechał starym Pontiakiem zacienioną ulicą, duplikaty kluczy brzęczały mu w kieszeni. W samochodzie było parno i duszno, ale przynajmniej nikt nie mógł zobaczyć jego twarzy przez zaparowane szyby.

Wjechał na drogę prowadzącą do domu pułkownika, Troy wcisnął przycisk aparatu służącego do otwierania garażu za pomocą fal radiowych, dostrojonego na tę samą częstotliwość co urządzenie pułkownika. Brama podniosła się i wjechał do środka. Przypadkowemu obserwatorowi nasunęłoby się automatycznie, że to pułkownik wraca do domu. Ponieważ McCulloch nie miał w sąsiedztwie żadnych przyjaciół ani znajomych, możliwość odkrycia, że powrót ten był niezgodny z jego rozkładem dnia, była znikoma. Troy poczekał, aż brama zamknie się i dopiero wtedy wysiadł z samochodu. Płaszcz i kapelusz zostawił na siedzeniu; przymocował radio do paska i sięgnął po dyplomatkę. Aby nie zapalać światła w garażu, posłużył się kieszonkową latarką.

Skrzynka z alarmem antywłamaniowym znajdowała się przy drzwiach prowadzących z garażu do domu. Technik z QCIC zidentyfikował klucz i powiedział mu, co ma zrobić. Włożyć klucz, wykonać jeden pełny obrót zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara i wyjąć. Troy zbliżył się do skrzynki, na której paliła się niebieska żarówka i zrobił tak, jak mówił technik. Żarówka zgasła. Wychodząc z domu będzie musiał pamiętać, by te czynności powtórzyć. Za drugim razem dopasował właściwy klucz do drzwi i kiedy już miał nacisnąć klamkę, zawahał się. To było zbyt proste. Jeśli McCulloch miał coś do ukrycia, z pewnością przedsięwzięłby jakieś inne środki ostrożności poza włączeniem alarmu. Troy dokładnie obejrzał framugę drzwi. Nic nie wystawało, ale wiedział, że bardzo łatwo było zostawić jakiś mały kawałek papieru przyklejony do drzwi, który odpadłby w przypadku ich otwarcia. Schylił się – i znalazł.

Czarna główka spalonej zapalniczki włożonej tuż pod dolny zawias była prawie niewidoczna. Kiedy otworzył drzwi, zapalniczka spadła na próg. Bardzo dobrze. Pochylił się i w świetle latarki dostrzegł małe wyłobienie – pozostałość po zapalniczce. Włożył ją dokładnie w to samo miejsce, kiedy

będzie opuszczał dom. Otworzył drzwi na oścież i wszedł.

W korytarzu było chłodno i cicho. Kuchenne drzwi po drugiej stronie były otwarte.

Troy miał mnóstwo czasu. Zamierzał gospodarować nim mądrze, poświęcając na każdą czynność tyle minut, ile będzie trzeba – żadnego pośpiechu. Pułkownika miało nie być przez co najmniej osiem godzin. Był cały czas obserwowany i gdyby miał wrócić wcześniej, Troy dowiedziałby się o tym natychmiast i miałby dość czasu, by opuścić dom. Przyszedłem tu, panie pułkowniku, powiedział Troy do siebie, by dowiedzieć się, co w trawie piszczy.

Zdjął sportową marynarkę, po czym rozluźnił krawat i kołnierzyk koszuli. Deska do przygotowywania posiłków była czysta, więc Troy rozłożył na niej chusteczkę i postawił wyjęty z dyplomatki termos z kawą. Pił małymi łykami.

Żołnierz w każdym calu, pomyślał. Pomieszczenie było tak czyste jak sala operacyjna, ale inaczej być nie mogło, skoro pułkownik spędził prawie całe życie w wojsku. Z VMI przeszedł do armii. Miał nieskazitelnie czyste akta personalne, duże doświadczenie w walce, był wzorowym żołnierzem. Później kancelaria szefa sztabu i błyskotliwa kariera.

Naczynia po śniadaniu były umyte i równo ustawione na suszarce. Nawet patelnia była wypolerowana i starannie zawieszona na specjalnym haczyku. W koszu na śmieci były tylko resztki po ostatnim śniadaniu – skorupki jajek i opakowanie po bekonie. Mleko, masło, chleb, konserwy i pozostałe jajka były w lodówce.

Powoli, bardzo uważnie Troy przeszedł przez resztę domu. Pomieszczenie po pomieszczeniu. W pokoju gościnnym stało biurko, ale wszystkie szuflady były zamknięte na klucz. Postanowił, że zajmie się tym później. Na półce obok kanapy leżały wojskowe i sportowe czasopisma oraz podniszczone egzemplarze "Newsweeka" i "Reader's Digest". Tuż obok kilka półek z książkami – głównie stare podręczniki wojskowe. Nowsze egzemplarze były jeszcze w okładkach chroniących je przed kurzem – popularne powieści, teksty techniczne, jakieś historyczne rozprawki i przewodnik po zachodnich rejonach narciarskich. Spis tytułów miał zamiar przejrzeć później.

Wyjął z kieszeni jeden z ciekawszych gadżetów, jakie były na wyposażeniu QCIC. Mały japoński aparat fotograficzny całkowicie naszpikowany elektroniką. Kliszę zastępowała elektroniczna karta, na której obraz rejestrowany był z maksymalną prędkością dziesięciu ujęć na sekundę. Przystosowany był do robienia zdjęć zarówno przy każdym oświetleniu, jak i w zupełnych ciemnościach. Troy nastawił go na ultrafiolet, tak że lampa emitowała tylko niebieski promień dający idealne dla tego aparatu natężenie światła. Sfotografował grzbiety wszystkich książek i schował aparat.

W sypialni na górze, pod dywanem leżącym obok dwuosobowego łóżka, znalazł dębową płytę wkomponowaną w wypolerowany parkiet wykonany z tego samego materiału. Na krawędzi płyty widoczne było małe wyżłobienie, w które włożył palce. Kiedy pociągnął, płyta odchyliła się na ukrytych zawiasach. Pod nią wtopiony był w beton sejf zamknięty na zamek cyfrowy.

Czyż to nie wspaniałe, powiedział do siebie, pocierając dłonie z zadowoleniem. Naprawdę duży. O wiele za duży jak na jego medale i książeczki czekowe. Myślę, że sprawdzenie zawartości tej skrzyneczki byłoby co najmniej interesujące.

Wykręcił numer Kelly'ego, korzystając z telefonu wiszącego obok łóżka. Telefon odebrano po pierwszym sygnale.

– Mówi Harmon. Znalazłem w podłodze duży sejf. Zastanawiam się, czy moglibyście mi pomóc.

– To bardzo interesujące. Jestem pewien, że da się to zorganizować. Czy zauważył pan, jakiej marki jest sejf?

– Tak. Atlas Executive. Żadnych otworów na klucze. Zawiasy niewidoczne. Pojedyncza tarcza z

cyframi od zera do dziewięciu.

– Bardzo dobrze. Przyślemy tam kogoś za kilkadziesiąt minut.

Czekając na pomoc, Troy wrócił na dół i zajrzał do biurka, którego zamki bez oporu poddały się wytrychowi. Była tam jakaś korespondencja, plik rachunków i kwitów, zrealizowane czeki i talony książeczek czekowych. Zamiast drobiazgowego sprawdzania zawartości biurka zrobił po prostu kilka zdjęć. Praca nie zajęła mu zbyt wiele czasu. Wkrótce po uporządkowaniu wszystkiego i zamknięciu biurka zauważył przez okno starą ciężarówkę z napisem ANDY – HYDRAULIK – USŁUGI CAŁODOBOWE. Ciężarówka przyjechała w niecałe czterdzieści pięć minut po jego telefonie. Mężczyzna ubrany w kombinezon roboczy wyciągnął poobijaną skrzynkę z narzędziami, zamknął samochód i pogwizdując skierował się do domu. Troy otworzył drzwi, zanim tamten zdążył nacisnąć dzwonek.

– Jestem Andy, tak jak na ciężarówce. Słyszałem, że ma pan jakąś robotę dla hydraulika z moją specjalnością. – Wyjął zapalkę z ust i starannie schował ją do kieszeni. – Gdzie to jest?

– Na górze. Zaprowadzę pana.

Andy znalazł się na swojej robocie. Poobijana skrzynka na narzędzia była w środku w idealnym stanie. Wszystkie przyrządy leżały w specjalnych przegródkach wysłanych aksamitem. Andy ukląkł i z zachwytem spojrział na sejf.

– Ładny – powiedział, zacierając dłonie. – Bardzo bezpieczny. Ognioodporny, wymaga kilku godzin temperatury powyżej tysiąca stopni. Wysadzenie nie wchodzi w grę.

– Więc nie da pan rady go otworzyć?

– Czy ja tak mówiłem? – Wyjął ze skrzynki metalowe pudełko z anteną i przekręcił pokrętło. – Żadna tradycyjna metoda na nic się tutaj nie zda. Nie ma mowy. Potrafię otworzyć wszystko, ale najpierw sprawdźmy, czy nie ma jakiegoś alarmu. Nie, nie ma, jest czysty. Posłuchajmy, co ten sejf ma nam do powiedzenia. Żadnej zapadki, więc niczego nie usłyszymy. Ale są i inne sposoby.

Troy nie pytał jakie, bo nie była to jego sprawa. Do zbadania wnętrza sejfu Andy używał jakiegoś ultradźwiękowego mechanizmu. Kilka małych przyrządów wraz z zasilającymi je bateriami przymocował do pokrętła i przedniej ściany sejfu, a pozostałą część urządzenia postawił obok na solidnej okrągłej podstawie z wmontowanym w nią czytnikiem cyfrowym. Wprawienie w ruch tego elektronicznego cuda zajęło mu niecały kwadrans. Po chwili gwizdnął, odłączył aparat od sejfu i rozmontował.

– Nie zamierza pan tego otworzyć? – zapytał Troy.

Andy potrząsnął głową.

– Jestem technikiem, a nie przestępcą.

Jeden z jego miniaturowych przyrządów wyglądał jak kalkulator z możliwością wydruku. Andy wystukał kilka poleceń, urządzenie zabrzęczało i z wnętrza wysunął się pasek papieru. Andy wręczył go Troyowi. Na papierze była lista cyfr i liter.

– P oznacza prawo – powiedział Andy. – Jak się nietrudno domyślić, L to lewo. Zanim pan zacznie, proszę, pokręcić pokrętłem w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara, a później ustawić je według kolejności cyfr podanych na kartce. Drzwi są na sprężynie, więc otworzą się same przy ostatniej cyfrze. Jak pan zamknie, proszę jeszcze kilka razy pokręcić i ustawić na sześćdziesiąt pięć. Tak był nastawiony, kiedy tu przyszedłem. Ktoś mógł to zapamiętać. Życzę miłego dnia.

Troy obserwował, jak Andy odjeżdża, a potem wrócił do pokoju. Zabawki Andy'ego odwalily kawał roboty. Kiedy nastawił ostatnią cyfrę, poczuł, że drzwi odskoczyły na sprężynie. Otworzył je na całą szerokość i zobaczył, że sejf zawiera tylko jedną rzecz.

Złoto. Starannie poukładane sztabki, płytki i zwoje.

Był to naprawdę imponujący widok. Im dłużej zajmował się złotem, tym bardziej je podziwiał. Nie było na świecie nic, co mogłoby się równać z tym metalem. Sięgnął do środka, wyjął pierwszą sztabkę i zważył w dłoni. Złoto było ciężkie. Nic innego, nawet ołów, nie dawało uczucia takiego ciężaru w proporcji waga – rozmiar. Chciał już odłożyć sztabkę na miejsce, ale zawahał się. Coś tutaj nie grało.

Troy położył złoto na dywanie i pochylił się nad sejfem, przeliczając pozostałe sztabki. Nie widział wszystkich, ale mógł w przybliżeniu ocenić ich liczbę. Chwila pracy z kalkulatorem potwierdziła jego podejrzenia. Ale chciał mieć pewność.

Otworzył notes i położył się na brzuchu obok sejfu. Nie był zdolnym rysownikiem, ale powierzchowny szkic w zupełności mu wystarczał. Starannymi liniami nakreślił stos sztabek, a potem zaznaczył pozycję płytek i zwojów. Kiedy skończył, z zadowoleniem odłożył notes i starannie, sztuka po sztuce, wyciągał złoto z sejfu i układał je na zamkniętej dyplomatce. Gdy prawie jedna trzecia złota znajdowała się już poza sejfem, wstał i poszedł do łazienki po wagę, którą zauważył tam wcześniej. W sam raz nadawała się do pobieżnych pomiarów.

Troy stanął na wadze. Sto siedemdziesiąt pięć w ubraniu; waga zaniżała ciężar o co najmniej pięć funtów, ale nie było to istotne. Zanotował ciężar, a później wszedł na wagę, trzymając teczkę obciążoną złotem. Powtarzał tę czynność trzy razy, za każdym razem zapisując w notesie wynik. Kiedy skończył, odłożył złoto dokładnie w miejsce, z którego je zabrał.

To była naprawdę prosta matematyka. Jego ciężar razem z ciężarem walizki bez złota wynosił sto osiemdziesiąt trzy funty. Pomnożył to przez trzy. Później przez tę samą liczbę pomnożył swoją wagę razem ze złotem i odjął mniejszą liczbę od większej.

Wynik wynosił ponad trzydzieści dziewięć funtów.

Trzydzieści dziewięć funtów złota!

To była olbrzymia ilość. Ostatni raz, kiedy sprawdzał notowania złota, cena uncji wynosiła czterysta trzydzieści sześć dolarów. Ale w systemie wagowym Troya funt miał wartość zero osiemset dwadzieścia trzy funta Avordiupoisa. Uwzględnił tę poprawkę w swych obliczeniach i podzielił przez dwanaście, gdyż funt Troya składał się tylko z dwunastu uncji.

Troy wpatrywał się w ostateczny wynik i kiwał głową. A jednak, a jednak, powiedział do siebie. To było coś, o czym admirał chciałby zaraz usłyszeć. Rozmowa telefoniczna nie trwała długo. Kelly natychmiast połączył go z admirałem, kiedy usłyszał, że ma pilną sprawę.

– Mówi admirał Colonne. Czy to ty, sierżancie Harmon?

– Tak jest, panie admirale. Znalazłem sejf, w którym pułkownik trzyma złoto. Zanim zamknąłem sejf, zważyłem złoto. Granica błędu nie przekracza pięciu procent. Zdaje się, że FBI nie doceniło pułkownika. Jego złoto jest warte więcej niż sto tysięcy.

– Więcej? Ile więcej?

– Powiedziałbym, że pułkownik ma ulokowane w złocie ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, panie admirale. Ćwierć miliona dolarów.

ROZDZIAŁ 4

– Wolę raport ustny – powiedział admirał. – Swoje wnioski przelejesz na papier później, ale w tej chwili chcę po prostu usłyszeć to, czego się dowiedziałeś.

Troy skinął głową i rozłożył przed sobą notes. Sala konferencyjna wyglądała tak samo jak podczas ostatniej wizyty: zasłonięte kotary, cisza i rozmowa w cztery oczy. Uderzył palcem w cyfry na pierwszej stronie.

– Wie pan już, panie admirale, że pułkownik posiada przynajmniej dwa i pół raza złota więcej niż sądziliśmy pierwotnie.

Kiedy mówił, admirał kiwał głową i miał ponury wyraz twarzy.

– Tak, to rzeczywiście ma duże znaczenie, ale też pociąga za sobą następne pytanie. Jak zdobył złoto, nie będąc zauważony przez FBI? Ponadto obecna sytuacja wzmacnia tylko nasz podstawowy problem: do czego potrzebne jest mu to złoto? Czy jesteś już w stanie odpowiedzieć na to pytanie? Czy przychodzi ci coś do głowy?

– Nie znam odpowiedzi, ale mam pewne przypuszczenia. – Troy przewrócił kartkę w notesie. – W ciągu ostatniego roku zaszły istotne zmiany w sposobie zachowania pułkownika. Teraz czyta książki, chodzi do bibliotek i muzeów, co wcześniej nigdy mu się nie zdarzało. Przejrzałem jego indeks, a ludzie z FBI rozmawiali z jego wojskowymi wykładowcami. Nowe zainteresowania po prostu nie pasują do jego normalnego stylu życia.

– Co masz na myśli?

– Z tego, co udało mi się dowiedzieć, McCulloch nigdy nie miał zainteresowań natury intelektualnej. Nie oznacza to wcale, że jest głupi. Jeśli mu na tym zależało, potrafił w szkole osiągnąć całkiem dobre wyniki. Ale musiał się bardzo starać, by jego oceny były powyżej przeciętnej. Po opuszczeniu szkolnych murów odłożył książki na bok i nie wydaje się, by kiedykolwiek dobrowolnie sięgnął po którąś z nich. Potwierdzili to ludzie, którzy z nim służyli. Co więcej, nigdy nie chodził do kina. Jeśli już, to ogląda telewizję, i zwykle wyłącznie sport. Nie ma nawet własnego telewizora.

– Co robi w wolnym czasie? – zapytał admirał, grzebiąc scyzorykiem w cybuchu fajki. – Nie mów mi tylko, że po przyjeździe do domu siedzi i wpatruje się w tapety.

– Nie, panie admirale. Eksploatuje się na sali gimnastycznej, gra w Squash i golfa. Jest towarzyski, spotyka się z przyjaciółmi co najmniej raz w tygodniu, nie unika alkoholu, ale pije zawsze z umiarem. Bardzo często chodzi na randki. Kolacja, drinki, tańce, a później do łóżka. Prowadzi bardzo pracowity tryb życia, dba o kondycję, ale nie czyta. Właśnie to jest niepokojące, jeśli chodzi o jego nowe zainteresowania. Wydaje mi się, że okres kupowania książek pokrywa się z czasem kupowania złota.

– Sądzisz, że ma to jakiś związek?

Troy starannie rozłożył kartki, pozostawiając przez chwilę pytanie bez odpowiedzi.

– Właściwie nie mam żadnej podstawy, by sądzić, że te dwie rzeczy łączą się ze sobą, ale nasuwa mi się zasada brzytwy Ockhama. W życiu McCullocha nastąpiły mniej więcej w tym samym okresie dwie duże zmiany, co skłania mnie do przypuszczenia, że łączy je coś więcej niż tylko czysty przypadek. Właśnie tym muszę się teraz zająć. Myślę, że nadszedł czas, bym osobiście spotkał się z pułkownikiem. Z moich notatek nie dowiem się już niczego więcej. Chcę teraz poznać go i znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego to robi.

– Może się dowiemy. Czy książki, które kupuje, nasuwają ci coś na myśl?

– Nic, co miałoby sens. – Troy spojrział na nową kartkę. – Tutaj jest spis jego książek w kolejności, w jakiej są ustawione. The Encyclopedia of Military History, A Bridge Too Far, The Gatling Gun, Stress Analysis in Alloys, The Horse Soldiers, Gone with the Wind, Ordeal by Fire, The Ninja, The Alteration...

– Wystarczy. Zaczynam rozumieć, co masz na myśli. Beletrystyka i literatura faktu wymieszane ze sobą, jakby stały na półce jakiegoś ulicznego straganu.

– Nie tak zupełnie wymieszane, panie admirale. Jeśli jest jakaś wspólna nić, która je wszystkie łączy, to jest nią historia wojska.

– Zgoda, ale przecież pułkownik jest wojskowym. Mam na myśli jego życie i karierę. Czy te książki naprowadzą nas na jakiś ślad? To co w tej chwili mamy w garści, to tylko poszlaki i przypuszczenia plus ćwierć miliona dolarów w złocie. W porządku, popieram twój plan zbliżenia się do pułkownika. Co proponujesz?

– Powiedział mi pan, że pułkownik jest szefem ochrony laboratorium rządowego. Czy podlegają mu tam jakieś oddziały z armii? Nie znalazłem niczego na ten temat w raportach FBI.

Admirał przetkał fajkę i z zadowoleniem zaczął na nowo napełniać ją tytoniem.

– Ludzie z FBI nie zbliżyli się do Weeks Electronics, ale jeśli sobie przypominam, jest tam kilku techników od uzbrojenia, jak również kilku specjalistów od zabezpieczeń. Możliwe, że są jeszcze jacyś inni. Dlaczego pytasz?

– Chciałbym przejrzeć papiery tych ludzi. Trzeba znaleźć jakąś przyczynę sprawdzenia rzetelności wykonywania obowiązków przez jednego z nich.

– Wszyscy są czysti, inaczej nie pracowaliby tam. To miejsce jest tylko dla najbardziej zaufanych. Wszystko co wiem na temat badań to to, że dotyczą jakichś śmiertelnych promieni. Każdy, kto ma wstęp na teren laboratorium, musi być czysty jak łąza.

– Nie wątpię w to, panie admirale. Nie interesuje mnie, jaki rodzaj badań prowadzają to nie ma znaczenia. Nie chcę również sprawdzać żadnego z zatrudnionych tam pracowników, chodzi mi tylko o zbliżenie się do McCullocha, pracowanie z nim, wyciągnięcie czegoś z niego. Nie ma w armii ani jednego faceta, który z tej czy innej przyczyny nie dostarczyłby powodów do wszczęcia dochodzenia. Może traci za dużo pieniędzy, grając w karty albo chodzi do burdelu należącego do mafii czy też może ma dziewczynę, której poprzedni chłopak miał kłopoty z policją. Potrzebuję jakiegoś punktu zaczepienia, by wszcząć dochodzenie.

– Popieram twój plan – powiedział admirał, naciskając przycisk pod blatem stołu. – Usłyszeli pukanie do drzwi i zobaczyli Kelly'ego. Admirał dał mu znak ręką. – Jedź do Pentagonu i załatw, by dokopali się do akt personelu wojskowego. Sierżant wyjaśni ci, co jest nam potrzebne. Jeśli zapytają cię o powód, to powiedz, że chodzi o dochodzenie w sprawie bezpieczeństwa prowadzone przez QCIC. Nie powinni zadawać więcej pytań. Sierżancie Harmon, chcę, żebyś natychmiast zameldował mi, jeśli znajdziesz to, czego szukasz.

To była robota, którą Troy wykonywał wystarczająco często, by znać ją bardzo dobrze. W trzeciej teczce znalazł to, czego szukał. Była dopiero druga po południu i admirał powinien być jeszcze w biurze. Zgadza się. Sekretarka oddzwoniła i powiedziała, że za pięć minut będzie go oczekiwał w sali konferencyjnej. Niemożliwe, żeby nie miał swojego gabinetu, pomyślał Troy, ale nie miał pojęcia, gdzie to było i dlaczego zawsze spotykali się w tej dużej sali. To była zagadka, ale nie miała zbyt dużego znaczenia. Spojrział na zegarek, wziął kartotekę i udał się w kierunku schodów.

– To ten, admirale – powiedział Troy, przesuwając kartotekę po błyszczącym blacie stołu. – Kapral Aurelio Mendez. Wszyscy zwracają się do niego Chucho. To jest przydomek. Jest złotą rączką, jeśli chodzi o elektronikę, ale bardzo, że tak powiem, niewojskowy. Pochodzi z Baltimore i

spędza tam każdy wolny weekend. Pije i bardzo często gra w bilard ze starymi znajomymi. Właściwie nie ma w tym nic złego, tyle tylko, że jest on jednym z nielicznych, którym udało się wydostać z portorykańskiego getta, co oznacza, że zna wielu stręczycieli, przemytników i wszelkiego rodzaju drobnych przestępców.

Admirał rzucił groźne spojrzenie w kierunku teczki. – Uważasz, że stanowi on jakieś zagrożenie dla bezpieczeństwa? Laboratorium zatrudnia ludzi, którym można ufać w najwyższym stopniu!

– Nie stanowi żadnego problemu, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo. Tajny agent, również Portorykańczyk, sprawdzał go przez miesiąc, zanim wystawił mu certyfikat stwierdzający, że jest czysty i że można go darzyć absolutnym zaufaniem. Przyjaciele Chucho szanują go i nauczyli się nie wtrącać w jego sprawy. Jest często wzywany na dywanik z powodu nadwagi, co nie przeszkadza mu być zagorzałym amatorem wszelkich wypieków. Jeden z jego kumpli do butelki zaczął mu kiedyś robić głupie uwagi na temat jego kariery wojskowej. Chucho sprął go kijem bilardowym tak, że musieli mu założyć na głowie osiem szwów. Nie został sporządzony żaden raport o tym zajściu i dalej są dla siebie jak bracia. Wszyscy przyjaciele wiedzą, że Mendez jest typowym twardzielem i nauczyli się, że należy zostawić go w spokoju, ale ten jego tryb życia w zupełności mi wystarcza, by sprawdzić jego nieskazitelność.

– Zatem weźmy się za to. Im szybciej, tym lepiej. Im bardziej zgłębiamy ten problem, tym więcej mamy pytań i jak do tej pory żadnej odpowiedzi. Jest jeszcze jedna rzecz, na którą należy zwrócić uwagę. Kiedy dostaniesz się do laboratorium, twoim zadaniem będzie zbliżenie się do pułkownika, więc na okres tymczasowy dostaniesz awans do rangi porucznika. Ale nie, czekaj. Poruczników traktują czasem gorzej niż sierżantów. Musisz być kapitanem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko zabawie w oficera?

– Nie, panie admirale. Używałem już różnych stopni, pracując w G2. Pozostanę jednak przy poruczniku, jeśli można. Woda sodowa mogłaby mi uderzyć do głowy. Będę potrzebował pisemnego upoważnienia do odbioru nowego munduru i tabliczki identyfikacyjnej.

– Oczywiście, dopilnuję tego osobiście. Wszystko będzie załatwione jeszcze dziś po południu.

Następnego dnia o dziesiątej rano wojskowy dżip prowadzony przez Troya wyjeżdżał z Beltway drogą wylotową numer czterdzieści dwa. Chwilę później znalazł się na nie oznakowanej drodze prowadzącej do Weeks Electronics Laboratory 2.

ROZDZIAŁ 5

– Dzień dobry, poruczniku. Czym mogę panu służyć?

Otyły umundurowany strażnik miał ponad czterdzieści lat i był nie uzbrojony. Przypadkowy obserwator mógł więc przypuszczać, że nie przywiązywano tu zbyt dużej wagi do bezpieczeństwa, że nie było żadnych sekretów, które należało chronić. Ale za strażnikiem, który rozmawiał z Troyem, był drugi, patrzący na niego zza grubej, bez wątpienia kuloodpornej szyby, uzbrojony po zęby. Laboratorium było dobrze strzeżone. Troy podał strażnikowi swoją legitymację.

– Przyjechałem tu, by spotkać się z pułkownikiem McCullochem.

– Oczywiście. Czy pułkownik spodziewa się pana? – Strażnik przekazał legitymację do budynku sąsiadującego z wartownią.

– Nie, ale mam rozkazy, które mają mu być dostarczone.

– W takim razie wygrał pan. Czy mógłbym zobaczyć te rozkazy?

Strażnik podał rozkazy drugiemu wartownikowi i uśmiechając się zrobił kilka kroków w bok. W wartowni zainstalowana była kamera i Troy znalazł się dokładnie w jej polu widzenia. Nie miał wątpliwości, że kamera nie tylko przekazywała obraz, ale że był on również rejestrowany na taśmie. Cała ta procedura kontrolna była bez zarzutu, ochronę mieli naprawdę solidną. McCulloch był profesjonalistą. Troy wiedział, że pułkownik cały czas musiał być w pogotowiu. Zadzwoił telefon. Wartownik znajdujący się na zewnątrz odwrócił się, by otworzyć metalowe drzwiczki w ścianie. Podniósł słuchawkę i po chwili przekazał ją Troyowi.

– Do pana, poruczniku Harmon.

Troy zgasił silnik, wysiadł z dzipa i wziął słuchawkę do ręki.

– Porucznik Harmon.

– Mówi pułkownik McCulloch, poruczniku. O co w tym wszystkim, do jasnej cholery, chodzi?

Miał charakterystyczny, południowy akcent. Urodził się w Missisipi, przypomniał sobie Troy.

– O bezpieczeństwo, panie pułkowniku.

– Wiem o tym – pułkownik mówił chłodnym głosem. – Pytałem, jaki charakter ma pańska wizyta.

– Chodzi o bezpieczeństwo, panie pułkowniku. Wszystkie szczegóły wyjaśnię, kiedy się z panem zobaczę osobiście.

Połączenie zostało przerwane. Wyraz twarzy Troya nie zmienił się – z uśmiechem na ustach odkładał słuchawkę. Jeden zero. Wkurzył pułkownika. To dobrze. Może McCulloch nawet stracił panowanie nad sobą? Harmon usłyszał stłumiony dźwięk telefonu dochodzący z wnętrza wartowni. Strażnik podniósł słuchawkę, rozmawiał przez chwilę i rozłączył się. Wecisnął przycisk przy telefonie i jego wzmocniony głos był wyraźnie słyszalny z głośnika zawieszzonego pod dachem.

– Proszę wjechać, poruczniku Harmon. Strażnik pokaże panu, gdzie zaparkować.

Troy nawet nie zapalił silnika.

– Dziękuję, ale pan ma moją legitymację i rozkazy.

– Zostaną panu zwrócone, gdy będzie pan wyjeżdżał.

– Jasne. Tylko że ja nie mam ochoty wjeżdżać do środka, dopóki nie będę miał ich z powrotem.

Strażnik obrzucił Troya długim, lodowatym spojrzeniem, po czym podał mu dokumenty przez okienko. Troy włożył je do wewnętrznej kieszeni marynarki i wsiadł do dzipa. Wartownik na zewnątrz budynku wsiadł razem z nim. Ciężka metalowa brama powoli podniosła się i mogli przejechać.

– Proszę jechać prosto, aż dotrzemy do prawego skrzydła tego dużego budynku, później na pierwszym skrzyżowaniu w lewo.

– Rozumiem. Ten twój pułkownik nie wydaje się zbyt przyjaźnie nastawiony do mnie.

– Nie ma pan żadnego dowodu, by tak sądzić – powiedział strażnik spokojnie.

– Możliwe, ale sądząc po jego głosie, jest człowiekiem, który nie ułatwia innym życia.

Strażnik rzucił w jego kierunku krótkie spojrzenie, później skierował wzrok z powrotem na drogę.

– Dzisiejszy świat jest miejscem, które nie ułatwia życia, synu. Trudno znaleźć pracę w czasie recesji. Zwłaszcza w moim wieku.

– Rozumiem. Pułkownik jest naprawdę słodki.

– Pan to powiedział, nie ja – odparł wartownik nieufnym głosem. – Niech się pan zatrzyma tutaj, numer osiem. Wprowadzę pana.

Wartownia była czysta, starannie wysprzątana i bardzo wojskowa. Kiedy przechodzili przez otwarte drzwi, dwóch mężczyzn pracujących tutaj nawet na nich nie spojrzało. Strażnik zapukał do nie oznakowanych drzwi na końcu korytarza i otworzył je.

– Dzięki – powiedział Troy, kładąc mu rękę na ramieniu i wszedł do środka.

Pułkownik siedział za biurkiem i zajęty był pisaniem. Troy stał w milczeniu, a gdy tamten spojrzał na niego, zsalutował. Pułkownik odsalutował dopiero po chwili, bardzo wolno podnosząc rękę.

– Chcę zobaczyć te rozkazy, poruczniku. – Tak jest, panie pułkowniku. McCulloch pobieżnie przejrzał papiery i rzucił je na biurko. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, ale w głosie dało się wyczuć rozdrażnienie.

– Nie ma tutaj żadnej wzmianki o powodzie pańskiej wizyty. To tylko zwykłe upoważnienie. Czego pan tutaj chce?

– Czy muszę dalej stać na baczność, panie pułkowniku?

– Spocznij. Po co pan tu przyjechał?

– Mamy polecenie sprawdzenia jednego z pańskich ludzi, kaprała Aurelio Mendeza.

– Mendez jest czysty. Wszyscy moi ludzie są czysti. Kto wydał to polecenie?

– Wydział policji w Baltimore. Czy mogę usiąść, panie pułkowniku?

– Co pan sobie, do jasnej cholery, wyobraża, poruczniku? Pana wejście tutaj, zachowanie...

– Proszę posłuchać, pułkowniku. Nie jestem jednym z pańskich ludzi i nie podlegam panu. Jestem tutaj, by otrzymać pana pomoc w tym dochodzeniu, nic ponadto. Jeśli nie będę mógł z panem współpracować, po prostu wrócę do Pentagonu i zamelduję o tym generałowi Brownlee. Poznaje pan, oczywiście, jego podpis na tych rozkazach?

Żeby postawić kropkę nad "i", Troy odwrócił się do pułkownika plecami, przysunął spod ściany drewniane krzesło i usiadł. Widział, jak twarz McCullocha pęcznieje z wściekłości i czekał na wybuch, do którego jednak nie doszło.

McCulloch rozluźnił zaciśnięte pięści i odwrócił się na krzesło, by wyrzeć przez okno. Kiedy ponownie spojrzał na Troya, panował już całkowicie nad sobą.

– W porządku, poruczniku, możemy współpracować. Co chce pan zrobić?

– Chciałbym przeprowadzić nieformalną rozmowę z kapralem. Jeśli znalazłoby się jakieś pomieszczenie, z którego mógłbym skorzystać...

– Nie. Odmawiam pozwolenia. Jeśli zamierza go pan przesłuchiwać, muszę być przy tym obecny. Jestem odpowiedzialny za całkowite bezpieczeństwo tego laboratorium, co oznacza również bezpieczeństwo moich ludzi.

– To jest niezgodne z regulaminem.

– Nie z moim. Zrobi pan tak, jak powiedziałem, albo w tej chwili załatwię przeniesienie Mendeza do innego oddziału.

Troy wzruszył ramionami.

– Może pan zrobić, co pan chce, to pan jest dowódcą, ale będę zmuszony złożyć raport w sprawie pogwałcenia rozkazów, z którymi tu przybyłem.

– Zrób to, ty czar... poruczniku, zrób to.

McCulloch po raz drugi został wyprowadzony z równowagi. Co chciał powiedzieć, zanim się rozmyślił? – zadał sobie pytanie Troy.

Nim zdążył sprowokować go po raz kolejny, pułkownik złapał za słuchawkę i wykręcił numer. Nikt nie odebrał telefonu. Pułkownik bez słowa sztywnym krokiem wyszedł z pokoju. Troy wyjrzał przez okno, po czym przeszedł wzdłuż gabinetu, nie zadając sobie trudu sprawdzania czegokolwiek. To było bez wątplenia jedyne całkowicie czyste miejsce.

Minął prawie kwadrans, zanim pułkownik był z powrotem. Energicznym ruchem nacisnął klamkę, stanął z boku, przepuszczając pulchnego kaprała ubranego w poplamiony kombinezon, po czym sam wszedł do środka i zamknął drzwi.

– Kaprału Mendez, to jest porucznik Harmon z policji wojskowej. Chce panu zadać kilka pytań.

– O co chodzi, panie poruczniku? – zapytał Chucho, wolno żując gumę.

Jego twarz miała charakterystyczne indiańskie rysy.

– Usiądź, Chucho...

– Tak zwracają się do mnie moi przyjaciele. Nazywam się Mendez, kapral Mendez.

Stał, wpatrując się w Troya zimnym, pełnym pogardy wzrokiem.

Pułkownik już z nim rozmawiał, pomyślał Troy, przysuwając sobie krzesło. Co mógł mu powiedzieć? Czy istnieje jakiś związek pomiędzy tymi dwoma mężczyznami, coś poza ochroną laboratorium? Pozostawało mu jedynie spróbować się tego dowiedzieć.

– O co chodzi, Chucho? – zapytał. – Nie zacząłem jeszcze z tobą rozmawiać, a ty już odwracasz się do mnie plecami. Czy coś cię martwi?

– Nic mnie nie martwi, ale nie lubię gliniarzy. Ani wojskowych, ani żadnych innych.

– Przykro mi to słyszeć, gdyż właśnie policja zajmuje się tą sprawą. To właśnie dlatego tutaj jestem. Dochodzenie prowadzi policja z Baltimore. Z tego co wiem, był raport o tym, że jeden z twoich przyjaciół...

– Moi przyjaciele nie mają ze mną nic wspólnego. Nic nie wiem. Jak widać, jestem zajęty; czy to wszystko, czego chciał się pan dowiedzieć?

– Nie, kaprału, nie wszystko. Ta sprawa musi dotyczyć ciebie, inaczej by mnie tu nie było, prawda?

Troy patrzył prosto w oczy Chucho, mając w zasięgu wzroku również pułkownika, który sprawiał wrażenie opanowanego. Jego twarz była równie kamienna jak twarz Mendeza.

– Masz przyjaciela, a raczej znajomego, jeśli nie lubisz słowa przyjaciel, z którym, jak widzieli świadkowie, grałeś w bilard...

– O co, do jasnej cholery, w tym wszystkim chodzi? Grałem w bilard z połową Meksykanów w Baltimore!

– Daj mi skończyć, to poważna sprawa. Jeden z twoich przyjaciół o nazwisku Paco Callado uciekł z więzienia, zanim została wpłacona kaucja. Kiedy twoje nazwisko pojawiło się w tym dochodzeniu, sprawę skierowano do mojego wydziału.

– Panie pułkowniku, czy muszę wysłuchiwać tych bzdur? – zapytał Chucho, odwracając się do

Troya plecami. – Czy ta sprawa nie została wyjaśniona dawno temu? Kiedy przyjmowano mnie do pracy w ochronie? Czy musimy zaczynać wszystko od początku?

– Nie, nie musimy – powiedział stanowczym głosem McCulloch. – Może pan wracać do swojej pracy, kapralu.

Podszedł do okna, patrząc przez nie, aż usłyszał, że drzwi się zamknęły. Później spojrzał Troyowi prosto w oczy.

– Kapral ma rację, ta sprawa została zamknięta. Jeśli pańscy ludzie uważają, że należy do niej powrócić, to proszę go stąd przenieść, gdyż ja nie zgodzę się na ingerencję w działalność mojej grupy. Czy to jasne, poruczniku?

– Bardzo jasne, pułkowniku. Złożę generałowi raport ze wszystkiego, co pan powiedział.

– Niech pan to zrobi, poruczniku Harmon. A teraz proszę się stąd wynieść.

Troy wyszedł. Nie dowiedział się wprawdzie nic nowego o złocie, ale przynajmniej poznał pułkownika i był pewien jednej rzeczy. Nie było mu dane zostać jego wiernym przyjacielem. Uśmiechnął się na myśl o tym, wsiadł do dżipa i opuścił parking. Nie żywił do pułkownika żadnych pozytywnych uczuć; był on wojskowym skurwysynem w każdym calu. Z pewnego powodu pułkownik również nie darzył go ciepłymi uczuciami. Stało się to jasne w chwili, kiedy przekraczał próg jego gabinetu. Później, kiedy pułkownik stracił panowanie nad sobą, był bliski powiedzenia czegoś, ale powstrzymał się. Co chciał powiedzieć?

ROZDZIAŁ 6

Czarnuch! Tak powiedział do siebie pułkownik McCulloch, gdy drzwi zamknęły się za Troyem. Wyszeptał to tak cicho, że nikt, kto byłby oddalony od niego na więcej niż stopę, nie usłyszałby tego. Mimo to wyraz ten brzmiał wściekłością.

Prawie tak go nazwałem, pomyślał, prawie powiedziałem to na głos. Ale nie zrobiłem tego i to jest najważniejsze. Rozwścieczył mnie, tak wszedł mi za skórę. Ten bękart nie zmieszałby mnie z błotem bardziej, nawet gdyby robił to celowo...

Stał w miejscu, koncentrując się przez chwilę na tej myśli, później odwrócił się do okna i patrzył, jak porucznik wychodzi z budynku i wsiada do dżipa. Czy to możliwe, czy istnieje jakiegokolwiek, choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że robił to celowo? Czyżby w końcu się do niego dobrali? Dwukrotnie w przeciągu ostatnich dwóch tygodni miał wrażenie, że jest śledzony, ale nigdy nie udało mu się potwierdzić tych przypuszczeń. Za każdym razem, kiedy zjeżdżał z codziennej trasy dom – jednostka, zatrzymywał się, jadący za nim samochód. To nie miało żadnego znaczenia. Dwa lub trzy samochody mające łączność radiową mogły się z łatwością wymieniać i śledzić go bez jego wiedzy. Pozostaje jeszcze problem domu. Kiedy to było? Cztery dni temu. Właśnie wtedy miał uczucie, że ktoś był w jego mieszkaniu i grzebał w papierach. Żadnego dowodu – po prostu wrażenie, że ktoś wyjął dokumenty i włożył je z powrotem. Wszystkie trzy zapałki były na swoim miejscu, we frontowych i tylnych drzwiach oraz w garażu. Mimo to czuł, że ktoś tam był. A może stawał się paranoikiem obsesyjnie myślącym o zbliżającym się terminie? Lepiej, żeby był paranoikiem, to był jedyne sposób, aby do samego końca być czujnym. Uwierzyć, że nadchodzi najgorsze – przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, a później cieszyć się, że nie nadeszło. Cóż więc, gdyby ktoś był w moim domu? Co z tego, że śledziliby mnie i wiedzieli, że kupowałem złoto? Jaki byłby ich następny ruch? Odpowiedź na to pytanie była oczywista; sam często zajmował się tego typu sprawami. Normalną procedurą byłoby rozpoczęcie wnikliwej analizy podejrzanego przy pomocy kogoś, kto pod jakimś pozorem musiałby się do niego zbliżyć. Na samą myśl o tym poczuł chłód na karku. Czy ten porucznik mógł być właśnie tym podstawionym? Czy możliwe, że przesłuchanie było tylko przykrywką dla wejścia do jego biura i zmuszenia go do rozmowy? Właściwie – dlaczego nie? Być może ten czarnuch był bystrzejszy niż można by sądzić po jego wyglądzie.

Ale to było bez znaczenia, powiedział do siebie, to nie miało żadnego znaczenia. Chciał po prostu zapomnieć, że to wszystko w ogóle miało miejsce. Nawet jeśli jego podejrzenia były słuszne, nie było nic, co mógłby zrobić. Musiał zachowywać się normalnie, postępować zgodnie z rutyną. Pozostawało jeszcze tylko kilka dni. Nie wolno mu było zrobić niczego, czym zwróciłby na siebie uwagę. Przede wszystkim nie należało zmieniać stylu życia. Robiło się późno, a on nie chciał zrezygnować ze swoich planów na wieczór. Jeśli wszystko co mieli to tylko podejrzenia, nie było się czym martwić. Trzymać ich w niepewności jeszcze przez jakiś czas, a potem będzie już za późno, by mogli cokolwiek zrobić.

McCulloch odwrócił się szybkim ruchem od okna i usiadł przy biurku. Miał dzisiaj zaplanowaną kolację i musiał zdążyć. Zamierzał tylko zrobić małą poprawkę. Uśmiechnął się na myśl o tym, kiedy wykręcał numer telefonu.

– Marianne, to ty? Tak, mówi Wes. Kolacja z wszystkimi przystawkami? Jak apetyt? Naprawdę? To najlepsza wiadomość. Posłuchaj, zamiast do Old Europe chodźmy tym razem na porządny stek do The Jockey Club. Zgadzasz się? Wiedziałem, że się zgodzisz. Podobał mi się ten twój okrzyk radości. Oczywiście, że to kosztuje. Ale czy kiedykolwiek odmówiłem ci czegoś? Zadzwoń tam teraz i zamówię stół. Punktualnie o siódmej. Jeśli nie zadzwonię, to znaczy, że nie

zmieniamy planów. Do zobaczenia w klubie.

Zamówił stolik i resztę popołudnia spędził na ogłupiającej papierkowej robocie, siedząc przy biurku dokładnie do szóstej. Był całkowicie zdyscyplinowany. Praca pochłaniała go i pozwalała zapomnieć o kłopotach.

Przechodząc przez biura i sprawdzając, czy wyłączono wszystkie światła, stwierdził, że większość personelu poszła już do domu. Jedna z maszyn do pisania nie była przykryta. Zawołał do dziewczyn, które właśnie wychodziły:

– Czyja to maszyna?

Wszystkie trzy odwróciły się, patrząc na niego w milczeniu. W końcu Daisy powiedziała:

– Moja.

Niedorozwinięta dziwka, pomyślał.

– Czy nie mówiłem ci, żebyś nie zostawiała na noc maszyny bez pokrowca?

– Tak, zapomniałam.

– Naprawdę? W takim razie z twojej najbliższej pensji zostanie potrącone pięć dolarów za nieuszanowanie własności państwowej, za pozostawianie sprzętu bez ochrony przed nocnym kurzem. Czy to poprawi ci pamięć?

– Nie może pan tego zrobić! – krzyknęła.

– Już to zrobiłem.

Możliwe że wywarło to wrażenie na tym ograniczonym umyśle. Będzie odwoływała się do związków, ale to nie jego problem. Patrzył, jak opuszczają budynek, po czym zgasił światła i przekręcił klucz w zamku drzwi wejściowych.

Pogwizdując jechał do miasta. Sącył właśnie drugiego drinka, kiedy weszła Marianne. Dał znak kelnerowi.

– To samo dla tej pani. Bombay martini. – Już się robi.

Marianne podeszła do stolika z uśmiechem na ustach. Miała na sobie długą, jedwabną suknię z czarującym wycięciem na przedzie. Musnęła go policzkiem, wiedząc, że nie cierpi smaku i dotyku szminki, po czym spojrzała na niego i przesłała mu całusa.

– Fantastycznie wyglądasz w tej sukience. Nowa?

– Nie. To jest sukienka, którą wkładam raz do roku przy specjalnych okazjach. Twój telefon zwałił mnie z nóg. The Jockey Club! Poszłam wcześniej do domu, żeby się przebrać. Wyjątkowa sukienka na wyjątkową kolację.

Trącili się kieliszkami. Marianne wzięła głęboki łyk martini i roześmiała się.

– Szczerze mówiąc, Wes, nie wiem, czy kiedykolwiek będę cię mogła zrozumieć.

– Więc nie próbuj.

– Spotykamy się, jest fajnie, żadnych problemów. Nagle ni stąd, ni zowąd wychodzisz z tym. To jest chyba najdroższy lokal w mieście.

– Jeden z najdroższych. Nie martw się, płacę kartą kredytową. – Wybuchł śmiechem nie wiadomo dlaczego, a Marianne zaczęła się śmiać razem z nim.

Zanosilo się na wieczór, który miał im na długo pozostać w pamięci. Rzeczywiście było tak pod każdym względem. Kiedy nie mogła wybrać pomiędzy stekiem a homarem, zamówił dla niej kaczkę z owocami, później butelkę szampana, który jak wyjaśnił, był jedynym winem, jakie mógł pić przy tym zestawie dań. Rzuciła okiem na cenę trunku i nie mogła uwierzyć. Może myliła się co do niego, może widział w niej nie tylko dziewczynę, z którą można miło spędzić czas. Dziwniejsze rzeczy działy się przedtem w Waszyngtonie... Kiedy serwowano crepes suzette była tak najedzona, że mogła tylko spróbować, ale już samo patrzeć, jak je przygotowywano w płonącej brandy, było podniecające.

– Zadowolona? – zapytał, wkładając do ust jedno z tych czarnych cygar, które ostatnio nauczył się palić.

Zaśmiała się i ścisnęła go za rękę.

– To za mało powiedziane. Nie sądzę, bym kiedykolwiek była na lepszej kolacji. Z pewnością nie, od kiedy jestem w Waszyngtonie.

– Czy nie jadłaś czegoś takiego w Saint Louis?

– Żartujesz? Tam, żeby stek nazwano posiłkiem, musi mieć wielkość olbrzymiej patelni. Byłam na pół wegetarianką, zanim tu przyjechałam sześć miesięcy temu. Nie, naprawdę to za dużo.

– Zasługujesz na to. Co powiesz na dancing, żeby zbić te kalorie?

– A może zamiast tego będziemy zbijać kalorie u ciebie?

Ścisnęła mocniej jego rękę, kiedy to mówiła, po czym wolno przesunęła koniuszkiem języka po swoich czerwonych wargach. Nie potrafił się oprzeć urokowi tej propozycji. Była bardzo zmysłową dziewczyną i wiedział, że dotrzyma danej obietnicy.

– Zepsuta – powiedział i uśmiechnął się, kiwając głową. – Ale napij się jeszcze brandy, a ja skończę cygaro. Oczekiwanie jest czasami lepszą częścią przyjemności.

Kiedy jechali do domu, oparła “głowę na jego ramieniu. Wyszukał w radio jakąś muzykę i zaczął nucić. Gdy byli na miejscu, jak zawsze wjechał do garażu, wyłączył alarm, otworzył drzwi do domu, po czym pomógł jej wysiąść z samochodu. Nie zauważyła jego krótkich spojrzeń sprawdzających czy zapalki są na miejscu.

– Drinka?

– Tak, poproszę jeszcze trochę tego niebiańskiego koniaku, czy jak to tam się nazywa.

– Armaniak, co oznacza brandy z Armagnac, tak jak koniak to brandy z Cognac, tyle że koniak jest lepszy.

– Nigdy nie sprzeczam się z ekspertami.

Marianne wiedziała, że jest lekko wstawiona, ale lubiła to, gdyż alkohol ułatwiał jej utrzymanie dobrego nastroju. Chciała, by tak było zawsze. Jak długo znała Wesa? Prawie cztery miesiące. Od czasu do czasu spotkanie, kolacja, teatr lub tańce, później do jego domu i do łóżka. Właściwie to nie miała nic przeciwko temu, ale zawsze miała wrażenie, że wszystko jest ukartowane. Nie ma seksu – nie ma randki. Nigdy o tym nie mówił ani nawet nie robił żadnych aluzji na ten temat. Miała po prostu takie uczucie, ale mogła się mylić. Bardzo chciała się mylić.

To był wspaniały wieczór, jakiego nigdy przedtem jeszcze nie przeżyła. Taki naturalny i cudowny. Siedzieli na kanapie, on powiedział coś śmiesznego, a ona się roześmiała, później pocałował ją. Wszystko było inne, tak jak za pierwszym razem. Kiedy delikatnie dotykał dłonią jej piersi, wzdychała z rozkoszy. Potem zaczął całować jej sutki i wtedy było jeszcze przyjemniej.

Później jej ubranie porzucane było po całym pokoju, tak jakby wróciła noc, kiedy robili to ze sobą po raz pierwszy. Potem wziął jej gorące, nagie ciało w ramiona, zaniósł do sypialni i wszystko zaczęło się do nowa. Zmysły zawładnęły nią jak nigdy przedtem.

Krzyknęła, kiedy zabolą ją, jak wgryzał się zębami w jej ciało, ale całował ją i tulił, więc szybko zapomniała. Był silny, aż za silny, ale jej się to podobało.

Po raz pierwszy zdarzyło się jej zasnąć po namiętnych chwilach. Wszystko było inaczej. Przebudziła się i otworzyła oczy, kiedy poczuła, że wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Marianne usłyszała szum prysznica; zawsze tak bywało, kiedy kończyli się kochać, ale tym razem szum wody usypiał ją. Przebudziła się nagle, mrużąc oczy od światła padającego z nocnej lampki. Stał nad nią z mokrymi jeszcze włosami w narzuconym szlafroku.

– Chcesz armaniaku?

– Tylko nie to. Zabiłby mnie.

– Jak chcesz, ale dżin z tonikiem lubiłaś zawsze. Skinęła głową, patrząc, jak wychodzi z pokoju. Jej myśli, emocje, wszystko wirowało. Pewne czynności były zawsze takie same. Prysznic, który zmywał ich namiętność, dżin i jazda do domu. Ale dziś było inaczej. Sięgnęła po szlafrok, który zawsze zostawiał na brzegu łóżka, ale nie było go tam.

Czyżby zapomniał? A może wszystko rzeczywiście miało być inaczej? Nie chciała pozwolić sobie na marzenia. To było marzenie wszystkich dziewczyn przyjeżdżających do Waszyngtonu z całego kraju. Praca w biurze, spotkania z szefem lub przystojnym oficerem, romans, małżeństwo, a później z powrotem do Peoria lub Macon, czy nawet Saint Louis i zazdrość reszty dziewczyn, które zostały w domu. Ale sny czy marzenia rzadko się spełniają. Wygrzebała się z pościeli i mruczając coś pod nosem, poszła do toalety. Nigdy nic nie wiadomo. Było zimno. Lubiła jego wełniany, długi do ziemi szlafrok i chciała go zdjąć z wieszaka, ale spadł na podłogę. Gdy schyliła się, zobaczyła pod szlafrokiem skórzane torby, jakie przypina się do motoru. Jedna z nich była otwarta. Wystawały z niej jakieś papiery, szkice z zamazanymi numerami identyfikacyjnymi.

Wyprostowała się, założyła szlafrok i weszła do łóżka, zanim zdążył wrócić do pokoju.

– Dzięki – powiedziała, kiedy podał jej drinka. – Mmm... dobre.

Postawił swoją szklankę na stoliku i poszedł zgasić światło w łazience.

– Te torby w toalecie – powiedziała. – Nie wiedziałam, że jeździsz teraz na motorze.

Stał odwrócony do niej plecami, więc nie mogła dostrzec wyrazu nagłej czujności, jaka pojawiła się w jego oczach. Wyłączył światło, wrócił i stanął obok łóżka.

– O co ci chodzi z tymi torbami? – zapytał, z trudem panując nad lodowatym głosem.

ROZDZIAŁ 7

– O nic – powiedziała Mariannę, pochylając się nad szklanką i próbując wycisnąć więcej soku z plasterka cytryny zatkniętego na jej brzegu. Zajęta tym, nie widziała wściekłego spojrzenia Wesa. – Chodziło mi o to, że wystają z nich jakieś rysunki czy szkice z napisem Departament Obrony i pistolet. Nie wiedziałam, że zabierasz do domu nie dokończoną w biurze robotę i broń.

– Powiedziałem ci, że pracuję w ochronie. My nigdy nie śpimy.

– Wierzę w to. Wiem, co robisz w łóżku.

Wybuchła śmiechem, rozbawiona własną śmiałością. On też się uśmiechnął, pochylił i pocałował ją. Zapomnieli na chwilę o szkicach i torbach.

– Dokończ drinka – powiedział. – Obawiam się, że będziemy się musieli niedługo pożegnać. W przeciwnym razie jutro w pracy będziesz nieprzytomna.

– Hmm, masz rację, ale nie dzwoń po taksówkę, dopóki się nie ubiorę.

– Nie dzwonię po taksówkę. Zbyt wiele mętów i gwałcicieli kręci się tutaj. Mam wrażenie, że nawet taksówki nie są już tak bezpieczne jak kiedyś. Sam odwiozę cię do domu i odprowadzę aż do drzwi.

Nie patrzył na nią, kiedy to mówił, więc nie dostrzegł w jej oczach krótkiego błysku nadziei. Opróżniła szklankę i zbiegła na dół po ubranie. Po raz pierwszy zaproponował, że odwiezie ją do domu! Do tej pory zawsze jeździła taksówką. Panuj nad sobą dziewczyno. Niczego właściwie jeszcze nie powiedział, to tylko aluzje, ale za to jakie! Nuciała jakąś słodką melodię, gdy wkładała na siebie sukienkę.

Waszyngton zasypia wcześniej i dobrze im się jechało z Aleksandrii przez Potomac. Minęli po drodze Biały Dom. Migoczące lampy sprawiały imponujące wrażenie. Doskonałe zakończenie doskonałego wieczoru, pomyślała Mariannę. To miasto naprawdę jest cudowne. Kiedy dotarli na Connecticut Avenue, gdzie nie było prawie ruchu, byli już blisko jej mieszkania.

– Zaprosisz mnie na górę na filiżankę kawy? – zapytał, gdy mijali zoo.

– Bardzo bym chciała, Wes, ale wiesz, ten dozorca... Takie rzeczy się tutaj szybko roznoszą i gdy te świętoszki w bloku dowiedzą się, moje życie stanie się koszmarem.

– A co z tylnym wyjściem od strony parkingu?

– Oczywiście! Zapomniałam o nim. Nigdy tamtędy nie wchodziłam.

Dom wybudowano na zboczu wzgórza, co oznaczało, że gdy weszli tylnym wejściem, znajdowali się w najniższej części budynku, pod piwnicą. W małym korytarzu panowała absolutna cisza, a pusta winda czekała na nich. Równie cicho było na dwunastym piętrze.

– Masz tutaj chyba za dużo zamków – powiedział, kiedy wyjmowała trzeci klucz.

– Doradziła nam to firma ubezpieczeniowa. Przedtem nie było tygodnia, by komuś nie okradli mieszkania. Mieliśmy nawet morderstwo na trzecim piętrze. Ktoś dostał się przez piwnicę. Właśnie dlatego przy drzwiach wejściowych od strony parkingu są dwa zamki. Waszyngton to nie byle jakie miasto.

– Staje się coraz bardziej niebezpieczne. Zamek zazgrzytał w stalowej oprawie, gdy energicznym ruchem otworzyła ciężkie drzwi.

– Rozgość się – powiedziała Mariannę. – Nastawię wodę. Może być rozpuszczalna?

– Jasne! – zawołał, kiedy zniknęła w małej kuchni. – Nie zbudzimy twojej koleżanki?

– Tricii? To niemożliwe. Drzwi od jej pokoju są zamknięte, co znaczy, że nie wróciła jeszcze do domu. Bardzo poważnie traktuje swoje randki, więc nigdy nie zjawia się przed pierwszą. Później

w pracy jest nieprzytomna. Powiedzieli jej, że jeśli dalej tak pójdzie, to ją zwolnią.

– Jest dopiero pół do pierwszej. Mamy czas na spokojne wypicie kawy. – Mówiąc chodził po pokoju i oglądał meble.

Zatrzymał się przy kominku.

– Czy to działa?

– Coo? – wyjrzała z kuchni i zaśmiała się. – Atrapa. Chciałabym, żeby można w nim było palić tak jak w naszym, w Saint Louis. Uwielbiam otwarty ogień. Poza tym przydaje się, gdy są kłopoty z prądem. Ale tutaj to niemożliwe, to przecież dwunaste piętro. Z cukrem?

– Jedną łyżeczkę i śmietankę, jeśli masz. – Pochylił się i zatrzymał wzrok na nigdy nie używanym stojaku podpierającym drewniane kłocę.

Była to dekoracyjna imitacja mosiądzu, ale pogrzebacz miał solidną rączkę. Podniósł go i zważył w dłoni. Był ciężki.

– Twoja kawa jest już gotowa – powiedziała Marianne, wchodząc do pokoju. – Jeśli zamierzasz rozpalić za pomocą tego sztuczny ogień, porozbijasz tam wszystko, łącznie z żarówkami.

– Tak, pewnie bym porozbijał – powiedział, odwracając się do niej z ręką zaciśniętą na pogrzebacz. – Gdzie masz swoją kawę?

– W kuchni. Jest jeszcze za gorąca... Wes, co robisz?

Otworzyła szeroko oczy i usta, ale zanim zdążyła krzyknąć, stalowy pogrzebacz dosięgnął jej gardła i roztrzaskał krtań. Wypuściła z ręki filiżankę i upadła ciężko na podłogę jak worek piasku. Uderzenie miało być śmiertelne, najprawdopodobniej była martwa, zanim upadła na dywan, ale on nie wierzył w prawdopodobieństwa. Kilka razy uderzył w czaszkę, aż miał absolutną pewność.

Pułkownik nie był zdziwiony, że z trudem łapie oddech. Zabijanie w ten sposób było czymś innym niż strzelanie z M – 16 do jakichś brudnych Wietnamczyków. To było bardziej osobiste, coś co się przeżywało. Z drugiej jednak strony było to równie ważne. Stał bez ruchu dobrą minutę, aż serce zaczęło mu bić wolniej. Zmuszał się do przypomnienia sobie, czy dotykał czegokolwiek w pokoju. Niczego, był tego pewien. Niczego, poza pogrzebaczem. Wyjął chusteczkę i starannie wyczyścił rączkę aż do miejsca, gdzie widniała mieszanina włosów, krwi i kawałków skóry. Rzucił pogrzebacz na ciało dziewczyny. Później wyjął z kieszeni cienkie skórzane rękawiczki i włożył je. Minęło więc tylko kilka minut, które wydawały mu się co najmniej godziną. Poszedł dokładnie sprawdzić wszystkie okna.

Zasłony były starannie zaciągnięte. Uchylił ostrożnie jedną z nich i zobaczył schody ewakuacyjne biegnące tuż obok okna łazienki. Doskonale, Wes, powiedział do siebie, po czym zgasił światło w łazience. Okno było tuż nad wanną. Rozłożył na dnie wanny matę i stanął na niej. Żadnych odcisków palców, żadnych odcisków butów, po których mogliby go zidentyfikować. To miało wyglądać na przypadkowe włamanie.

Przekręcił klamkę, ale okno, od lat nie otwierane, nie chciało się uchylić nawet na ułamek cala. Kilkakrotnie uderzył w ramę kantem dłoni, aż w końcu zawiasy zaskrzypiały. Uderzył jeszcze raz i okno otworzyło się do połowy. To wystarczyło. Szczupły włamywacz powinien się prześlizgnąć przez tę szczelinę. Sięgnął po omacku w kierunku ręczników i wybrał największy. Był wystarczająco duży, by przykryć nim szybę i owinać zaciśniętą w pięść dłoń wysuniętą, na zewnątrz. Szyba rozbiła się za pierwszym mocnym uderzeniem. Kilka kawałków szkła wpadło do wanny, ale odgłos nie mógł być słyszalny dla kogoś, kto znajdował się poza łazienką. Wyszedł z wanny i opuścił ręcznik tak, że resztki szkła spadły na jej dno.

Wszystko było bardzo logiczne. Wyjął matę i rozłożył ją na podłodze, a ręcznik wrzucił do wanny. Jakiś intruz rozbił okno i wtargnął do środka. Ręcznik pozostawiony był w wannie przez

roztargnioną dziewczynę, co tłumaczyło obecność kawałków szkła, którymi był pokryty. Wszedł do przedpokoju. Jaki byłby następny krok włamywacza? Poszedłby do pokoju poszukać kosztowności. Musiał działać szybko, gdyż ściany w tego typu budynkach są bardzo cienkie. Wysunął szufladę z biurka i ostrożnie położył ją na dywanie. Pochłonięty plądrowaniem mieszkania przeszedł obojętnie nad ciałem Mariannę. W szufladzie z bielizną znajdowała się jakaś małowartościowa biżuteria, którą wsunął do kieszeni. Włamywacz potrzebuje pieniędzy. W tej samej szufladzie, tuż za kasetką z biżuterią znalazł pamiętnik Mariannę. Przeczytanie go byłoby niezłą zabawą. Jak ktoś mógł napisać takie bzdury! Ten facet z tą dziewczyną i ja zobaczyliśmy kogoś nowego. Zrobiłam sobie trwałą. Przerzucił szybko kartki i zatrzymał się na stronie, na której zauważył swoje imię. Zmarszczył brwi, kiedy czytał jej sekrety. Bezczelna! On sknera! Dostała to, na co zasłużyła. Włożył pamiętnik do kieszeni. Na łóżku leżała jej portmonetka. Wyjął z niej pieniądze M schował do kieszeni, a portmonetkę rzucił na podłogę w kuchni. Wtedy właśnie zauważył stygnącą na stole kawę.

Chryste, ale ze mnie idiota! W pokoju pod jej ciałem była już jedna filiżanka. Po cóż więc druga kawa? Czyżby zamierzała zaprzyjaźnić się z włamywaczem? Policja z pewnością nie przeoczyłaby tej wskazówki. Wylał kawę do zlewu, umył i wytarł łyżeczkę, spodek i filiżankę, cały czas klnąc na siebie, że mógł zapomnieć o tak oczywistej rzeczy. Odstawił filiżankę do szafki.

Kiedy skończył, była pierwsza. Niezwracanie uwagi na uciekające minuty wymagało od niego wiele wysiłku, ale zmusił się do ignorowania mijającego czasu. Powiedziała, że Tricia będzie najwcześniej o pierwszej. Musiał być bardzo dokładny i kilka razy wszystko starannie sprawdzić. Obejrzał dokładnie każde pomieszczenie, aż upewnił się, że nie było żadnych śladów jego obecności. To miało być zwyczajne włamanie, kradzież, a potem morderstwo popełnione przez zaskoczonego nagłym pojawieniem się dziewczyny włamywacza. Nic nie wskazywało na jakikolwiek inny bieg wydarzeń.

Skrzynka bezpiecznikowa była tuż za drzwiami kuchni. Gdy wykręcił główny bezpiecznik, wszystkie światła zgasły. Mieszkanie było ciemne, musiał więc skorzystać z latarki, by dostać się do pokoju. Przesunął fotel tak, by nie był widoczny bezpośrednio z przedpokoju, usiadł i czekał.

Czas mijał wolno, bardzo wolno. Zaczęły go nachodzić wątpliwości, czy na pewno wszystko się uda. Na co dzień nie był człowiekiem o wybujałej fantazji, ale teraz, gdy jego wyobraźnia zaczęła pracować, niespokojnie wiercił się w fotelu. Czy istniała możliwość, że ktoś widział jego samochód na parkingu i zorientował się, że nie należy do nikogo z tego bloku? Mógł spisać numery rejestracyjne, albo co gorsze zawiadomić policję. Możliwe też, że Tricia zostanie z chłopakiem całą noc i nie wróci do domu. Mógł tak tkwić tutaj do świtu. Możliwe...

Usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

W okamgnieniu odzyskał sprawność działania, ostrożnie, bez pośpiechu wstał i stanął przy ścianie. Otwarcie trzech zamków dawało mu mnóstwo czasu. Drugi. Później charakterystyczny zgrzyt trzeciego. W świetle padającym z korytarza dostrzegł sylwetkę dziewczyny, gdy przekraczała próg.

– Mariannę – szepnęła. – Jesteś w domu? Śpisz?

Nowojorski akcent, pomyślał, kolejna dziwka z Północy.

Zamknęła drzwi i dotykając ściany, po omacku dotarła do przełącznika. Przekręciła go w jedną i drugą stronę.

– Cholera, przepalone – mruknęła.

Posuwał się wzdłuż ściany w kierunku głosu.

Jego oczy zdążyły się już przyzwyczaić do ciemności.

Widział jej postać na tle oświetlonej uliczną latania zasłony. Wyciągnął rękę.

Czasu wystarczyło jej tylko na krótki, zdławiony kaszel. Później, kiedy jego palce zacisnęły się

na jej szyi, nie miała już żadnych szans. Była młoda i silna, ale niewystarczająco silna.

Zaszedł ją od tyłu, więc nie mogła go ani podrapać, ani kopnąć. Przyciągnął jej ciało do siebie i wygiął się do tyłu tak, że oderwała się od podłogi.

Coraz słabiej wierzyła nogami. Cierpły mu ręce, ale wciąż trzymał jej szyję w żelaznym uścisku, mimo iż przestawała dawać jakiejkolwiek oznaki życia. Nie chciał ryzykować; nigdy nie ryzykował. Nawet kiedy już puścił jej szyję, musiał się jeszcze upewnić. Z całej siły zacisnął obie ręce na jej piersiach. Była to doskonała metoda sprawdzenia, czy tli się w niej jeszcze życie. Nie wydała żadnego głosu. W chwili, gdy ciężko opadła na podłogę, usłyszał dzwonek telefonu. Któż to? Kto może dzwonić o tej porze w nocy? Może to sąsiad, który coś usłyszał? Nie, niemożliwe. Przecież tak bardzo uważał, by zachowywać się cicho.

Stał w ciemności sparaliżowany niemożnością podjęcia decyzji. Nie wolno mu było podnieść słuchawki, nie mógł też otworzyć drzwi na korytarz, kiedy dzwonił telefon. Było za głośno. Może powinien go wyłączyć? Nie...

Odetchnął z ulgą, gdy telefon w końcu przestał dzwonić. Najwyższy czas opuścić to miejsce. Coś zgrzytnęło pod jego butem, gdy po omacku szedł w kierunku drzwi. Co to było? Nie było tego tutaj przedtem. Kopnął to przed siebie, otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Był pusty. Otworzył szerzej drzwi i popatrzył pod nogi. Okazało się, że nadepnął na damską portmonetkę. Wszelkie wynagrodzenie za trud jest mile widziane, pomyślał, uśmiechając się. Osłoniętymi rękawiczką palcami otworzył portmonetkę i wyjął banknoty. Z przegródki wypadła szminka i potoczyła się w kierunku dużego lustra wiszącego obok drzwi wejściowych.

Podsunęło mu to bardzo dobry pomysł. Trochę urozmaicenia nie zaszkodzi znudzonej pracy policji. Lekko uchylone drzwi wpuszczały wystarczającą ilość światła, by mógł napisać szminką na lustrze niezgrabne, drukowane litery. Arcydzieło. Rzucił szminkę na podłogę i otworzył szerzej drzwi, by móc podziwiać napis: ŚMIERĆ BIAŁYM KÓRWOM.

To powinno zbić ich z tropu. Czas już iść.

O pierwszej trzydzięci w dzień powszedni w waszyngtońskim bloku nie ma prawie żadnego ruchu. Jedna z wind stała wciąż na dwunastym piętrze. Przeszedł obok drzwi dźwigu i zaczął schodzić schodami. Żadnego ryzyka. Zszedł na dół do samej piwnicy najszybciej jak mógł. Bardzo ostrożnie otworzył drzwi na korytarz. Był pusty. Przyćmione światło paliło się przy tylnym wyjściu. Parking był nie oświetlony i nie było na nim żywej duszy. Zaczynało padać. Pułkownik wyszedł i z pochyloną głową szybkim krokiem podszedł do samochodu. Silnik zapalił za pierwszym przekręceniem kluczyka w stacyjce. Wyjeżdżając z parkingu, 'włączone miał tylko światła postojowe. Później przełączył je na krótkie i przejechał skrzyżowanie, kierując się na Connecticut. Żadnych pieszych, żadnych samochodów.

Gdy minął dwa skrzyżowania, zdał sobie sprawę, że zapomniał wkręcić korki z powrotem i po plecach przebiegł mu nagły dreszcz. Nie miał pojęcia, co pomyśli o tym policja, ale i tak było już za późno, by tam wracać. Wszystko będzie dobrze, starał się przekonać sam siebie, przecież wyłączone korki nie wiązały się w żaden sposób z jego osobą. Zaśmiał się i strach zaczął go powoli opuszczać.

Rock Creek Park był opustoszały, kiedy tamtędy przejeżdżał. Dalej droga prowadziła wzdłuż Potomacu. Nikogo nie zauważył, kiedy zatrzymał się i wrzucił biżuterię do rzeki. Bał się, że pamiątnik może nie pójść na dno, więc podarł go i wcisnął do kosza na śmieci pomiędzy gazety i papiery po kanapkach.

Dalsza jazda była równie spokojna, co wprawiło go w dobry nastrój. Pogwizdując wjechał do garażu.

ROZDZIAŁ 8

Troy Harmon pracował nad swoim końcowym raportem, cały czas zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek usłyszy o pułkowniku Wesleyu McCullochu. Kończąc raport, dopisał prośbę, by powiadomiono go o dalszych postępach w dochodzeniu. Nie było żadnego powodu do zakupu tego złota i bardzo chciał wiedzieć, o co właściwie w tym wszystkim chodziło.

Nie wydawało mu się jednak, by dochodzenie kontynuowano. To prawda, że pułkownik kupował duże ilości złota; z drugiej jednak strony czemu nie miałby tego robić? Już od dawna wolno było obracać złotem na wolnym rynku, niepotrzebne były żadne upoważnienia ani zezwolenia, więc McCulloch nie zrobił niczego wbrew prawu. Jego postępowanie było po prostu intrygujące. Nabył złoto za wszystkie pieniądze, jakie posiadał, by ukryć je w swoim sejfie. Wykorzystał wszystkie swoje oszczędności, sprzedał nowy samochód i kupił stary, po raz drugi zaciągnął pożyczkę na hipotekę domu. Wciąż kupował coraz więcej złota. Jego postępowanie można by nazwać ekscentrycznym, ale nie niezgodnym z prawem.

Troy dołączył swoje spostrzeżenia do raportu, zrobił kopię do własnej kartoteki i wręczył raport sekretarce admirała Colonne. Dowiedział się, że admirała nie będzie w mieście przez dwa dni i że skontaktuje się z nim, kiedy tylko wróci. Nieźle, pomyślał Troy, dwa dni wypoczynku przyda się również i jemu. Jego stary przyjaciel żenił się w Nowym Jorku. Wprawdzie już go przeprosił, że będzie nieobecny, ale nie było jeszcze za późno, by zadzwonić i powiedzieć, że jednak uda mu się przyjechać. Było piątkowe popołudnie i nikt w Waszyngtonie nie odczuje jego braku, jeśli urwie się wcześniej z pracy.

To był udany weekend. Pierwszy dzień to wielka popijawa w towarzystwie chłopaków z Jamaica High School usprawiedliwiona wieczorem kawalerskim. Części obecnych w ogóle nie znał, a pozostałe twarze rozpoznawał z trudem. Jego kontakty ze starą paczką rozluźniły się, od kiedy opuścił miasto, by studiować na uniwersytecie w Itace, po skończeniu którego wstąpił do wojska. Zawsze nosił się z zamiarem odwiedzenia tych stron, ale jakoś nigdy mu się to nie udało. Nie miał już w Jamajce żadnej rodziny; kilku krewnych, jacy mu pozostali, mieszkało w Detroit. Ojciec zmarł na raka, kiedy on był w Wietnamie, matkę spotkał ten sam los kilka miesięcy później. Umarła w samotności, jak mówili ludzie, co mogło być prawdą, gdyż była bardzo związana z ojcem. Ale to wszystko należało już do przeszłości. Mimo tych wspomnień powrót w rodzinne strony okazał się wspaniałym przeżyciem i trudno by mu było wracać w niedzielę do Waszyngtonu, zwłaszcza że wypił morze alkoholu. Pierwszy wahadłowy lot z LaGuardia w mokry poniedziałkowy poranek był czymś w rodzaju zejścia do piekieł. Uczucie to potęgował potworny kac. Stał w tłumie za barierką, oczekując na zapowiedź swojego lotu i wolno sączył kawę z tekturowego kubka z napisem EASTERN LINES. Później gniótł się w ciasnym fotelu wahadłowca, usiłując czytać "New York Times". Cudownie, przed nimi jeszcze tylko dwanaście samolotów oczekujących na start. Więcej czasu na ziemi niż w powietrzu. "Cieszymy się, że wybraliście państwo lot liniami Eastern. Temperatura na zewnątrz wynosi..."

Teraz powoli sączył kawę z porcelanowej filiżanki, chcąc zabić smak tekturowego kubka, który ciągle jeszcze go prześladował. Na tacy, na której przyniesiono mu kawę, leżała mała kartka z prośbą o telefon do jakiegoś porucznika, którego nie znał. Ale w armii było wielu poruczników.

Ten jednak nie należał do armii, ale był porucznikiem waszyngtońskiej policji.

– Dzwonię zgodnie z pana prośbą, poruczniku... Andersen. Mówi porucznik Harmon.

– Cieszę się, że pan dzwoni, poruczniku. Chciałbym się z panem spotkać. Podam panu adres...

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, o co chodzi?

– Na razie mogę powiedzieć, że jest to dochodzenie w sprawie morderstwa i że mamy nadzieję, iż pan nam pomoże. Czy możemy się spotkać jeszcze dziś przed południem?

– Już jadę.

Jakieś morderstwo? Co to może mieć wspólnego z moją działką? Ale przynajmniej będzie to jakaś odskocznia od pracy nad tym gburowatym zbieraczem złota. Poprosił recepcjonistę, by zadzwonił po taksówkę. Ciężkie, opuchnięte powieki i podkrążone oczy przypominały mu, że ostatni weekend nie należał jeszcze zupełnie do przeszłości. Nie miał najmniejszej ochoty na spacer przez zimowe, zachmurzone miasto.

Komisariat mieścił się w nowoczesnym, jasnym budynku, który wyglądem całkowicie odbiegał od drewnianych bud, jakie oglądał w serialach telewizyjnych. Również porucznik Andersen w niczym nie przypominał bohatera ze szklanego ekranu. Z krótkimi siwiejącymi włosami, okularami jakie noszono przed wojną, przypominał bardziej nauczyciela w wieku emerytalnym niż gliniarza. Był również bardzo, bardzo czarny.

– Proszę usiąść, poruczniku – powiedział Anderson z miękkim wschodnim akcentem. – Robię kawę, napije się pan?

– Tak, poproszę.

– Przepraszam za ściągnięcie pana tutaj, ale mamy problem sprowadzający się do podwójnego morderstwa. Przyszło mi do głowy, że być może będzie pan w stanie nam pomóc. Możliwe, że sprawa ta dotyczy kogoś z armii.

– Pomogę z przyjemnością. Jak dotąd ten poniedziałkowy poranek jest koszmarem, jeśli więc będę mógł zrobić coś konstruktywnego...

– Cieszę się. – Andersen otworzył grubą teczkę. – Na pierwszy rzut oka wyglądało to na zwykłe włamanie, uwieńczone nie planowanym morderstwem. Incydent wydarzył się w mieszkaniu na Connecticut, niedaleko parku. Wybite okno przy zewnętrznych schodach ewakuacyjnych. W drzwiach wejściowych jest duży solidny zamek, ale żadnych krat w oknach; nigdy się nie nauczą. Miejsce splądrowane, brakuje kosztowności, dziewczyna o nazwisku Marianne Sobell zatłuczona stalowym pogrzebaczem na podłodze w pokoju gościnnym. Można by założyć, że nie знаła włamywacza lub włamywaczy i usiłowała bronić swojej własności. Mieszkała z koleżanką, Tricią Broderick, która najwyraźniej weszła w dość kłopotliwym dla przestępcy momencie. Wybrnął z sytuacji, skutecznie zaciskając ręce na jej szyi.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, w jaki sposób jest to związane z armią? Czy któraś z nich pracowała w wojsku?

– Nie. Proszę dać mi skończyć, zaraz będzie o powiązaniach z armią. Od razu zainteresowało nas kilka rzeczy. Na przykład dlaczego wykręcono główny bezpiecznik odcinający dopływ prądu? Ponadto zabójca lub też zabójcy najprawdopodobniej wyszli drzwiami, gdyż nie były one zamknięte na żaden z zamków. Jednakże rzeczą, która nas najbardziej zainteresowała, było to. – Wyjął z kartoteki odbitkę zdjęcia. – Znaleźliśmy to napisane na lustrze przy drzwiach.

Troy wziął zdjęcie i zmrużył oczy.

– Śmierć białym kurwom! – Odrzucił odbitkę na biurko. – I co z tego? Oznacza to, że zrobił to jakiś wojowniczy, przesiąknięty do szpiku kości złem czarny, który nawet nie wie, jak się pisze "kurwa"! Ale pan ma trochę za ciemną skórę, by należeć do Ku – Klux – Klanu...

– Uspokój się, stary – powiedział Anderson. – Przydzielono mnie do tej sprawy według grafiku i nie miałem żadnego pojęcia, jak to wygląda, zanim przekroczyłem próg tego pokoju. Nie mam zamiaru robić z tego sprawy o dyskryminację czarnych, to chyba ktoś inny tego chce. Tu jest fotografia tej pierwszej zamordowanej, Marianne.

Widok był okropny, ale w swoim życiu Troy widywał już gorsze. Oczywiście w Wietnamie dziewczyny nie były takie ładne. Ale śmierć jest śmiercią.

– A tutaj jest ta druga, Tricia.

Troy wziął fotografię, spojrzął i zamarł. Jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Andersona.

– Cholerny skurwysyn! – wykrzyknął.

Anderson skinął głową.

Tricia Broderick była czarna. Ciemnoskóra piękność; nawet po śmierci wyglądała ślicznie.

– Coś się za tym kryje – powiedział Troy. – To nie było zwyczajne włamanie.

– Jestem dokładnie tego samego zdania. Morderstwo z premedytacją, upozorowane na zabójstwo podczas włamania. Jakiś skurwiel usiłujący skierować śledztwo w kierunku przestępstwa na tle rasowym. Nie wiem, co sobie wyobrażał ten morderca, ale ja nie zamierzam odłożyć sprawy na półkę. Zwłaszcza po bliższym przyjrzeniu się okolicznościom. Na początek zająłem się chłopakiem Tricii. Jeździ po całym kraju dużymi ciężarówkami. Tej nocy wrócił i trasy i miał randkę z Tricią. W przyszłym miesiącu mieli się pobrać, więc nic dziwnego, że jest teraz kompletnie rozbity. Nie można go o nic podejrzewać, gdyż w chwili, kiedy mordowano te dziewczyny był w garażu. Po randce, którą mieli w mieszkaniu jego rodziców, wysłał Tricię do domu taksówką. Jego garaż znajduje się dwa skrzyżowania dalej, więc poszedł tam pieszo i zadzwonił, by sprawdzić, czy dziewczyna dotarła bezpiecznie do domu. Zawsze tak robił, ale tym razem nikt nie podniósł słuchawki. Ma bardzo napięty rozkład kursów. Musiał wyjechać M trasę, mimo iż brak odpowiedzi na telefon nie dawał mu spokoju. Godzinę później, będąc już M drodze, zadzwonił z zajazdu przy Interstate Ninety Five. Tym razem też nikt nie podnosił słuchawki, więc zadzwonił na policję. Właśnie dlatego zajęliśmy się tą sprawą tak szybko.

– Jak szybko oznacza szybko?

– Nigdy nie jest za szybko. Jeśli chodzi o Tricię, śledztwo utknęło w martwym punkcie, natomiast w przypadku Mariannę znaleźliśmy pewną nitkę w jej miejscu pracy. Była maszynistką. Nie miała żadnych bliższych znajomych, ale z kilkoma dziewczynami z biura rozmawiała podczas przerw na kawę. Dowiedzieliśmy się od nich, że od kilku miesięcy miała stałego przyjaciela, oficera armii.

– To jest to powiązanie z wojskiem?

– Zgadza się, ale to jeszcze nie koniec. Chcieliśmy z nim porozmawiać, by dowiedzieć się, co robiła tamtego wieczoru, lecz było to niemożliwe, gdyż nigdy nie wymieniła jego imienia ani rangi. W dniu zabójstwa wyszła wcześniej z pracy, ponieważ, jak powiedziała dziewczynom, wybierała się z przyjacielem na kolację do The Jockey Club. Nigdy przedtem nie była – w tym lokalu. Powiedziała też, że musi tam dotrzeć przed siódmą. Sprawdziliśmy to. Był tam tylko jeden oficer, który zarezerwował dwuosobowy stolik. Mężczyzna ten to pułkownik McCulloch.

Troy poderwał się na równe nogi, uderzając dłońmi w blat biurka.

– Pułkownik McCulloch? Ma pan na myśli pułkownika Wesleya McCullocha?

– Tak, to ten. Właśnie dlatego poprosiłem pana tutaj. Chcieliśmy oczywiście przesłuchać pułkownika, ale nie znaleźliśmy go ani w pracy, ani w domu. Zniknął. Jak się pan domyśla, nasze śledztwo poruszyło pewną machinę. W dziesięć minut po naszym telefonie do laboratorium, gdzie pracuje pułkownik, mieliśmy na karku FBI. Kiedy wyjaśniliśmy im, co się stało, powiedzieli, by skontaktować się z panem. Nie powiedzieli dlaczego, tylko że powinniśmy porozmawiać właśnie z panem. Czy może nam pan powiedzieć, o co im chodziło?

– Nie wiem, czy mi wolno. Pozwoli pan, że najpierw zadzwonię.

Andersen przesunął telefon w stronę Troya i zajął się papierkową robotą, podczas gdy Harmon

rozmawiał z admirałem Colonne i wyjaśniał mu najnowszą sytuację. Po kilku minutach odłożył słuchawkę. Andersen podniósł pytająco brwi. Troy policzył punkty, zginając kolejno palce:

– Jeden. Pułkownik zajmuje się ochroną czegoś ściśle tajnego. Jeśli nie podam panu szczegółów, proszę nie pytać. Dwa. Wolno mi powiedzieć panu wszystko, co na temat pułkownika wie FBI. Szczerze mówiąc, wątpię, bym sam wiedział coś więcej. Jeśli pstryknie pan palcami na samochód tak jak robią to w telewizji, opowiem panu o wszystkim w drodze do domu pułkownika McCullocha.

– Już się robi. Nie mamy tutaj jednak ani jednego szofera, w przeciwieństwie do tych w telewizji. Zwykły pięcioletni Ford, któremu niezbędny jest remont kapitalny. Kierowcą będę ja. Chodźmy.

Ford przynajmniej miał syrenę, która bardzo się przydała, kiedy przejeżdżali przez zatłoczone ulice Aleksandrii. Posłaniec z QCIC czekał na nich przed domem i wręczywszy Troyowi kopertę, natychmiast odjechał. Troy rozerwał ją i wyjął klucze.

– Czy to zgodne z prawem? – zapytał, otwierając drzwi do domu McCullocha.

– To śledztwo w sprawie morderstwa. Wyłamałbym drzwi, gdyby pana nie było. Proszę to po prostu otworzyć i wpuścić mnie pierwszego.

Andersen rozpiął kurtkę i wyjął służbową trzydziestkę ósemkę. Troy uśmiechnął się, patrząc na niemłodego już policjanta nerwowo zaciskającego dłoń na broni.

– Bez obrazy – powiedział – ale myślę, że w Wietnamie otworzyłem więcej drzwi niż pan ich widział. Proszę stanąć tuż za mną i trzymać to w pogotowiu.

Wbiegli do środka, co okazało się zbytecznym środkiem ostrożności, gdyż dom był pusty. Troy miał wrażenie, że nic się nie zmieniło od czasu, gdy włamał się do posiadłości pułkownika. W sypialni odsunął dywan, podniósł klapę i wskazał ręką na sejf.

– Co by się stało, gdybym to otworzył? Czy śledztwo w sprawie morderstwa upoważnia mnie do tego?

Anderson wzruszył ramionami.

– To zależy co tam znajdziemy. Myślę, że jest pan w stanie zamknąć to równie łatwo, jak otworzyć. Widział pan zdjęcia, widział pan dziewczyny, więc proszę rozwalić to cholerstwo, a o prawie pomyślimy później.

Troy wciąż jeszcze miał w portfelu kartkę z cyframi, którą dostał od "hydraulika". Pochylił się i powoli przekręcił pokrętkę. Przy nastawianiu gałki na ostatnią cyfrę drzwiczki odskoczyły. Otworzył je do końca.

Sejf był pusty. Złoto zniknęło.

Nie, niezupełnie pusty. Na dnie leżała złożona kartka papieru. Schylili się obaj, by ją obejrzeć.

– Jest na niej pana nazwisko – powiedział Anderson.

– Czy mogę ją przeczytać?

– Czemu nie? Wprawdzie za mała na pułapkę, ale mogą być na niej jakieś odciski palców, więc proszę ją wziąć za róg i rozłożyć za pomocą pióra.

Troy wyciągnął kartkę, chwytając ją tylko paznokciami, położył na szafce i rozchylił piórem.

Napis na kartce wykonano grubym czerwonym flamastrem.

Szukaj dalej, bambusie, ale i tak mnie nie znajdziesz.

ROZDZIAŁ 9

– Pan jest tym bambusem? – zapytał porucznik Andersen.

Troy skinął powoli głową, starając się panować nad narastającą wściekłością.

– Znienawidził mnie od naszego pierwszego i, jak dotąd, jedyne spotkanie. Już kiedy wszedłem do jego gabinetu, był na mnie wściekły. Później jego wściekłość wzrastała z każdą minutą rozmowy.

– Myślałem, że armia jest zintegrowana.

– Nigdy tak nie było. Zawsze można było spotkać czarne owce. Sądzi pan, że ta czarna owca jest na tyle głupia, by nie wiedzieć, jak się poprawnie pisze "kurwa"?

Andersen skinął głową.

– Czuję, że zanosi się na paskudną sprawę – powiedział. – Obojętne, czy zgodne z prawem, czy nie, ale ten zakup złota musi być czymś istotnym, inaczej ani pan, ani FBI nie interesowałibyście tym. Spróbujemy, opierając się na faktach, odtworzyć tamten wieczór. Mariannę miała tę cholerną randkę z McCullochem w piątek o siódmej. Jedli steki, homary i popijali szampana. Zanosilo się na cudowne spotkanie. W domu pułkownika poszli do łóżka i pewnie nie wydarzyłoby się nic szczególnego, gdyby ona czegoś nie odkryła, nie wiem czego, ale było to coś, czego nie powinna odkryć. Zamiast odesłać dziewczynę do domu taksówką, pułkownik zawiózł ją tam sam, zabił i upozorował włamanie. Później wykręcił bezpieczniki i po ciemku czekał na jej współlokatorkę, która mogła wiedzieć, z kim Mariannę miała się spotkać. To wszystko wygląda dość paskudnie, ale trzyma się kupy.

– Ile w tej teorii jest pańskich domysłów, a ile faktów?

– Domyślam się jedynie, że odkryła coś tutaj, w tym domu, i przypuszczam, co miało miejsce w jej mieszkaniu. Reszta to fakty, które zazębiają się o siebie jak hasła w krzyżówce. Wiemy, że tego wieczoru wyszli razem na kolację. Sekcja zwłok wykazała, że nie została zgwałcona, ale dobrowolnie odbyła stosunek. Zażywała środki antykoncepcyjne, których ślady znaleziono we krwi. W pochwie odkryto nasienie. Ramiona i piersi nosiły ślady namiętych pocałunków. Dozorca twierdzi, że w ciągu ostatnich miesięcy kilkakrotnie wracała do domu taksówką późno w nocy. Wprawdzie tamtej nocy nie otwierał jej drzwi, ale każdy lokator tego budynku ma klucz do wejścia od strony parkingu.

Troy raz jeszcze przeczytał kartkę, po czym odłożył ją z niesmakiem.

– Tak, ma pan rację, ta hipoteza nie jest pozbawiona sensu. Jeśli jego zniknięcie jest związane ze złotem i w dodatku było z góry zaplanowane, mógł bez trudu zlikwidować każdego, kto o tym wiedział, kto mógł mu w czymś przeszkodzić. Był w Zielonych Beretach i wie cci nieco na temat zabijania ludzi. Co się za tym wszystkim kryje?

– To już nie mój problem – powiedział Anderson, wsuwając kartkę do koperty za pomocą pióra. – Jeśli chodzi o mój wydział, sprawa ta kończy się w tym punkcie. Sprawdzimy oczywiście tę kartkę, przeszukamy i zabezpieczymy dom i temu podobne rutynowe czynności, ale mam mocne przeczucie, że wyczerpaliśmy nasze możliwości. Oczywiście nadal będziemy zajmować się tym śledztwem, pójdziemy każdym tropem i będę pana na bieżąco informował o postępach. Jednak wydaje mi się, że to moje dochodzenie w sprawie morderstwa jest pestką w porównaniu z tym, co pan musi zrobić. Powiedział pan, że McCulloch zajmował się czymś ściśle tajnym.

– Tak, i dlatego jego zniknięcie to prawie katastrofa. Czuję, że coś wisi w powietrzu. Zadzwoń do pana, kiedy będę wiedział coś, co wolno mi będzie panu powiedzieć.

– Już teraz wie – pan o tej sprawie dwa razy więcej niż ja.

– Przykro mi, ale nie mogę panu powiedzieć nic ponadto.

– Nie martw się, synu, spędziłem w tej robocie całe życie i wiem, że kiedy “rządowi” przystępują do akcji, my musimy się wycofać.

– Dzięki. Czy mogę wziąć tę kartkę?

– Zatrzymamy oryginał i przysłemy panu odbitkę po południu. Czy to wystarczy?

– W zupełności. Czy może mnie pan podwieźć?

– Pod same drzwi.

Jechali w milczeniu. Drobny deszcz, który padał przez cały dzień, zmienił się w ulewę odzwierciedlającą ponury nastrój Troya. Jego myśli krążyły wokół zamordowanych dziewczyn, pustego sejfu, drwiącej notatki adresowanej bezpośrednio do niego, a nawet wokół domu, który wydał mu się pusty bez McCullocha. Nie wiedział jak ani dlaczego, ale czuł, że wszystkie te zagadkowe sprawy były ze sobą powiązane. Zamierzał zrobić wszystko, by ten węzeł rozsupłać.

Gdy tylko zjawił się w drzwiach budynku na Massachusetts Avenue, recepcjonista kiwnął na niego ręką.

– Rozkazy od admirała. Chce, by jak najszybciej przyszedł pan do niego. Trzecie piętro, małe żelazne drzwi na końcu korytarza.

– Nie do sali konferencyjnej, jak zwykle?

– Proszę się czuć zaszczyconym, jest pan wśród niewielu wybranych. Proszę tylko zostawić tutaj swój płaszcz. Zawiadomię admirała, że pan już idzie.

Drzwi były na wpół otwarte. Zawahał się, ale z wnętrza dobiegł go głos admirała:

– Wejdz, Troy, i zamknij za sobą.

Troy nie wiedział, czego się spodziewać po gabinecie admirała – na pewno nie tego, co zastał. Pomieszczenie w niczym nie przypominało biura zwierzchnika.

Nie było też podobne do pokoju marynarza. Pokój nie miał okien i był pusty, jeśli nie liczyć szafek pokrywających jedną ścianę. Admirał siedział tyłem do niego wpatrzony w monitor komputera, obok którego znajdowała się drukarka laserowa i telefon. To było wszystko. Nie było nawet innych krzeseł poza tym, na którym siedział admirał.

– To miejsce stworzone do prawdziwej pracy – powiedział. – Wszystko, czego potrzebuję, dociera tu do mnie albo przez komputer, albo przez telefon i wraca tą samą drogą. Nie wierzę już w papiery, nie w wieki elektroniki. A teraz opowiedz mi o tej potwornej sprawie z pułkownikiem McCullochem.

Nie było na czym usiąść, chyba że na podłodze, więc Troy stał z rękami założonymi do tyłu i dokładnie przedstawiał fakty oraz wnioski, do których doszedł z Andersenem. Admirał zamiast na niego, patrzył w monitor i od czasu do czasu wystukiwał na klawiaturze komputera kilka słów, jak gdyby uzupełniał kartotekę. Spojrzał na niego dopiero wtedy, gdy powiedział o kartce i pustym sejfie.

– Czy pamiętasz, co było napisane na tej kartce?

– Trudno o tym zapomnieć, panie admira! Napisał: Szukaj dalej, bambusie, ale i tak mnie nie znajdziesz.

– Interesujące. Musiał chyba zdawać sobie sprawę z tego, że twoja wizyta w jego gabinecie miała na celu przesłuchanie jego samego, a nie kaprała. Oznacza to, że albo wiedział, że FBI ma go na oku, albo spodziewał się tego. Jeżeli naprawdę zabił te dwie kobiety, mogłoby to wskazywać na jakiś ścisły plan, którego nie chciał zmieniać. Jeśli wszystkie te przypuszczenia są słuszne, najwyraźniej usiłować tylko doczekać odpowiedniej chwili, by zrealizować swe zamiary. Zrezygnować z kariery, wyjechać ze złotem i żyć gdzieś daleko stąd. To musiało być coś cholernie

ważnego. Czy przychodzi ci do głowy, co to może być?

– Nie, panie admirale. Mam natomiast kilka pomysłów, które należałoby natychmiast zrealizować. Myślę, że należy bezzwłocznie wysłać rysopis McCullocha na wszystkie lotniska, punkty graniczne, komory celne, wszędzie, skąd mógłby opuścić kraj. Jestem pewien, że znajdą się powody, dla których należałoby go zatrzymać.

– Oczywiście, możemy zacząć od dezercji. Ostatnio słyszałem o napadzie z bronią w rękę.

Admirał szybko stukał palcami w klawiaturę komputera. Po chwili przeczytał natychmiastową odpowiedź, napisał następne polecenie i usiadł wygodnie. Drukarka laserowa zaszeleściła i wyrzuciła arkusz papieru.

– Potwierdzenie z FBI, ze szczegółami podjętej akcji. Niech żyje sieć komputerowa! W ciągu trzech minut cały kraj dowiedział się o pułkowniku.

– Czy sądzi pan, że to coś da?

– Nie. Dokądkolwiek zmierzał to albo już tam dotarł, albo jest w drodze, ale nie zaszkodzi pozamykać drzwi, nawet jeśli jest za późno. Jaki jest twój następny ruch?

– Myślałem nad czymś, jadąc tutaj. Najpierw jednak chciałbym wiedzieć, czy nadal jestem odpowiedzialny za tę operację.

– Tak, dopóki tego nie odwołam.

– Chciałbym zatem wydać trochę państwowych pieniędzy. Potrzebuję tutaj w kraju pomocy FBI i CIA za oceanem. Chcę, żeby poinformowali mnie o każdym szczególe życia McCullocha. Kim są jego przyjaciele, z którymi zresztą chcę porozmawiać, kiedy do nich dotrzemy. Przy okazji chcę też poznać jego wrogów. Chcę poznać wszystkie jego kontakty, nazwisko każdej dziewczyny. To będzie kupa śmieci, którą bardzo wolno trzeba będzie przepuszczać przez sito. Jednak gdzieś w tym wszystkim musi być odpowiedź na nasze pytania dotyczące samego pułkownika i jego złota.

Admirał skinął głową.

– To brzmi zachęcająco. Zastanowię się nad tym. Czym chciałbyś zająć się tymczasem?

– Chcę udać się do miejsca pracy pułkownika i porozmawiać z każdym, kto go poznał. To może naprowadzić nas na jakiś trop. Wiem już, że powiedział coś temu kapralowi, którego miałem przesłuchać. To było coś o mnie, coś, co zdenerwowało Mendeza. Chciałbym poznać treść tej rozmowy. Potrzebna mi jest również przepustka do Weeks Electronics, bym mógł porozmawiać z pracującymi tam ludźmi. Czy pan wie, nad czym pracują?

– Nie. Wiem tylko, że to ściśle tajne badania dotyczące jakiejś wysoko rozwiniętej techniki. Czy sądzisz, że ma to coś wspólnego ze zniknięciem pułkownika?

– Nie mam pojęcia, ale chcę zbadać każdą ścieżkę. Czy McCulloch wiedział, nad czym oni pracują?

– Jestem pewien, że tak.

– Zatem ja również muszę to wiedzieć. Czy może pan to załatwić, admirale?

– Chyba tak. Jeśli jesteś absolutnie czysty, to nie powinno być problemów. Zadam odpowiednie pytania i wkrótce się dowiemy.

Pozytywna odpowiedź nadeszła w niespełna godzinę. Czas ten pokazał, jak dużą wagę przywiązywano do kwestii bezpieczeństwa, jak bardzo zniknięcie pułkownika zaniepokoiło ludzi na wysokich szczeblach. Godzinę po nadejściu odpowiedzi Troy został wezwany przez admirała do sali konferencyjnej. Starał się nie być spięty w towarzystwie generała i pułkownika, którzy czekali na niego. Admirał przedstawił go zebranym.

– Generale Stringham, pułkowniku Burkhardt, to jest sierżant Troy Harmon. Jak panom wiadomo, w tej operacji bierze udział jako porucznik;

Troy zasalutował najlepiej jak potrafił. Odsalutowano mu w milczeniu, które ciągnęło się aż do momentu, kiedy admirał Colonne opuścił pokój.

– Generał przyjmie teraz od pana przysięgę na zachowanie tajemnicy w sprawach ściśle tajnych – powiedział pułkownik, pełniący rolę świadka składania przysięgi. – Później otrzyma pan dokumenty i przepustkę dającą panu dostęp do projektu Gnomen.

Będę tam pana eskortował. Proszę teraz podnieść prawe rękę.

Po raz pierwszy Troy usłyszał nazwę projektu, nad którym pracowano w laboratorium. Nazwa ta jednak nic mu nie mówiła. Ceremonia była bardzo krótka i zaraz potem udał się z pułkownikiem do samochodu. Dwóch motocyklistów torowało im drogę, gdy przedzierali się przez popołudniowy korek. Po raz pierwszy Troy zaczął sobie zdawać sprawę, jak głębokie były wody, na których łowił.

– Paskudna pogoda – powiedział pułkownik Burkhardt. – Za wcześnie się zaczęło i sędzę, że zima będzie jeszcze gorsza. – Pochylił się i domknął boczną szybę. – Musi się pan dowiedzieć, dokąd ten wiarołomny skurwysyn pojechał, a później niech pan przybije jego diabelską skórę do ściany. Rozumie pan?

– Tak jest, panie pułkowniku. Czy wolno mi spytać, czy zna pan projekt Gnomen?

– Nie, nie wiem o nim nic z wyjątkiem tego, że badaniami kieruje doktor Delcourt, z którą jedziemy się spotkać. Badania te są najbardziej tajne ze wszystkich prowadzonych na terenie tego kraju i finansuje je ze swego budżetu CIA. Nic więc dziwnego, że gdy oficer służby bezpieczeństwa mający pilnować tego wszystkiego nagle znika, wiele ważnych osobistości wpada w panikę. Lepiej, żeby zdał pan sobie już teraz sprawę, że gdy tylko dowiemy się, na czym jesteśmy terenie, na pewno powołamy specjalną grupę o szerokich uprawnieniach, żeby się tym zajęła. Tymczasem skoro pan rozpoczął to śledztwo, będzie je pan prowadził, aż pana nie odwołamy. Oznacza to, że jest nam pan potrzebny do zdobycia pewnych informacji. Chwilowo.

“Tak jest, panie pułkowniku” było jedyną odpowiedzią ze strony Troya. Po tej jednostronnej rozmowie Burkhardt zagłębił się w swoim siedzeniu i w ciszy nerwowo żuł nie zapalone cygareto przez resztę podróży.

Ich dokumenty otwierały im drogę na wszystkich punktach kontrolnych na terenie laboratorium. Strażnik wszedł z nimi do windy, którą wjechali na piętro, gdzie znajdował się gabinet dyrektorki.

Doktor Roxanne Delcourt była kobietą zbliżającą się do sześćdziesiątki. Miała siwe włosy i nie była brzydka mimo braku makijażu. Ubrana była w szary, wysłużony fartuch, a jedyną biżuterią, jaką miała na sobie, był sznur pereł widoczny spod kołnierzyka białej jedwabnej bluzki. Nie miała pierścionków i nawet czwarty palec prawej ręki był pusty. Podała rękę Troyowi i odprowadziła Burkhardta do drzwi. Gdy wyszedł, rozluźniła się i uśmiechnęła do Troya.

– Proszę usiąść, poruczniku. Mamy tu dzisiaj urwanie głowy. Zdaje się, że McCulloch nie pojawił się rano w pracy i z jakiegoś powodu traktuje się to jak koniec świata.

– Musi pani przyznać, że może to oznaczać coś bardzo poważnego. Mimo wszystko był szefem tutejszej ochrony.

– Wiem o tym, ale nie mamy tu nic, co mogłoby zainteresować potencjalnych szpiegów. Gnomen jest czysto naukowym eksperymentem z dziedziny wyższej matematyki i fizyki jądrowej. Zaczynamy mieć wyniki, ale obawiam się, że minie wiele lat, zanim znajdzie zastosowanie.

– Czy McCulloch wiedział coś o tych badaniach?

– Wszystko. Musiał przecież wiedzieć, czego pilnuje.

– Obawiam się więc, że i ja będę musiał zostać w to wtajemniczony. Czy mogłaby pani powiedzieć mi, co kryje się pod kryptonimem Gnomen?

ROZDZIAŁ 10

– Mój drogi – powiedziała Roxanne Delcourt. – Chcesz, bym wyjaśniła wszystko, nad czym się tutaj pracuje? – Usiadła wygodnie w fotelu i bawiła się przekładaniem żółtego ołówka między palcami. – To może okazać się trudne. Zacznijmy od pewnej matematycznej teorii...

– Przepraszam panią bardzo, ale matematyka nigdy nie była moim ulubionym przedmiotem.

– Obawiam się, że dotyczy to większości ludzi. I jeszcze, jedno: na imię mam Roxanne. Doktor to nie jest moje imię, tak samo chyba jak porucznik nie jest twoim.

– Święte słowa, pani doktor, to znaczy Roxanne. Na imię mam Troy.

– W porządku, Troy. Pozwól, że opowiem ci o matematyce bez zagłębiania się w szczegółowy opis jej istoty. Moja praca zawsze była związana z teorią ruchu cząstek, mam na myśli cząstki atomu, i związkiem tego ruchu z jednolitą teorią pola...

– Zniszczyłaś mnie już za pierwszym pociągnięciem. O jakiej teorii mówisz?

– Jednolita teoria pola wyrosła z teorii względności Einsteina. Innymi słowy jest to próba powiązania i znalezienia wewnętrznych relacji pomiędzy wszystkimi siłami we wszechświecie, co nie jest znowu takie łatwe. Latami wielu ludzi ciężko pracowało, by udowodnić lub obalić tę teorię, by ją dokładnie rozumieć. Podobnie jak Einstein jestem matematykiem, nie fizykiem. W przeciwieństwie jednak do niego dysponuję większą liczbą badań i eksperymentów laboratoryjnych, na których mogę się oprzeć. Co więcej, teraz są większe możliwości, by sprawdzić każdą nową teorię i właśnie tym się tutaj zajmujemy.

– To znaczy czym? – zapytał zaintrygowany.

– Staramy się powiązać relacje między przestrzenią a czasem. Może gdybym ci pokazała, co robimy, zrozumiałbyś to lepiej.

Nie rozumiał. Szedł za nią przez cały budynek i patrzył na przyspieszacze molekularne, komory ciśnieniowe i wiele innych urządzeń, których nie umiał nawet nazwać. Podekscytowani naukowcy pokazywali mu jakieś krzywe linie na negatywach. Chwalili się nimi jak rodzice dziećmi. Zakończył wędrówkę kompletnie przygnębiony, zdając sobie sprawę, że nie pracuje na pełnych obrotach, i zastanawiał się, czy może coś na to poradzić. Roxanne zabrała go do bufetu dla personelu kierującego badaniami, gdzie serwowali doskonałą kawę i duńskie tosty.

– Te wszystkie urządzenia robią duże wrażenie – powiedział Troy między jednym a drugim kęsem.

– Tak, z pewnością. Czy wiesz, jaka to fascynująca praca?

– Nie – przyznał. – Sądzę natomiast, że twój system zabezpieczeń jest pierwsza klasa. – Wybuchnęli śmiechem. – Ja nie żartuję – powiedział. – Zdaje się, że McCulloch wplątał się w jakąś podłą sprawę, o której ciągle jeszcze nic nie wiemy, ale jako zawodowy oficer ochrony zrobił doskonałą robotę. Ktoś przypadkowy z zewnątrz może odnieść wrażenie, że ochrona jest ignorowana, jednak w rzeczywistości cały budynek jest podzielony na dokładnie kontrolowane małe segmenty. Każde wejście i wyjście do któregośkolwiek z segmentów jest rejestrowane przez czujniki i kamery. Ta informacja jest wrzucana do komputera, tak że pobyt każdej osoby w jakiegokolwiek części laboratorium można w każdej chwili z łatwością ustalić. Bardzo skuteczne.

– Ale poza tym, Troy...

– Reszta pozostaje dla mnie ciągle tajemnicą. Proszę mnie posłuchać, pani... Roxanne – poprawił się. – Podczas naszej krótkiej wędrówki dwukrotnie wywarłaś na mnie wrażenie. Po raz pierwszy tym, że wiesz dokładnie o wszystkim, co się tutaj dzieje. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego

sprawę, ale udzielałaś odpowiedzi, kiedy jednocześnie pytano cię o wiele różnych rzeczy. Nie wahałaś się. Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówiłaś, ale inni rozumieli i zdaje się, że odchodzili usatysfakcjonowani. Jesteś naprawdę osobą na właściwym stanowisku.

– Nie wiem, czy ktokolwiek powiedział mi coś równie miłego w przeciągu ostatnich kilku lat.

Uśmiechnęła się do niego znad filiżanki kawy i kiedy na chwilę jej twarz przestała być twarzą szefa, wyglądała naprawdę atrakcyjnie.

– To nie pochlebstwo, to szczerą prawdą.

– To lepsze niż komplement. Powiedziałaś, że dwie rzeczy wywarły na tobie wrażenie. Powiedz mi coś o tej drugiej, niech mam dobry dzień.

Ponownie wybuchnęli śmiechem.

– Ta druga rzecz jest prosta – powiedział Troy. – Jesteś osobą, która wie, o czym oni rozmawiają, która kieruje tym wszystkim bez żadnego... hmmm...

– Gderania?

– Tak, właśnie o to mi chodzi. Wiesz, co robisz, i masz całkowitą kontrolę nad sytuacją, a jednocześnie jesteś żywą reklamą ruchu wyzwolenia kobiet, co wpędza mnie w jeszcze większe kompleksy.

– Dlaczego?

– Nie może być inaczej, skoro nadal nie wiem, co się tutaj dzieje.

– Nie, Troy, to moja wina. Przepraszam cię. Każdy, z kim na co dzień rozmawiam, siedzi po uszy w matematyce i fizyce. Jestem tym tak przesiąknięta, że obawiam się, iż zapomniałam normalnego języka. Gdybym zesła z prostej drogi, a ty nie rozumiałbyś więcej niż jednego słowa, po prostu krzyknij "hola"! Dobrze?

– Naprzód!

– Wszystkie formy energii całego wszechświata są ze sobą nieuchronnie połączone. Możesz się o tym przekonać na przykładzie świecącej żarówki, gdzie energia elektryczna przechodzi w energię cieplną, a ta z kolei w energię świetlną. Zdarza się, że te relacje są trudne do uzasadnienia, jak na przykład ruch ciała w polu grawitacji. Powiedzmy, że podnoszę jakiś ciężar i wieszam go na suficie. Wisi tam, ale wciąż zawiera energię moich mięśni, które wykorzystałam, by go podnieść, tyle że ta energia ma teraz inną postać. To będzie energia potencjalna. Gdybyś odciął linę, na której jest zawieszony, energia ta zmieni się w kinetyczną i ciało spadnie.

– Jak dotąd wszystko jasne – powiedział Troy; napełnił ponownie filiżankę. – Prawdę mówiąc, przypomina mi to coś, o czym mówili w szkole.

– Mechanika, pierwszy semestr fizyki. Wiedziałaś to wszystko, ja ci tylko przypominam. Teraz przejdźmy od teorii do rzeczywistych badań, które tutaj prowadzimy, do tego, na co rząd wydaje pieniądze. Moje początkowo teoretyczne kalkulacje zostały sprawdzone praktycznie na wiele sposobów. Eksperymenty jak dotąd potwierdzają moją teorię, chociaż jest kilka problemów wciąż jeszcze nie rozwiązanych. Jednak z grubsza rzecz biorąc, jesteśmy w końcowej fazie eksperymentów i mamy już pierwsze osiągnięcia, wykorzystując wielowymiarowe parametry oddziałujące wyobrazeniowo na okresowe przemieszczenia bez fizycznego rozszczepienia...

– Właśnie to zrobiłaś – przerwał Troy.

– Co?

– Powiedziałaś zdanie, w którym nie było słowa, które bym rozumiał, z wyjątkiem pierwszego. Wykorzystując...

– Masz zupełną rację. Przepraszam. Spróbuję raz jeszcze. W laboratorium kosztem ogromnej ilości energii elektrycznej udało nam się osiągnąć minimalną transformację w okresową energię,

powodując fizyczne przemieszczenie...

Urwała i zaczęła śmiać się z własnych słów.

– Jesteś niepoprawna – powiedział Troy – ale coś zaczyna do mnie docierać. Mówiłaś, że w jakiś sposób udało wam się coś przemieścić na jakiś czas.

– Tak. To znaczy nie. Przemieszczenie nie na jakiś czas, ale w czas.

Troy ostrożnie postawił filiżankę na krawędzi stołu i spojrzał na Roxanne.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – powiedział. – Usiłujesz mi powiedzieć, że przemieściliście kawałek czegoś w czasie?

– Z grubsza biorąc, tak.

– Więc chcesz mi powiedzieć, że tam na dole, te urządzenia... że zbudowaliście wehikuł czasu???

– Cóż, sądzę... – Roześmiała się. – Tak, sądzę, że zbudowaliśmy!

ROZDZIAŁ 11

– Nic dziwnego, że mają tutaj bzika na punkcie ochrony – powiedział Troy. – Wehikuł czasu... Trudno pogodzić się z myślą, że coś takiego może istnieć naprawdę. Ludzie przeskakują z jednego wymiaru w drugi, lecz wszyscy wiedzą że to tylko aktorzy, kostiumy, tekturowa sceneria. Ale żeby mieć coś takiego naprawdę, tu, w tym laboratorium...

Zabrakło mu słów. Sprawdził, czy w filiżance jest jeszcze kawa i opróżnił ją z kilku kropel pozostałych na dnie. Roxanne wstała i podeszła do barku.

– Przepraszam, jestem okropną gospodynią. Ale masz rację. Wehikuły czasu, które przelatują ze świstem w przeszłość czy przyszłość jak nowoczesne pociągi, można oglądać tylko w telewizji. Nasza maszyna nie jest aż tak imponująca. Przy uruchamianiu zużywa tyle prądu, ile wystarczyłoby na oświetlenie całego Chicago, po to tylko, by zrobić, cóż, bardzo niewiele.

– Na przykład co?

– Pokażę ci, ale najpierw dopijmy to.

Przechylił filiżankę i doznał nagłego olśnienia.

– Czy wasza maszyna mogła mieć coś wspólnego ze zniknięciem McCullocha?

Roxanne pomyślała przez chwilę i potrząsnęła głową. – To bardzo, bardzo mało prawdopodobne. Masz na myśli, czy mógł gdzieś w jakichś niegodziwych celach przesłać złoto? To tak mało prawdopodobne, że praktycznie niemożliwe. Największy przedmiot, jaki został dotychczas wykorzystany w eksperymentach, ważył zaledwie kilka gramów. Ale zjedźmy na dół, do "dziewiątki", zanim ją zamkną. Pokażę ci, o co chodzi. Musimy się pospieszyć. Bob Kleiman przychodzi tu wczesnym świtem, ale również wcześniej wychodzi.

Laboratorium numer dziewięć było na samym dole budynku. Nie byli tam podczas wcześniejszej wędrówki. Ciężkie drzwi wejściowe były zamknięte i nawet strażnik nie mógł ich otworzyć, lecz musiał zatelefonować do centrali i potwierdzić ich tożsamość. Dopiero wtedy drzwi się otworzyły. Weszli, a kiedy drzwi automatycznie zamknęły się za nimi, Troy doznał dziwnego uczucia, że włosy ruszają się na jego głowie. Położył na nich rękę i czuł, jak się skręcają pod palcami. Roxanne zobaczyła jego osłupiałą minę i uśmiechnęła się.

– Nie ma się czym martwić – powiedziała, pocierając włosy stojące jej na głowie. – Prąd stały. Kilka milionów woltów, ale prawie zerowe natężenie, czyli nic groźnego. To jest produkt uboczny, który powstaje, kiedy maszyna jest włączona. Powinno ci to dać pewne wyobrażenie o ilości prądu zużywanego tutaj.

Trudno, żeby nie dawało, zwłaszcza kiedy zobaczył przewody elektryczne grubsze niż jego ręka zwisające z olbrzymich ceramicznych izolatorów i wchodzące do wnętrza wielkich, ciężkich urządzeń. Większość z nich stała na mocno oświetlonym środku pomieszczenia, gdzie wydawało się, że podłoga jest wybruszona. Gdy podeszli bliżej, Troy zobaczył, że nie jest to wybrzuszenie, ale grzbiet szarego glazu wystającego z białego betonu. Niektóre z maszyn były do niego przytwierdzone, inne wisiały nad nim na stalowych ramionach. Przy jednej z maszyn pracował mężczyzna w białym fartuchu. Odwrócił się, kiedy Roxanne powiedziała:

– Bob, masz gościa. Porucznik Harmon, doktor Kleiman. Troy, Bob.

– Miło mi – powiedział Kleiman, wycierając pokryte smarem dłonie w poplamiony fartuch.

Doktor Kleiman miał wygląd typowego naukowca z postrzępionymi siwymi włosami, które dawno, bardzo dawno temu zapomniały, jak wyglądają nożyce fryzjerskie. Miał słaby wzrok i mrużył oczy zza grubych jak dno butelki szkielek.

– Jeśli przyszedł pan, by wziąć mnie do wojska, to jest już za późno. Od urodzenia jestem niezdolny do służby.

Troy uśmiechnął się.

– Może pan spać spokojnie – powiedział. – Nie wygląda pan na mięso armatnie.

– Ma pan szczęście, ale skoro cel pańskiej wizyty nie jest urzędowy, to jaki?

– Pokaz – powiedziała Roxanne. – Pomyślałam, że Troy lepiej zrozumie nasz projekt, gdy zobaczy, co robimy. Czy przeprowadzasz jakieś badania kontrolne?

– Przez cały dzień to robię i jeśli nie uznasz tego za chwalenie się, to powiem ci, że na prawo od rzędu dziesiątych udało mi się dopisać dwa zera.

– To fantastyczne!

Roxanne z radości zaczęła klaskać w dłonie, a Troy pożałował, że nie było mu dane rozkoszować się rządami dziesiątych i zerami. Nie próbował nawet zaznać tego szczęścia i nie prosił o wyjaśnienia.

– Wolałbym jednak, byś na razie nie trzymała mnie za słowo – powiedział Kleiman, po czym zwrócił się do Harmona: – Rzućmy jej coś na pożarcie, to zobaczysz, jak działa. Troy, czy masz dwudziesto – pięciocentówkę? Tyle wynosi opłata za wstęp na to przedstawienie. Dobra, dzięki.

Bob wziął monetę i położył ją na stole, potarł pilnikiem, niemiłosiernie przy tym zgrzytając, po czym oddał własność Troyowi.

– Przyjrzyj się uważnie – powiedział. – Zrobiłem szczelinę nad wspaniałymi lokami Jerzego. Widzisz?

– Tak.

– Moneta jest z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku. Czy jest wystarczająco charakterystyczna, byś mógł ją potem rozpoznać? Niektórzy ludzie później narzekają, że zostali oszukani.

– Być może zostali. Nie zauważyłem daty, kiedy dawałem panu monetę. Mógł pan mieć wcześniej przygotowany duplikat, który zamienił pan z moją monetą.

– Masz rację. Bystry chłopak, miej na niego oko, Roxy. Więc sam zrób na niej jakieś znaki, panie Bystry. Weź ten nóż i zrób coś, co wykluczałoby jakiegokolwiek sztuczki z mojej strony.

Troy zrobił rysę na nobliwym czole Waszyngtona i chciał oddać monetę Bobowi, ale ten cofnął się i podniósł ręce do góry.

– Nie ma mowy, panie Bystry. Połóż ją sam na skale w punkcie, gdzie pada wiązka laserowa, bo w przeciwnym razie będziesz twierdził, że nabiłem cię w butelkę.

Troy położył monetę w oświetlonym laserem miejscu i cofnął się.

– Zaczynamy eksperyment! – powiedział Bob, przekręcając jakieś pokrętła i wpatrując się w cyfry pojawiające się na monitorze komputera. Po chwili włączył kolejne urządzenia. – Gotowe – powiedział. – Jeśli łaskawie zechcecie przyjść do mnie za tę barierkę izolacyjną, to częściowo unikniecie skutków iskrzenia się tej aparatury. Włóżcie na ten gumowy dywan i chwycicie obiema rękami te mosiężne poręcze. Troy, czy ta twoja wojskowa cebula ma sekundnik?

– Tak.

– W porządku. Włącz go, gdy zapalę kontrolki. Teraz!

W pomieszczeniu rozległy się głośne trzaski iskier wyskakujących z licznych metalowych płaszczyzn. Po chwili wszystko ucichło. Bob zaprowadził ich z powrotem na miejsce eksperymentu. Kamień był pusty.

– Gdzie jest moneta? – zapytał.

– Nie ma jej!

– Masz dobre oczy!

– Dziękuję, ale gdzie ona jest?

– Poprawniej byłoby zapytać, kiedy ona jest. Patrz uważnie. To powinno trwać dokładnie siedemnaście sekund. Teraz!

Moneta leżała na kamieniu, jak gdyby nigdy go nie opuściła. Nikt jednak nie podszedł do maszyny bliżej niż na odległość dwóch stóp. Troy zreflektował się i nacisnął przycisk zegarka. Siedemnaście sekund i siedem dziesiątych. Podniósł monetę. Rysy były dokładnie tam, gdzie je zrobili. Moneta była z 1965 roku.

– To nie do wiary! – powiedział, mocno ściskając monetę. – Czy byłby pan tak uprzejmy i wyjaśnił mi, o co w tym wszystkim, do cholery, chodzi?

– Z przyjemnością. Zużywając energię elektryczną za jakieś czterysta dolarów, wysłaliśmy twoją dwudziestopięciocentówkę w przyszłość odległą od terażniejszości o siedemnaście sekund. Tkwiąc w terażniejszości, mieliśmy wrażenie, że moneta zniknęła, ale to nieprawda. Leżała po prostu na tym kamieniu, wyprzedzając rzeczywistość o siedemnaście sekund i czekała, aż ją dogonimy. Siedemnaście sekund później zrobiliśmy to i z naszego punktu widzenia nagle pojawiła się z powrotem. Ona wcale nie opuszczała tego miejsca, była tutaj przez cały czas, ale dogonienie jej wymiaru czasowego zajęło nam kilkanaście sekund. Powiedz teraz, że w to nie wierzysz!

Troy wolno otworzył zaciśniętą dłoń i spojrzał na monetę.

– Wierzę – powiedział i sam się zdziwił, że mówi zachrypniętym głosem. – Nie rozumiem, ale wierzę.

– Gratuluję – powiedziała Roxanne. – Większość ludzi biorących udział w takim pokazie po prostu nie chce wierzyć w to, co zobaczyli. Właśnie dlatego urządzamy całą zabawę z zaznaczeniem monety, niemniej jednak niektórzy robią wszystko, by nie wierzyć w to, co się stało. Wolą myśleć, że padli ofiarą jakiegoś zręcznego oszustwa, jakiejś magicznej sztuczki, gdyż zaakceptowanie prawdy nie mieści się w ich światopoglądzie. Pewien generał przysięgał, że kamień musi być tekturowym falsyfikatem, w którym jest dziura. Wyjął nóż, uderzył i złamał ostrze. Zobacz, w tym miejscu jest jeszcze rysa.

– Jestem w stanie to zaakceptować, chociaż mam dziwne uczucie, kiedy o tym myślę – powiedział Troy. – Czy to działa w obie strony?

– Co przez to rozumiesz? – zapytał Kleiman.

– Moneta została wysłana w przyszłość, ale czy to urządzenie może wysyłać rzeczy również w przeszłość?

– Teoretycznie tak, ale nie wiemy tego jeszcze na pewno – powiedział Kleiman, wyłączając szereg przycisków. – Najpierw przeprowadzone zostały eksperymenty z kilkoma cząsteczkami materii, później z większymi ciałami, które wprawdzie zniknęły, ale nigdy nie pojawiły się ponownie. Powróciliśmy więc do wykresów, by raz jeszcze gruntownie zbadać teorię, zanim przejdziemy do dalszych eksperymentów.

Troy usiłował poukładać sobie w głowie możliwości maszyny, zastanawiając się jednocześnie, czy urządzenie mogło mieć jakiś związek z pułkownikiem McCullochem.

– Czy może pan wysłać w przyszłość jakąkolwiek materię?

– Wszystko, co dotychczas zostało wysłane, osiągnęło swój cel. Czy masz na myśli coś konkretnego?

– Złoto.

– Czemu nie? Twoja moneta składa się z pewnej ilości srebra i prawdopodobnie minimalnej ilości złota. Żaden problem.

– Żaden? To olbrzymi problem.

Jakie mogło być powiązanie między pułkownikiem, złotem, tą maszyną i przyszłością, jako że przeszłość nie wchodziła w rachubę? Nie mógł nic wymyślić. Zaczynała go boleć głowa.

– Dziękuję za pokaz, panie Kleiman. Jestem wdzięczny za pańską pomoc.

– Nie ma sprawy. Czy mógłbym spytać, dlaczego się pan tym wszystkim interesuje, czy to też jest tajne?

– Nie, to nie jest tajne. Jestem z ochrony i prowadzę dochodzenie dotyczące pewnych ludzi z tego terenu, w związku z czym muszę znać trochę szczegółów technicznych tego projektu.

– Ochrona? Doskonale się składa! – Bob przechylił się nad konsolą, by wyciągnąć wtyczkę. – Potrzebuję właśnie kogoś takiego jak ty. Cały dzień usiłuję połączyć się ze starym zrzędą, pańskim pułkownikiem McCullochem. Jedyne, co słyszę, to “Przykro mi, ale pułkownik jest nieobecny”.

Oczy Troya i Roxanne spotkały się. Harmon zobaczył swój niepokój odbity w jej twarzy.

– Do czego jest ci potrzebny pułkownik? – zapytała Roxanne.

– Do tego, by robił to, co do niego należy. – Wyprostował się i potrząsnął końcówką kabla w jej kierunku. – Wyznaczasz mi terminy, mam robić mnóstwo raportów, ale czy ja narzekam? Nie. Rzecz w tym, że nie pracuję tutaj sam. Harper, mój asystent, robi całą papierkową robotę. Nigdy się nie spóźnił, nigdy też nie był na zwolnieniu, ale dzisiaj nie dość że się spóźnił, to jeszcze nie pojawił się w ogóle. Nikt nie odbiera telefonu, kiedy dzwonię do niego do domu. Starego zrzędę też gdzieś wyniosło. Może więc dowiesz się, o co chodzi i dasz mi znać.

ROZDZIAŁ 12

– Właśnie po to tu jestem – powiedział Troy, starając się, by jego głos nie zdradzał niepokoju, jaki go ogarnął. – Sprawdzę, co się stało i dam panu znać. Na pana miejscu nie martwiłbym się tym.

– Dlaczego miałbym się martwić? Po prostu zaczyna mnie powoli szlag trafiać. Będę tu siedział do północy i tyrał za niego i za siebie. Kiedy będziesz z nim rozmawiał, nie zapomnij mu powiedzieć, że mnie szlag trafia.

– Dziękuję za pokaz – powiedział Troy. Kleiman w odpowiedzi skinął głową, dotykając ręką runda niewidzialnego kapelusza i odwrócił się do swoich maszyn. Troy poczekał, aż odległość między Bobem a nimi będzie wystarczająca, by nie mógł ich usłyszeć.

– Kto to jest Harper? – spytał.

– Allan Harper – odrzekła Roxanne. – Inżynier elektronik, spec od układów scalonych. Muszę stwierdzić, że wyglądasz na zmartwionego. Dlaczego?

– Nie wróży to nic dobrego. Za dużo się dzieje, by mógł to być przypadek. W tym samym dniu, w którym znika pułkownik, znika również ten Harper.

– Sądzisz, że te dwie sprawy wiążą się ze sobą?

– Na razie wiem jeszcze za mało, by snuć jakiegokolwiek domysły. Chciałbym oczywiście, by jedno z drugim nie miało nic wspólnego. Czy ten Harper dużo wie na temat projektu Gnomen?

– Wszystko – powiedziała równie zaniepokojona jak on. – Chodźmy do mojego gabinetu, mam tam jego adres i telefon.

Troy wykręcił numer i czekał. Czuł uścisk w okolicy żołądka nasilający się z każdym sygnałem, na który nie było odpowiedzi.

Harper mieszkał niedaleko, na Bathesda. Musiał tam pojechać. Przycisnął do ucha słuchawkę ramieniem i wyjął z portfela wizytówkę.

– Nikt nie podnosi? – zapytała Roxanne.

– Nie. Czy macie tu jakiś samochód, z którego mógłbym skorzystać?

– Jest ciężarówka i mikrobus.

– Wezmę mikrobus, jeśli można.

Nacisnął na widelki i kiedy usłyszał ciągły sygnał, szybko wykręcił numer z wizytówki.

– Halo, chciałbym rozmawiać z porucznikiem Andersonem, mówi porucznik Harmon. Nie ma go? Możecie go złapać przez radio? W porządku. Podajcie mu numer i nich zadzwoni. To pilne. Ma związek z zabójstwami na Connecticut Avenue.

Andersen oddzwonił prawie natychmiast i bez zadawania krępujących dla Troya pytań zgodził się na spotkanie z nim na Chevy Chase. Z ogromnym wysiłkiem Troy zmusił samochód do jechania z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę na odcinku Beltway. Wyjechał trasą wylotową numer 33 i zaczął uważnie śledzić nazwy ulic. Tuż za jakimś klubem zauważył tablicę z napisem Black Thorn. Kiedy skręcił, zobaczył przed sobą czekający na niego samochód policyjny. Zahamował w momencie, gdy porucznik Anderson zamykał drzwi:

– O co chodzi? – zapytał Anderson.

– Byłem w tym laboratorium, gdzie McCulloch był szefem ochrony. Jeden z kluczowych pracowników nie pojawił się dzisiaj w pracy i nie odpowiada na telefon. To może mieć jakiś związek z pułkownikiem.

– Równie dobrze jedno z drugim może nie mieć nic wspólnego. Czy mogę dowiedzieć się czegoś więcej?

– Naprawdę nie. Tyle tylko, że jest to bardzo ważna sprawa i ma bezwzględny priorytet.

– Wierzę na słowo. Nie możemy jednak rozwalać ludziom drzwi tylko dlatego, że mamy jakieś podejrzenia. – Ogarnął wzrokiem starą kamienicę. – Czy ten mężczyzna jest żonaty?

Troy potrząsnął głową.

– Kawaler. Mieszka sam.

– Jeśli nie odpowie na dzwonek, możemy podejrzewać, że jest chory albo coś mu się stało, co upoważnia nas do poproszenia dozorca, by otworzył drzwi.

Dozorca był Rurowatym niechlujem, który najwidoczniej dopiero co zwlókł się z łóżka.

– Czego od niego chcecie?

– Niczego – cierpliwie wyjaśniał Anderson. – Prowadzimy po prostu dochodzenie w sprawie zaginięcia pewnej osoby. Wszystko, czego od pana oczekujemy, to to, by otworzył pan drzwi i wszedł z nami do środka.

Mężczyzna nie miał ochoty na współpracę, ale złota odznaka Andersena zrobiła swoje. Mamrocząc coś pod nosem, wszedł z nimi do windy. Nie dość, że był zarośnięty, to najwyraźniej nie przepadał za mydłem. Poczuli ogromne ulgę, gdy drzwi windy otworzyły się na piątym piętrze. Dozorca wyjął pęk kluczy i przeklinając starał się znaleźć właściwy. W końcu po wielu próbach udało mu się otworzyć drzwi. Anderson wszedł pierwszy. Okna były zasłonięte i wszędzie paliło się światło.

– Panie Harper, jest pan w domu? – zawołał.

Nie było żadnej odpowiedzi.

– Proszę zostać tu z dozorcą, a ja rozejrzę się po mieszkaniu.

W milczeniu patrzyli, jak przeszedł przez pokój gościnny, pchnął lekko butem drzwi do sypialni, starając się niczego nie dotykać. Sypialnia musiała być pusta, gdyż skierował się do kuchni. Zatrzymał się przy drzwiach i zajrzał. Wracając do nich, szukał czegoś w kieszeni. Wyjął wizytówkę i wręczył dozorcę.

– Proszę zadzwonić pod ten numer i zapytać o sierżanta Lindberga. Poda pan moje nazwisko, jest na wizytówce, i powie mu, gdzie jesteśmy. Proszę też powiedzieć, że chcę kogoś z wydziału zabójstw.

– Słuchaj pan, ja mam swoją robotę. Jestem zajęty i nie mam czasu nigdzie wydzwaniać... – Nagle zapomniał, co chciał powiedzieć i otworzył szeroko oczy. Cofnął się i wybiegł z mieszkania.

– Nie żyje? – spytał Troy.

– Co do tego nie ma cienia wątpliwości. Chodźmy tam.

Allan Harper leżał na plecach na podłodze w kuchni. Obok niego znajdowała się rozbita szklanka, a mleko, które się z niej wylało, tworzyło zaschniętą skorupę pod jego głową. Miał wytrzeszczone oczy i usta szeroko otwarte w bezgłośnym krzyku cierpienia.

– Co to było? Co go zabiło? – zapytał Troy.

Anderson wzruszył ramionami.

– Nie widzę żadnych ran, żadnego śladu po broni, ale wkrótce się dowiemy. Widzę, że ta cała sprawa zaczyna wyprowadzać pana z równowagi.

– Można to tak ująć. Chcę się dowiedzieć, czy ten człowiek miał coś wspólnego z McCullochem. Wracam do laboratorium. Tutaj ma pan numer centrali. Proszę poprosić o połączenie z ochroną. Czy może mi pan dać znać, jak tylko będzie wiadomo, co przydarzyło się temu facetowi?

– Nie ma sprawy. Ja z kolei chciałbym dowiedzieć się więcej szczegółów o denacie.

– W porządku, powiem wszystko, co będę mógł. Idę teraz poszperać w jego aktach.

Troy udał się bezpośrednio do budynku ochrony, starając się nie przechodzić w pobliżu

laboratorium. Potrzebował faktów, by móc odpowiedzieć na więcej pytań. W budynku panowała atmosfera napięcia, które starano się ukryć. Trzy dziewczyny w biurze zgodnie odwróciły wzrok w drugą stronę, kiedy pojawił się w drzwiach.

– Kto jest tutaj szefem? – zapytał.

Żadna z nich nie odpowiedziała ani nawet nie spojrzała w jego stronę. Zwrócił się do najbliższej blondynki z imponującymi lokami.

– Czy zechciałaby pani tu podejść? Jak pani ma na imię?

– Daisy – odpowiedziała niemal szeptem.

– Daisy, czy mogłabyś rzucić okiem na moją legitymację i papiery?

– Nie znam się na tym. Ja tylko pracuję w biurze.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Cholera, kto tu jest szefem?

– Pułkownik McCulloch.

– Wiem o tym, ale kiedy go nie ma, kto go zastępuje?

– Nikt, proszę pana. Pułkownik zawsze jest.

– W porządku, ale teraz go tutaj nie ma i coś z tym fantem trzeba zrobić. Nie mianował swojego zastępcy, ale ktoś przecież musi być jego zwierzchnikiem. Kto?

– Departament Obrony – odpowiedziała z ożywieniem.

Troy starał się nie zgrzytać zębami.

– Wiem, ale kto w... Niech to szlag. Połącz mnie z Pentagonem, z generałem Stringhamem. Jeśli jest nieobecny, to poproś pułkownika Burkhardta. Chcę rozmawiać tylko z jednym z nich.

Piętnaście minut trwały poszukiwania generała, ale udało się. Daisy powoli odłożyła słuchawkę i odwróciła się w stronę Troya z szeroko otwartymi oczami.

– Pan jest teraz odpowiedzialny za ochronę; tak powiedzieli. Pan jest tu teraz szefem, poruczniku.

– W porządku. Proszę więc, przynieś mi akta jednego z pracowników laboratorium, Allana Harpera.

– Tak, proszę pana. To potrwa minutę. Zrobię tylko wydruk, wszystko jest w komputerze.

Szukanie akt Harpera zajęło komputerowi o wiele więcej niż minutę. Troy zajęty był sprawdzaniem biurka McCullocha, więc prawie nie słyszał szeptów dochodzących z sąsiedniego pokoju. Podniósł wzrok dopiero, gdy Daisy niepewnym krokiem weszła do pokoju, trzymając w ręku kartkę niebieskiego dziurkowanego na krawędziach papieru w linie.

– Nie wiem, co się stało, poruczniku Harmon, ale coś jest nie w porządku. Nie możemy znaleźć kartoteki pana Harpera. Może komputer się zepsuł, gdyż na każde polecenie odpowiada tylko tym. – Drżała, kiedy podawała mu kartkę.

Wziął ją i przeczytał jednym spojrzeniem.

– Dziękuję, Daisy. Czy możesz mi powiedzieć, kto ma dostęp do akt komputerowych?

– My. To znaczy wszystkie dziewczyny w biurze.

– Rozumiem. Oznacza to, że możecie zarówno wpisać, jak i wymazać wszystkie dane.

– Nie, nie, tylko pułkownik McCulloch zna kod potrzebny do wpisywania czy wprowadzania jakichkolwiek zmian. My możemy wykorzystywać komputer tylko do robienia kopii czy sprawdzania informacji.

– Dziękuję, Daisy, to na razie wszystko.

Usłyszał dzwonek telefonu w sąsiednim pokoju. Po chwili telefon dzwonił również na jego biurku. Podniósł słuchawkę, ciągle wpatrując się lodowatym spojrzeniem w leżącą przed nim kartkę papieru.

– Porucznik Harmon.

– Harmon, tu Andersen. Ustaliliśmy przyczynę śmierci Harpera. Trucizna. Strychnina. Bardzo bolesne i bardzo szybkie. Była zarówno w szklance, z której pił mleko, jak i w kartonie, który stał na stole.

– Czy to samobójstwo?

– Mało prawdopodobne. W lodówce był nie napoczęty karton mleka, w którym też była trucizna. Dalsze oględziny wykazały małe nakłucie na górnej krawędzi. Najprawdopodobniej truciznę wstrzyknięto do środka cienkoigłową strzykawką. Nie wiem, dlaczego miałby się bawić w to wszystko, gdyby chciał popełnić samobójstwo.

– Coś takiego mógł przygotować tylko morderca. Mam dla pana podejrzanego. Pułkownik Wesley McCulloch.

– Czy ma pan jakieś podstawy, by tak sądzić?

– Z pewnością tak – powiedział zawziętym głosem Troy, ściskając wydruk komputerowy tak mocno, że z kartki zostały tylko strzępy. – McCulloch jako jedyny miał dostęp do akt. Wymazał zapis dotyczący Harpera. Nie ma po nim śladu. Zamiast akt zostawił wiadomość.

– Czy może mi pan powiedzieć, co to za wiadomość?

– Tak, jest bardzo krótka. Oto jej treść: Mówiłem ci, bambusie, że mnie nie znajdziesz.

ROZDZIAŁ 13

– Minał tydzień od zniknięcia pułkownika – powiedział admirał Colonne. – Czy udało ci się już zdobyć jakieś informacje?

Spotkanie ponownie odbywało się w sali konferencyjnej, a nie w skomputeryzowanej klitce, gdzie admirał wykonywał większość swojej pracy. Mógł się tu zrelaksować, wygodnie usiąść w fotelu i palić fajkę. Jednak choć jego ciało odpoczywało, umysł pracował jak zawsze. Troy aż cofnął się pod wpływem jego przenikliwego wzroku.

– Nie tyle, ile by pana satysfakcjonowało – odparł, kładąc papiery na biurku. – Jeśli już cokolwiek mamy, to raczej jeszcze więcej pytań.

– Takich jak...?

– Pierwsze i zarazem najważniejsze: czym kierował się McCulloch, zabijając Allana Harpera, inżyniera elektronika pracującego w laboratorium?

– Jesteś pewien, że to on jest zabójcą?

– Policja jest na tyle pewna, że sporządzili już nakaz jego aresztowania. Pułkownik nie zdobył się na najmniejszy wysiłek, by zatrzeć za sobą ślady. W aptece oddalonej o kilkadziesiąt metrów od jego domu znaleziono sfałszowaną receptę na jego nazwisko. Recepta była na dużą ilość strychniny, substancji, którą znaleziono potem w pojemnikach na mleko. Grafolog jest przekonany, że McCulloch sam wypisał receptę. Doktor przypomina sobie, że pułkownik pod pozorem jakiegoś dochodzenia odwiedził jego gabinet kilka miesięcy temu.

– Kiedy to mógł schować do kieszeni kilka blankietów recept?

– Właśnie. Ale mając dowody, by oskarżyć McCullocha, nie znamy nadal jego motywów. Cały czas wracam do badań prowadzonych w laboratorium. Jestem pewien, że istnieje jakiś związek pomiędzy złotem, zniknięciem pułkownika i morderstwem. Czy został pan już poinformowany o tym, co robi się w laboratorium?

– Nie. Ale zgodnie z twoją sugestią, złożyłem już odpowiedni wniosek. Otrzymałem odpowiedź i dla dobra śledztwa uzyskałem dostęp do tajnych informacji dotyczących, jak oni to nazywają, projektu Gnomen. Możesz więc powiedzieć mi, co oni robią i jaki ma to związek ze sprawą.

– Czy zechciałby mi pan pokazać upoważnienie?

Admirał wyjął fajkę z ust i wyprostował się z oburzeniem. Był tym zaskoczony, a może tylko udawał.

– Jestem twoim zwierzchnikiem, mój chłopcze. Powinno ci wystarczyć moje słowo.

– Przykro mi, admirale – powiedział nieugiętym tonem Troy. – W takim razie skontaktuję się z generałem Stringhamem...

– Nie ma potrzeby, mam tutaj to upoważnienie.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę i podał ją nad stołem. Troy otworzył ją z uczuciem, że przed chwilą zdał egzamin, nie wiedząc, że w ogóle do niego przystępował. Przeczytał, sprawdził podpis i oddał kopertę admirałowi.

– Czy w tym pokoju możemy spokojnie rozmawiać?

– Sprawdzany jest dwa razy dziennie, więc powinien być bezpieczny.

– W porządku. Naukowcy w laboratorium skonstruowali wehikuł czasu.

– Byłoby lepiej, gdybyś poważniej potraktował tę sprawę! – ryknął admirał.

– Nigdy jeszcze nie byłem bardziej poważny. Ciągłe jest udoskonalana, ale widziałem ją. Widziałem nawet, jak działa. Do czego pułkownik chciał wykorzystać tę maszynę? Harper mógł być

w to wplątany, wiedział przecież wszystko na temat wynalazku. Mógł zostać zabity dlatego, że za dużo wiedział o planach pułkownika, być może nawet o tych związanych ze złotem.

– Zakładając, że maszyna działa, a przyjmuję to bez zastanowienia się nad przerażającymi możliwościami wynikającymi z tego faktu, przychodzi mi do głowy doskonały pomysł. Można wysłać złoto w przeszłość do siebie samego. W ten sposób można zbić fortunę. Wysłać to trzydzieści lat wstecz. Ha!!! – Admirał wyjął kalkulator i szybkimi ruchami wcisnął kilka przycisków. – Oto wynik, Troy. Po trzydziestu latach dziesięć tysięcy zamieniłoby się, o Boże, w ponad sto siedemdziesiąt tysięcy dolarów! A przecież złoto pułkownika jest warte o wiele więcej. To chyba wystarczający powód.

– Tak, ale rzecz w tym, że maszyna nie działa wstecz. Wysyła rzeczy jedynie w przyszłość.

– Cóż, zapomnijmy więc o tym! – Admirał szybkim ruchem wyłączył kalkulator i schował z powrotem do kieszeni. – Co jeszcze wiesz?

– Kilka rzeczy. Kapral Mendez nie ma z tym nic wspólnego. Zdenerwował mnie, gdy go przesłuchiwałem, ponieważ McCulloch odpowiednio go nastawił, cytuję: Ten czarnuch szuka guza. Natomiast pilne dochodzenie w sprawie pułkownika, które kazałem wszcząć, zaowocowało stertą raportów, – Dotknął palcem grubej teczki. – To tylko streszczenie wszystkich materiałów. Pozwoli pan, że skoncentruję się na kilku najistotniejszych kwestiach. Po pierwsze, McCulloch kłamał na swój temat, od kiedy wstąpił do wojska. Próbował dostać się do Akademii, ale go nie przyjęli z powodu zbyt słabych wyników w szkole średniej. Starał się więc wszystko nadrobić szybkimi awansami. Każdy, kto z nim rozmawiał, znał jego przeszłość. Opowiadał każdemu, kto chciał słuchać. Stary ród, który zaczął podupadać od czasów secesyjnej wojny, którą on nazywał zawsze wojną domową. Wciąż jednak ma historyczne nazwisko i jest powiązany z wielkimi rodzinami Południa. Jednym z jego znakomitszych przodków jest generał Konfederacji, Ben McCulloch. To doprawdy wspaniała historia.

– Rzeczywiście. O co więc chodzi?

– Wszystko jest zmyślane. Rodzina pułkownika to biedacy. Darmozjady o bliżej nie określonym źródle dochodu. Nie utrzymuje z nimi żadnych kontaktów, odkąd opuścił dom.

– No i co z tego? Chłopak ze slumsów robi karierę. Typowa amerykańska historia.

– Nie całkiem. McCulloch bardzo starał się ukryć przed każdym swoje pochodzenie i krewnych. Raz tylko, jak wynika z naszych ustaleń, jeden z nich odnalazł go i odwiedził. To był bliski kuzyn pułkownika, który przyjechał do niego do Fort Dix. McCulloch tak go sprzął, że chłopak przez trzy tygodnie nie opuszczał szpitalnego łóżka. Na początku mówiło się o procesie, ale kuzyn wycofał oskarżenie. Krążyła plotka, że jakaś duża suma pieniędzy zmieniła właściciela.

– Coraz mniej lubię tego twojego pułkownika. Co jeszcze?

– Ostatnio odkrył w sobie zainteresowania, które nie pasują do jego przeszłości. Proszę nie zapominać, że nigdy nie czytał ani nie kupował książek, nie chodził do kina i nawet nie oglądał telewizji. Nagle wszystko się zmieniło. Zaczął kupować książki, chodzić do bibliotek i muzeów. Bardzo chciałbym wiedzieć dlaczego. FBI wrzuca do komputera wszystkie szczegóły, które odkryliśmy, by wyjaśnić, czy są jakieś powiązania między tym, co robi, a jego ewentualnymi zamiarami. Za jakąś godzinę mam spotkanie, podczas którego pewne rzeczy mogą zostać wyjaśnione. – Wyjął z kieszeni list. – Policja przechwytyje całą pocztę pułkownika. Ten list nadszedł dziś rano. Kustosz ze Smithsonian Institute chce się z nim natychmiast widzieć w sprawie nie cierpiącej zwłoki. Oczywiście nie wie, że McCullocha nie ma. Umówiłem się z kustoszem w jego imieniu.

– To wszystko nie trzyma się kupy – powiedział admirał, wpatrując się w cybuch fajki, jakby znajdowało się tam rozwiązanie.

– Tak, na razie. Konieczne jest powiązanie wszystkich części łamigłówki i wtedy zobaczymy, o co chodzi.

Siedząc wygodnie w poczekalni Smithsonian Institute, Troy życzył sobie, by odpowiedzi były tak oczywiste, jak obiecał admirałowi. Będą, muszą być! Rozwiązanie może okazać się niewiarygodne, ale tajemnica i tak zostanie rozwiązana.

– Pan Dryer oczekuje pana w gabinecie – powiedziała sekretarka.

Troy wstał i poszedł. Zamiast munduru miał na sobie ciemny garnitur.

– Nie jest pan pułkownikiem McCullchem! – powiedział Dryer, cofając się.

Był to wysoki chudy mężczyzna, ubrany w wiszący na nim garnitur. Jego szyja była wiotka i pomarszczona, a siwe włosy zmierzwione, jakby się nigdy nie cesał. Do tej sylwetki starca nie pasowały tylko czarne, przenikliwe oczy.

– Nie, nie jestem. Nazywam się Harmon. Pracuję w...

– Nic mnie to nie obchodzi, gdzie pan pracuje, panie Harmon. Mam poufną sprawę do omówienia tylko z pułkownikiem. Proszę do niego pójść i powiedzieć mu, że ma się zgłosić osobiście. Będzie wiedział, dlaczego!

– Ja również chciałbym to wiedzieć, panie Dryer. Proszę, oto moja legitymacja. Przeciw pułkownikowi zostało wszczęte śledztwo i mam nadzieję, że pan nam pomoże. Jeśli ma pan jakieś wątpliwości, podam panu numer w Pentagonie, pod którym może pan sprawdzić wiarygodność tego, co powiedziałem.

– Nie mam żadnych, nawet najmniejszych wątpliwości. Pracuję w archiwum wojskowym i umiem odróżnić, co jest prawdziwe, a co nie! Gzy może mi pan powiedzieć, czego dotyczy to śledztwo?

– Przykro mi, ale to tajne. Mogę jednak pana zapewnić, że pułkownik nie spotka się z panem w najbliższym czasie. Cała jego korespondencja kierowana jest na policję. Dzisiaj przekazano mi ten list.

Dryer skinął głową, jednocześnie przyglądając ręką włosy, co jednak nie poprawiło mu fryzury.

– Cóż, nie będę naciskał. To co pan mówi, brzmi o wiele drastyczej niż problem, który chciałem z nim omówić. Chodziło mi po prostu o uświadomienie pułkownikowi, że pewne dokumenty, który pożyczył z biblioteki, były oryginałami i właściwie nie powinny opuszczać tego budynku. Ze względu na rodzaj naszych zbiorów robione są oczywiście pewne wyjątki dla wojskowych jego stopnia.

– Czy mogę zapytać, co to za zbiory?

– Archiwa dotyczące technologii Armii Stanów Zjednoczonych. Nie są dostępne dla wszystkich, ale oczywiście nie chowamy ich przed zawodowymi badaczami czy też oficerami armii:

– Czy wolno mi zapytać, co zawierają te archiwa?

– Książki, modele i dokumenty związane z amerykańską techniką wojskową od narodzin naszego państwa aż po dzień dzisiejszy. Jesteśmy dumni z naszych strzelb na zamki skałkowe, rzadkich egzemplarzy broni, jak również szkiców roboczych, pierwszych czołgów czy...

– Zgadzam się z panem, to rzeczywiście imponujące. Czy mógłby mi pan powiedzieć, czym interesował się pułkownik?

– Historię broni ręcznej. Jest to zrozumiałe, był przecież oficerem piechoty. Dość dużo wie na ten temat i trudno jest mu wytłumaczyć pewne...

– Tak, panie Dryer, z pewnością.

Troy miał wrażenie, że gdyby nie przerywał, tkwiłby w tym fotelu, zdobywając wiedzę do

końca życia.

– Co konkretnie wziął pułkownik i nie oddał?

– Projekty pistoletu typu Sten dziewięć milimetrów. Dokładniej Mark 2.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Nie dziwi mnie to; rewolwer nie jest już produkowany od ponad czterdziestu lat. Jest jednak dobrze znany w kręgach wojskowych, a same projekty mają pewną wartość historyczną. Niech je natychmiast zwróci! Jeśli wrócą tu, sprawa zostanie zapomniana. Musi pan zrozumieć, że przywłaszczenie dokumentów historycznych to nie bagatela.

– Z pewnością nie! – zgodził się Troy. Morderstwo również, dodał w myślach. Co ten starodawny pistolet ma wspólnego z całością? – Czy wie pan, dlaczego pułkownik zainteresował się właśnie tą bronią? – zapytał.

– Nie widzę żadnej szczególnej przyczyny. Powiedziałem panu, że pułkownik interesował się każdą bronią tego typu. Uwielbiał porównywać rozmaite egzemplarze i niejedną raz zwrócił mi uwagę na jakiś szczegół, którego pewnie nigdy bym nie zauważył. Wystarczyło, że wziął broń do ręki i od razu dostrzegł jej charakterystyczne cechy. Mam szczerą nadzieję, że obecne problemy...

– Przepraszam, że przerywam, ale mówił pan, że brał broń do ręki. Czy ma pan tutaj te modele?

– Nie modele, proszę pana, ale prawdziwą broń. Część egzemplarzy otrzymaliśmy od armii, a część od prywatnych kolekcjonerów. Może obejrzenie tego starego rewolweru pomoże panu w odkryciu przyczyn, dla których pułkownik się tym interesował. Nie wystawiamy ich na pokaz – wyjaśnił, otwierając drzwi i prowadząc Troya do ciemnej piwnicy, w której czuć było zapach oliwy i kurzu. – Kiedy mamy fundusze, organizujemy oczywiście wystawy dla różnych muzeów, ale ma się rozumieć, udostępniamy wyłącznie duplikaty. W ten sposób mamy możliwość utrzymać specjalne okazy w jak najlepszym stanie. Proszę tędy, na dół.

Rzędy metalowych skrzynek niknęły w ciemności. Dryer wpatrywał się uważnie w plakietki naklejone na półkach i w końcu zatrzymał się przed jednym z regałów.

– To tutaj. Zaraz to rozpakuję. – Podniósł pobrudzoną smarem skrzynkę i otworzył. Broń pokryta była grubą warstwą ochronną. Przyjrzał się pistoletowi uważnie, obracając nim na wszystkie strony. – Nie, to nie ten – powiedział, starannie układając broń z powrotem. – Też ciekawy egzemplarz, wyciszona wersja, której używano podczas wojny koreańskiej. Ten, którego szukamy, jest tutaj.

Nagle zamilkł, podniósł skrzynkę i odłożył z powrotem. Włożył rękę do środka i cofnął się.

– Coś nie w porządku? – zapytał Troy.

– Nic nie rozumiem, przecież sam go tu wkładałem, jestem tego pewien. Jak to się mogło stać?

Jak to jak, pomyślał Troy. McCulloch oczywiście! Ale dlaczego? Tajemnica zamiast wyjaśnić się, stawała się coraz bardziej zawiła. Co mogło oznaczać ostatnie odkrycie?

ROZDZIAŁ 14

Jesienią, kiedy liście nabierają złotoczerwonych barw, miło jest opuścić miasto i wjechać na George Washington Memorial Parkway. W dole płynie rzeka z brzegami gęsto porośniętymi trawą i krzewami. Podróż przez ten piękny krajobraz jest przyjemna, jeśli nie jest to akurat godzina szczytu i cała droga nie jest jednym wielkim korkiem. Jednak wczesnym popołudniem strumień samochodów był jeszcze na tyle wąski, że Troy mógł przejechać w miarę spokojnie. Głęboko zamyślony opuścił Smithsonian, nie bardzo wiedząc, dokąd ma jechać. Odruchowo wjechał na drogę prowadzącą do Pentagonu. Po chwili zdał sobie sprawę, że nie znajdzie tam żadnych odpowiedzi. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił na północ, dokładnie w przeciwnym kierunku.

Czuł, że ma już wszystkie hasła do krzyżówki. Ciągle jednak nie wiedział, jak je do siebie dopasować. Jak powiązać złoto z morderstwem, brakujące plany z eksponatami muzealnymi. Wiedział, że wszystkie te rzeczy są ze sobą połączone, nie wiedział tylko, w jaki sposób. Wehikuł czasu musiał być kluczem do całej tej zagadki. McCulloch zaczął się dziwnie zachowywać od chwili, kiedy powierzono mu funkcję szefa ochrony laboratorium. Musiało go zainteresować coś, co dotyczyło tego projektu. Właśnie Gnomen sprawił, że zaczął myśleć, czytać, chodzić do muzeum i kupować złoto. To było to. Odpowiedź tkwiła w laboratorium i jedynym sposobem, by do niej dotrzeć, była analiza każdego ruchu McCullocha od chwili, gdy zaczął tam pracować. Chciał się tym zająć natychmiast.

Troy nacisnął na pedał gazu i na granicy dozwolonej prędkości wszedł w zakręt, skręcając na Beltway. Kiedy wjechał na teren laboratorium, sprawdził najpierw w budynku ochrony, czy nie było dla niego jakiejś wiadomości: Nie było. Pomyślał, że mógłby porozmawiać z dyrektorką, ale zmienił zdanie. Roxanne pomogła mu tyle, ile mogła. To, co interesowało McCullocha, znajdowało się w laboratorium numer 9. Poszedł tam.

Bob Kleiman siedział przy swoim biurku nad zimną kawą ze wzrokiem utkwionym w jakiś odległy punkt. Odwrócił się, kiedy usłyszał wchodzącego Troya.

– Zamordowany? Nie żyje? Tak po prostu? Nie mogę się z tym pogodzić. Pracowałem z nim tutaj jeszcze w piątek wieczorem. Teraz... biedny Harper. Czy naprawdę nic nie da się już zrobić?

– Przykro mi. Kiedy znaleźliśmy jego ciało, było już o wiele za późno. Był martwy od dłuższego czasu.

– Może gdyby wcześniej? Gdybym zadzwonił na policję wcześniej, zamiast włóczyć się tutaj bez sensu...

– Proszę, niech się pan nie obwinia. Zmarł podczas weekendu, nie mógł pan przecież przypuszczać, że to się stanie. To nie pana wina. Jest jednak coś, co może pan zrobić.

– Co pan przez to rozumie? – Kleiman przełknął łyk zimnej kawy, wykrzywił twarz i z obrzydzeniem odsunął szklanekę.

– Może mi pan pomóc w odnalezieniu człowieka, który go zabił. Policja nie ma wątpliwości, kto jest mordercą.

– Tak? W gazetach nie było nic o tym.

– Dla dobra śledztwa nie podaje się jeszcze wszystkich faktów do wiadomości publicznej. Śmierć Harpera jest tylko częścią bardzo poważnej sprawy, która jest ściśle tajna. Mam na myśli zniknięcie pułkownika.

– Proszę mi wybaczyć, ale to jest zagadka, którą nie powinien się pan przejmować. Nikt nie będzie odczuwał braku starego zrzędy.

– Nawet jeśli to on zabił Harpera?

– On? – Kleiman obrócił się na krześle i pochylił się do przodu. – Taka jest prawda? On jest tym potworem, który zabił Allana Harpera?

– Mamy prawie stuprocentową pewność, że to on. Jestem również przekonany, że to morderstwo, jego zniknięcie jak również wiele innych rzeczy, wszystko to powiązane jest z projektem Gnomem.

– W jaki sposób?

– Pan niech mi to powie.

Kleiman z zakłopotaniem potrząsnął głową.

– Przecenia mnie pan, naprawdę przecenia. Wątpię, czy wiem coś, co mogłoby pomóc śledztwu.

– Może mnie pan wprowadzić w tajniki projektu. Uważam, że jest w tym laboratorium coś, co szczególnie zainteresowało McCullocha. Aby poznać, co to jest, muszę wiedzieć o tym projekcie wszystko, co wiedział McCulloch, wszystko do czego sam mógł dojść, wszystko czego mógł się dowiedzieć od Harpera. Na początek chciałbym, żeby mi pan powiedział, jakie były stosunki między Harperem a McCullochem. Czy były zażyłe?

– Nic o tym nie wiem. Prawdę mówiąc, teraz przypominam sobie, że prawie ze sobą nie rozmawiali. Raczej skłonny jestem przypuszczać, że Harper bał się żelaznego pułkownika, wręcz go nienawidził. Kilka razy, kiedy nie wiedział, że na niego patrzę, spogląda! na pułkownika z taką miną, jakby go chciał zabić. Nigdy jednak nie powiedział mi o tym ani słowa.

– Musiał być jakiś związek między nimi, inaczej pułkownik nie zabiłby go, bo niby dlaczego miałyby to robić? Może Harper wiedział coś o nim albo nakrył pułkownika na czymś w laboratorium...

– To niemożliwe; pułkownik był osłem. Wątpię, czy znał się na technice na tyle, by wymienić bezpieczniki. Ręczę, że jeśli chodzi o wysoce skomplikowany specjalistyczny sprzęt elektroniczny, to jego wiedza była równa zeru, jeśli nie mniej.

– To ważna informacja. Teraz wiemy, że nie mógł tu nic zdziałać w pojedynkę. Jeśli w jakiś sposób wykorzystał wehikuł czasu, to musiał mu ktoś w tym pomóc. Czy mógł to być Harper? Powiedział pan, że Harper go nienawidził. Może więc siłą został zmuszony do współpracy. To tłumaczyłoby jego nienawiść do pułkownika. Trudno mówić o miłości, jeżeli jedna strona jest szantażowana.

– To dobra myśl. Co dalej?

– Czy pułkownik i Harper mogli wykorzystać te urządzenia, kiedy pana tutaj nie było?

– Czemu nie? Harper zwykle zostawał w laboratorium dłużej niż ja. McCulloch mógł bez problemów do niego dołączyć. Harper wieczorami konserwował i sprawdzał cały ten sprzęt. Właśnie dlatego nigdy nie zjawiał się tutaj przed południem. Mieliśmy dobry podział pracy.

Troy potarł brodę, rozglądając się po pokoju pełnym nie znanych urządzeń. Czuł, że rozwiązanie jest blisko, że czeka na niego.

– Kiedy więc byli tutaj wieczorem sami, mogli włączyć maszynę i przeprowadzać jakieś, nazwijmy to, nieoficjalne eksperymenty?

– Nie sądzę, by to robili. Nigdy bym na to nie pozwolił.

– W jaki sposób dowiedziałyby się pan o tym?

– Dobrze pytanie. – Kleiman wstał i zaczął chodzić po pokoju. – Możliwe, że jest jakiś rejestr z ich pobytu tutaj, ale nie jestem pewien. Sądzę, że strażnik po prostu otwierał i zamykał drzwi. Gdyby nawet tutaj byli, to wciąż nie wiemy, co robili. Czy włączali maszynę? Nie mam pojęcia. Jeśli pozostawili po swoich eksperymentach jakiś zapis, to nigdy go nie widziałem. Nigdy się o tym nie dowiemy.

– Musimy się dowiedzieć. Proszę pomyśleć. Może jest tu jakaś księga protokołów tego, co zostało zrobione? Może jest jakiś licznik, który rejestruje wyłączenia i włączenia maszyny?

– Przestań, Troy. Nie rób z tej skomplikowanej maszyny wartej ponad miliard dolarów jakiejś biurowej kopiarki, która liczy liczbę odbitek! To nie działa na tej zasadzie. To nowe, eksperymentalne urządzenie.

– Wiem. Ale może jest jakiś rejestr czegoś, czegokolwiek... Czy wrzuca się do niej materiał jak do lampy naftowej wlewa się naftę? Tak po prostu, bez żadnej ewidencji?

Kleiman cofnął się i przycisnął dłoń do piersi.

– O Boże – wysapał. – Żyje pan w średniowieczu. Czy nie słyszał pan o nowoczesnej fizyce? Nawet Korea wzbogaciła się, znając ją. Czy nic pan nie czytał o stałych obwodach zamkniętych i układach scalonych? Nie używamy żadnych drutów żarzenia, żadnych lamp katodowych czy aparatury rozdzielczej. Teraz wszystko jest zawarte w układach scalonych. W jednej dużej kostce. Jediną materią, która się porusza, są elektrony, ale ich nie może pan zobaczyć. Jediną rzeczą, która się zużywa oprócz papieru do drukarki, jest prąd.

– Właśnie, prąd. Czy jest tutaj jakiś licznik? Jakiś zapis ile zużyto?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że dostajemy co miesiąc rachunek czy coś w tym rodzaju, ale płatnością zajmuje się ktoś z biura, a nie mój wydział. Wiem tylko, że zużywamy go cholernie dużo. Tak dużo, że specjalnie dla naszych potrzeb musieli zainstalować nową linię... – Kleiman urwał nagle i wpatrywał się gdzieś w dal. Później zamrugał gwałtownie, potrząsnął głową i powoli odwrócił się do Troya. – Wiesz, kim ty jesteś? Jesteś geniuszem! Sherlock Holmes. Przez cały czas nieśmiało prowadzisz mnie za rękę w stronę rozwiązania. To ja jestem głupcem. Bez twoich systematycznych, wręcz naukowych kopnięć w tyłek nigdy bym sobie nie przypomniał. – Przypomniał o czym?

– O zamieszaniu, jakie powstało u nas i w elektrowni. Wielu eksperymentów nie udało nam się przeprowadzić do końca z powodu przerw w dostawie prądu. Po prostu elektrownia nie była przygotowana na dostarczanie takich ilości. Zaczęli więc kontrolować linie, by sprawdzić, ile prądu zużywamy. Sporządzili dokładny rejestr naszych zapotrzebowań, byśmy mieli gwarancję wystarczających, ciągłych dostaw.

Troy poczuł, że odpowiedź jest blisko, bardzo blisko.

– W jaki sposób kontrolowano linię?

– Nie była to tradycyjna aparatura pomiarowa. Szkoda, że nie widziałeś tego potwora, którego ze sobą przywlekli. Brzęczał i trzeszczał, kiedy rysował wykres na bębenu rotacyjnym. Nikt nie chciał tej wielkiej kupy złomu chlustającej czerwonym atramentem po całym laboratorium. To była technika z epoki kamienia łupanego. Przypominam sobie, że usiłowali to zainstalować, ale wyrzuciliśmy ich razem z tym cudem. Wszystkie funkcje naszej aparatury są kontrolowane przez centralny komputer. Ma on nie pamiętam już ile megabajtów na twardym dysku, zegar i wszystkie urządzenia peryferyjne, jakie mogą się przydać. Jedna z naszych programistek napisała program służący do kontroli poboru prądu. Mieliśmy potrzebne zapisy i życie było piękne. Troy był zakłopotany.

– Czy później, kiedy już nie potrzebowano tego licznika komputerowego, nie odłączono go?

Kleiman potrząsnął przecząco głową:

– Źle to pojmujesz. Nie podłączaliśmy do komputera żadnych liczników czy innych rupieci. Napisaliśmy, po prostu program, instrukcje dla komputera, żeby zapamięta! dla nas pewne fakty. Wszystko to działa po cichu i jest niewidoczne, dopóki ktoś nie poprosi komputera, żeby powiedział nam, co zarejestrował. Dodaliśmy do tego nawet nasze własne procedury, żeby pomogły nam w

rejestrowaniu eksperymentów. Było to wtedy bardzo pomocne.

– Ale nie korzystacie już z tego?

– Nie uzyskujemy informacji. Musisz się nauczyć tego żargonu, jeśli chcesz się tutaj poruszać. Raz włączony program działa przez cały czas, dopóki go ktoś nie wyłączy. – Wskazał ręką szereg stalowych szafek. – Wszystko jest tutaj. Jedyna rzecz, jaką trzeba zrobić, to zapytać.

Troy w osłupieniu wpatrywał się w rząd nie wyróżniających się niczym drzwiczek.

– Mówi pan poważnie? Czy naprawdę możemy znaleźć zapis wszystkich eksperymentów?

– Każdego. Trzeba tylko zadać odpowiednie pytanie.

– Więc niech pan je zada!

– Nie ja – powiedział Kleiman, wyciągając rękę w kierunku telefonu. – To era specjalistów, młody człowieku. Ja jestem fizykiem, nie zajmuję się schematami technologicznymi. Potrzebna nam jest właściwa osoba, Nina Vassella, nasza najlepsza programistka. Ona będzie wiedziała, jak się do tego zabrać... Halo, Nina? Tak, dobrze pamiętasz, to ja. Posłuchaj, mamy tutaj na dole w dziewiątce mały problem. Tylko ty go możesz rozwiązać. Kiedy? Oczywiście, że teraz. Bądź miła. Dobra dziewczynka. Dzięki. – Odłożył słuchawkę. – Zaraz tutaj będzie.

Nina była ślicznym czarnym kociakiem doskonale zorientowanym w swoim fachu.

– Oczywiście, że pamiętam ten program – powiedziała. – Tym bardziej że to ja go napisałam.

– Czy jest wciąż włączony?

– Bez wątplenia. Gdyby któryś z twoich mistrzów od kosmicznych teorii zbliżył się do komputera, już dawno mielibyśmy awarię całego systemu. Ja nie mazałam tego programu. Musi więc siedzieć tam w środku. Zaraz go wam pokażę.

Przysunęła krzesło do monitora i wyregulowała wysokość siedzenia do swojego wzrostu. Kiedy usiadła, jej stopy wisiały w powietrzu wysoko nad podłogą. Oparła je na podpórce. W błyskawicznym tempie przesuwała palcami po klawiaturze. Była rzeczywiście profesjonalistką. Na monitorze pojawił się najpierw spis wszystkich programów; po chwili pozostał tylko ten, który ją interesował. Sprawdziła go. Kilka sekund później usiadła wygodnie i wskazała kciukiem na rząd cyfr maszerujący w dół ekranu.

– Oto i on. Jest gotów. Czeka.

– Wspaniale – powiedział Kleiman, klepiąc ją po ramieniu. – Jesteś geniuszem, dziecinko, a teraz zechciej zrobić dla nas wydruk.

– Co? Przecież to jest zapis z całych dwóch lat! Nie słyszałeś o kryzysie energetycznym i braku papieru?

– Nie bierz sobie tego zbyt do serca. Włącz drukarkę.

Wcisnęła dwa klawisze i laserowa drukarka zaczęła swoją niemal bezszelestną, błyskawiczną pracę. Głowica drukująca przesuwała się tam i z powrotem po nie kończącym się zwoju papieru, który zaczął układać się w coraz większy stos.

– Czy to już wszystko, czego potrzebowali ode mnie geniusze? – zapytała Nina.

– Dziękuję ci, laleczko, będę o tobie pamiętał w moim testamencie.

Kiedy w końcu drukarka zamilkła, Kleiman oderwał papier od maszyny i zaniósł grubą stertę wydruku komputerowego na swoje biurko.

– Zaraz zobaczymy to, co zobaczymy – powiedział, odwracając stos, by zacząć od końca. – Tak, to najnowsze dane. Dziś rano robiłem ten eksperyment. Teraz cofnijmy się trochę. Do ostatniego weekendu, kiedy to zginął nam pułkownik... Mamma mia!

– Co takiego?

– Jest tutaj, późny wieczór w ostatnią sobotę, kiedy spelunka powinna być zamknięta. Moc,

człowieku, moc! Cokolwiek by robili, to udało im się zużyć więcej prądu niż kiedykolwiek! Nigdy nie zużyliśmy jednej dziesięciotysięcznej tego. To cud, że nie spalili wszystkich układów. A to co? Nie wierzę! To niemożliwe!

Przesunął kciuk wzdłuż rzędu cyfr na wydruku. Troy nic nie dostrzegł. Dla niego wszystko było takie same. Skonsternowany Kleiman szybko przejrzał resztę wydruku, po czym powrócił do tamtego miejsca.

– Tutaj, w tym punkcie. Odwrócona polaryzacja. To nie powinno tak wyglądać. Nigdy tego nie robiliśmy. Spójrz na inne. Mieliśmy cały czas negatywne wyniki. Zaprzestaliśmy robienia tego rodzaju eksperymentów.

Troy z trudem panował nad narastającym zniecierpliwieniem.

– Co to oznacza? Jaka polaryzacja? Co pana tak martwi?

– To mnie nie martwi. To po prostu niemożliwe. To nie mogło zostać zrobione! Jednak zostało. – Papier wypadł z ręki Kleimana i spadł na podłogę. Fizyk odwrócił się do Troya. Miał ściągniętą twarz i mówił cichym głosem: – Cokolwiek wysłano w czasie, nie wysłano tego do przodu. Wysłano w przeciwnym kierunku. Wysłano wstecz, w przeszłość!

ROZDZIAŁ 15

Troy bez wahania zaakceptował fakt podróży w czasie. Dlaczego miałby nie zaakceptować? Dorastał w epoce technicznych cudów. Najpierw na długo przed jego urodzeniem wynaleziono bombę atomową, później bombę wodorową, energię atomową, szybsze od dźwięku samoloty odrzutowe, satelity umieszczane na orbitach i w końcu, najbardziej niewiarygodne – przekaz telewizyjny z powierzchni Księżyca pokazujący spacerujących po niej ludzi. Róg obfitości laboratoryjnych produktów zdawał się niewyczerpany. Przestał, podobnie jak wielu innych, zadawać sobie trud zrozumienia techniki. Te urządzenia po prostu działały, nieważne jak. Będąc w wojsku, miał do czynienia z raketami samosterującymi. Wcisną się guzik – i lecą. To wszystko, co trzeba wiedzieć.

Wcisną się więc jakiś inny guzik i coś podróżuje w czasie. Nie było żadnej różnicy. Jedyny problem, to do czego wykorzystano wehikuł? Co McCulloch i Harper wysłali w przeszłość? Czy było to złoto? Czy cel został osiągnięty? A jeśli nie było to złoto, to co? Tak sformułowane pytanie nasuwało oczywistą odpowiedź. W końcu kawałki zaczynały do siebie pasować. Troy przechylił się do tyłu i zawołał do Kleimana, który jednak go nie słyszał. Fizyk, mruczając coś pod nosem, przedzierał się przez gąszcz cyfr na komputerowym wydruku. Troy musiał jeszcze bardziej podnieść głos, by przyciągnąć uwagę naukowca.

– Co? – zapytał Kleiman, podnosząc wzrok i mrugając nieprzytomnie. – Co mówiłeś?

– Pytałem pana, czy na podstawie cyfr można określić wielkość przedmiotu wysłanego pańskim wehikułem czasu?

– Wielkość? Masz na myśli masę? Tak, możemy się tego dowiedzieć. Będę musiał ułożyć równanie zestawiające współczynnik tau z rzeczywistym poborem mocy...

– Czy może mi pan orientacyjnie określić wielkość masy, jaką można wysłać w przestrzeń czasową?

– Mimo iż dotychczas używaliśmy tylko małych obiektów, teoretycznie nie ma ograniczeń co do wielkości. Nie ma czynnika ograniczającego masę. Gdybyśmy mieli wystarczająco duże pole, przypuszczam, że moglibyśmy przemieścić pomnik Waszyngtona. W teoretycznych założeniach nie ma niczego, co wykluczałoby taką możliwość.

Troy wahał się przez chwilę, zanim powiedział:

– Jeśli to prawda, to logicznie rzecz biorąc, możliwe jest wysłanie istoty ludzkiej w przestrzeń czasową.

– Tak, czemu nie, masa jest masą... – Kleiman urwał, pochylił głowę i spojrzał Troyowi w oczy. – Czy myślisz o tym, co ja myślę, że ty myślisz? Czy twoja koncepcja zmierza w kierunku wyjaśnienia nagłego zniknięcia pułkownika?

– Możliwe. Taka koncepcja może wyjaśnić wiele rzeczy. Sposób, w jaki popełnił te brutalne morderstwa tylko po to, by zyskać na czasie. Jego obojętność co do pozostawienia śladów, po których moglibyśmy go znaleźć. Czemu miałby się tym wszystkim przejmować, skoro zakładał, że niemożliwe jest, by poniósł konsekwencje swoich czynów.

– Masz rację; gdyby podróż w czasie była możliwa, niczym nie musiałby się przejmować. Rzecz w tym, że podczas naszych badań nie braliśmy pod uwagę możliwości wykorzystania w eksperymentach istot żywych. Kto wie, to mogłoby mieć zgubne skutki. Nikt nigdy nie robił takich rzeczy.

– Więc spróbujmy.

– Powiedziane w prawdziwym duchu nauki. Wiem, co jest nam potrzebne.

Kleiman przez chwilę szperał w biurku, aż znalazł notes z numerami telefonów. Sprawdził jakiś numer, po czym nacisnął kilka przycisków w aparacie. Usiadł – wygodnie w fotelu, nogi położył na biurku i czekał na podniesienie słuchawki po drugiej stronie linii.

– To ty, Hugo? Tak, mówi Bob Kleiman. Wiem, że długo się nie odzywałem. To duży teren, wszyscy jesteśmy zapracowani. Posłuchaj, mam do ciebie pewną sprawę, jeśli masz chwilę czasu. Doskonale. Pamiętasz, jak podłączyłem ci mały generator połowy tak, abyś mógł kontrolować wpływ pola tau na życie komórek? Masz jakieś wyniki? Brak wiadomości jest dobrą wiadomością. Czy zająłeś się już formami jednokomórkowymi, tak jak mówiłeś? To naprawdę dobra wiadomość, biała mysz. Może ja będę mógł ci pomóc. Chcę jedną umieścić w polu o pełnej mocy. Zgoda, wiedziałem, że to cię zainteresuje. Przyślij mi jedną tylko taką, której za bardzo nie lubisz, gdyż nie mogę ci zagwarantować, w jakim będzie stanie po eksperymentalnym przelocie w ciągu czasowym. Tak, dobrze, dzięki. – Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Troya. – Goniec jest w drodze. Przeprowadzimy eksperyment i znajdziemy odpowiedź przynajmniej na jedno z twoich pytań.

To była bardzo mała, biała myszka. Miała różowe oczka i różowy nosek. Siedziała i czyściła wąsy przednią łapką. Z zainteresowaniem patrzyła, jak Kleiman umieszcza klatkę, w której się znajdowała, w odpowiednim miejscu i naciska przycisk. Klatka zniknęła.

– Daję ci pełne pięć minut. Alarm włączy się dziesięć sekund przed powrotem. Daj mi raz jeszcze ten wydruk. Przemyślałem niektóre rzeczy. Z tego wynika, że tych dwóch dowcipnisiów przeprowadziło eksperyment, którego nigdy nie braliśmy pod uwagę. Musimy w jakiś sposób sprawdzić, czy rzutowanie w przeszłość jest możliwe. Trzeba to sprawdzić eksperymentalnie bez wikłania się w paradoksy czasu.

– Znowu mnie pan dobija.

– Przepraszam. Obojętnie czy ci się to podoba, czy nie, ale kiedy zaczynam mówić o cofnięciu się w przeszłość, od razu nasuwa mi się pewne powiedzenie: co by się stało ze mną, gdybym się cofnął w czasie i zabił swojego dziadka przed narodzinami mojej matki.

– Co by się stało?

– Oto jest pytanie. Gdybym go zabił, mógłbym się nigdy nie urodzić, więc nie mógłbym cofnąć się w przeszłość i zabić go, zatem...

– Paradoks.

– Dokładnie. Nigdy nie uda nam się przeprowadzić takiego eksperymentu, w którym moglibyśmy ominąć tę przeszkodę, oczywiście nie mam tu na myśli krótkich podróży w czasie. Wiedzieliśmy już o tym, zanim zaczęliśmy badania.

– Proszę nie trudzić się szczegółowym wyjaśnianiem tego wszystkiego, gdyż ja znowu nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi.

– To jest proste. Nigdy nie znaleźliśmy niczego leżącego na transmisyjnym miejscu na kamieniu, więc nigdy też nie wysyłaliśmy w przeszłość niczego, co moglibyśmy znaleźć w tym miejscu. Nie próbowaliśmy. Gdybyśmy jednak przypadkowo znaleźli coś na kamieniu, wiedzielibyśmy, że coś w przyszłości zostało wysłane w przestrzeń czasową w przeszłość, zatem musielibyśmy później przeprowadzić eksperyment, w którym to coś zostałoby odesłane z powrotem. Trochę się to komplikuje.

– Uważa pan, że to jest skomplikowane! – Troy wybuchnął śmiechem. – Czy wie pan, co ja o tym sędzę? Jestem na jakiejś obcej planecie! Po szkole średniej poszedłem do college'u, gdzie uzyskałem tytuł magistra historii. Później przez cały czas moim życiem rządziła armia. Przez dwa lata strzelali do mnie, więc musiałem się nauczyć, jak strzelać do nich. Po wojnie zostałem w armii. Zapomniałem większość rzeczy z historii, ale wiele nauczyłem się o nowoczesnej broni oraz o tym,

jak przeżyć, gdy kilku facetów robi wszystko, by mnie zabić. Jednak jeśli chodzi o cały ten sprzęt tutaj, moja cała wiedza to... co to było za słowo, którego pan użył? Bupkas?

– To dobre określenie. To żydowska nazwa gówna koziego. Czy coś może mieć mniejszą wartość?

– Nie. Bupkas. Nie wiem nawet, dlaczego ten kamień jest tutaj.

Kleiman spojrzał na szary granit wystający z podłogi i skinął głową.

– To proste. Kiedy myślisz o czasie, musisz go rozpatrywać w aspekcie ruchu fizycznego. Nie tylko ludzie poruszają się w danym odstępie czasu w przestrzeni fizycznej, ale również Ziemia obraca się wokół Słońca. Co więcej, cały Układ Słoneczny porusza się w przestrzeni międzygwiazdnej. Na szczęście tym problemem nie musimy się zajmować. Pole tau funkcjonuje w tak zwanym czasie ziemskim. Oznacza to, że przedmioty przemieszczają się w czasie, nie w przestrzeni. Jakiś przedmiot położony na tym kamieniu, przesunie się o kilka minut w przyszłość i wciąż będzie na tym kamieniu. Właśnie dlatego go wykorzystujemy do naszych eksperymentów. Gdybyśmy korzystali z czegoś innego, na przykład z jakiegoś stołu, zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś mógłby go przesunąć. Przedmiot przemieściłby się w czasie w stosunku do miejsca, gdzie stół był, ale już go nie ma. Trzask, brzęk i po eksperymencie. Dlatego właśnie mamy tę naszą skałę. Ten bardzo solidny kamień jest stuprocentowym metamorficznym granitem. Leży w tym miejscu od dwóch milionów lat i miejmy nadzieję, że będzie tu przez następne dwa. Przeprowadzono tutaj wstępne badania naukowe, jeszcze zanim ja pojawiłem się w tym laboratorium, ale rozumiem, że przed wybudowaniem tego budynku brano pod uwagę ukształtowanie terenu. W pewnym sensie laboratorium postawiono właśnie tutaj, gdyż tutaj był ten kamień...

Przerwał mu dźwięk dzwonka. Popatrzyli na skałę w chwili, kiedy pojawiła się na niej klatka. Mysz siedziała w środku i patrzyła na nich. Kiedy Troy włożył palec między pręty, szybko podbiegła i zaczęła go obwąchiwać.

– Mamy więc następną odpowiedź – powiedział z zadowoleniem Kleiman, podnosząc klatkę i śmiejąc się do jej małego więźnia. – Służy ci podróż w czasie. Krzepi. Ta mysz nigdy nie wyglądała tak dobrze. Hugo będzie szczęśliwy, kiedy otrzyma wyniki. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Wracając do twojego wcześniejszego pytania: tak, “żelazny pułkownik” mógł uciec w przestrzeń czasową. Jak i dlaczego, nie mam pojęcia.

– Zatem musimy się tego dowiedzieć. Jak dotąd radzisz sobie wyśmienicie. Czy te cyfry mogą nam powiedzieć, jak daleko cofnął się w przeszłość?

– Musimy dokonać obliczeń. Możemy zaoszczędzić czas, jeśli dowiemy się, w jaki sposób McCulloch i jego towarzysze robili obliczenia do swoich eksperymentów. Na początek odwróćmy równanie, na którym opiera się przemieszczenie w przyszłość. Nie mamy żadnej gwarancji, że po odwróceniu członów wszystko będzie do siebie pasować. Z drugiej strony jestem pewien, że McCulloch i Harper dokładnie wyliczyli to przemieszczenie w czasie. Inaczej nie odważyliby się podjąć takiego ryzyka. Zakładając, że im się udało, możemy pójść ich tropem i wykorzystać wyniki, do których doszli. Muszę postarać się odnaleźć ich ślady. Tam w rogu jest ekspres do kawy. Naley dwie filiżanki, a ja poczytam sobie ten wydruk. To nie powinno trwać długo.

Nie trwało długo. Kleiman znalazł to, czego szukał, zanim zdążyli dopić kawę.

– Eureka! Co, jeśli twoje wykształcenie klasyczne jest niepełne, znaczy po grecku “znalazłem”. Jest tutaj całe mnóstwo próbnych eksperymentów, ale ja szukałem dużego. Oto i on. Miał miejsce ponad rok temu. Zobacz, ile energii elektrycznej zużyli! Mam nadzieję, że nie pokażą podatnikom rachunku za prąd. Teraz małe zadanie matematyczne.

Kleiman dwukrotnie sprawdził liczby i wynik był ten sam. Napisał na kartce w notatniku,

wyrwał ją i podał Troyowi.

– Dziesiątego grudnia tysiąc dziewięćset czterdzieści jeden – powiedział.

Troy spojrzął na kartkę.

– Czy to data przybycia?

– Zgadza się. Coś o wadze około piętnastu kilogramów zostało wysłane w przeszłość, właśnie na tę datę. Przynajmniej ja tak sądzę. Masa jest dokładna, ale data pochodzi z odwrócenia równania do przemieszczenia w przyszłość. Może nie być dokładna, ale czemu nie mielibyśmy zrobić tego samego co oni, kiedy chcieli się upewnić. Sprawdzić w gazetach. Cokolwiek wysłali, musiało to być na tyle niezwykle, by zainteresowało dziennikarzy. Wściekły pies, dwadzieścia pięć oskubanych i zamrożonych dwugłowych kurcząt, nie wiem co. Możesz być pewien, że cokolwiek by to było, musiało być czymś na tyle dziwnym, by wywołać sensację. W przeciwnym razie nie mieliby pewności, czy i kiedy ich przesyłka osiągnęła cel.

– Jest pan tego pewien?

– Nie, ale przecież od czegoś musimy zacząć. Czemu nie mielibyśmy podzielić się pracą? Ja będę dalej analizował ten wydruk. Zrobię listę dat i ciężaru wysyłek. Ty w tym czasie jedź do wydawnictwa "Washington Post" i przejrzyj ich archiwum. Jeśli nic nie znajdziesz, zacznij szukać od nowa. To musi tam być, inaczej McCulloch nie mógłby dalej realizować swojego nikczemnego planu.

– Zgoda. Jak długo będzie pan tutaj?

– Tak długo, aż nie zadzwonisz. – Kleiman położył rękę na sercu i podniósł oczy. – Łamię pradawny zwyczaj opuszczania tej budy przed piątą i upajania się smakiem martini o piątej trzydzieści. Jednak w tym przypadku żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie. Idź i wracaj z tarczą lub na tarczy. Chcę mieć albo dobre wieści, albo żadne. Stać cię na to, by sprostać temu zadaniu.

Czemu nie, pomyślał Troy w drodze do miasta. Trzeba po prostu nad tym posiedzieć do skutku. Chciał to zrobić, bo był przekonany, że gdzieś w gazecie była ta informacja. McCulloch ją znalazł, jemu też musiało się udać.

Katalog w wydawnictwie był dobrze zorganizowany. Ostatnie egzemplarze można było kupić lub przejrzeć na miejscu. Aby zaoszczędzić miejsca w magazynie, gazety po upływie kilku tygodni od daty druku umieszczano na mikrofilmach. Troy wypełnił rewers na szpulę z grudnia 1941 i nacisnął przycisk wzywający urzędnika. Musiał długo czekać. Pojawił się, dopiero gdy Troy zadzwonił po raz drugi.

– Cierpliwości, bracie, cierpliwości – powiedział.

Młody Mulat miał na głowie imponujące afro, włosy odstawały mu od głowy na jakieś osiem cali. Wziął kartkę od Troya i zniknął między szufladami. Powrócił po niecałej minucie i oddał Troyowi kartkę.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział. – Nie dam rady zdobyć tego dla ciebie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie ma tego tutaj, człowieka. Takie rzeczy zdarzają się. Czasami numery są pomyłone, czasami ktoś po prostu weźmie mikrofilm ze sobą. Taki jest świat. Z tego co wiem, mogło się to zdarzyć bardzo dawno temu. Rzadko kiedy otrzymujemy zamówienia na tak stare egzemplarze. Tej rolki może tutaj nie być od wielu miesięcy. Cokolwiek by się stało, tego filmu na pewno u nas nie ma.

ROZDZIAŁ 16

Pułkownik uprzedził go!

Troy trzymał w ręce rewers, wiedząc, że ich przypuszczenia były trafne. McCulloch był tutaj, znalazł to, czego szukał i zatarł ślady.

– Co z okresem przed i po? – zapytał Troy. – Czy mógłbym je zobaczyć?

– Masz dzisiaj zły dzień, człowieku; tracisz czas. Na każdej rolce mamy egzemplarze z czterech miesięcy. Data, o którą ci chodzi, jest gdzieś w środku tej szpuli.

– Ale to chyba niemożliwe, żebyście mieli tylko jedną kopię. Nie macie drugiego kompletu?

– Mamy w schowku matrycę, żeby móc robić nowe kopie. W dzisiejszych czasach ludzie nie mają żadnego poszanowania dla własności publicznej. Rysują, drą lub bawią się w robienie odcisków palców. Robimy więc nowe kopie, jeśli jest taka potrzeba. Ale to trochę potrwa. Złożę teraz zamówienie i możesz przyjść za jakieś trzy dni.

– Nie mam czasu. Może mógłbym rzucić okiem na matrycę?

Urzędnik zaprzeczył wolnym ruchem głowy.

– Nie da rady. Mamy tu swoje przepisy. Matryce muszą być cały czas w schowku. Nie wolno mi stamtąd zabrać ani jednej. Musisz się uspokoić i wrócić, kiedy nowy egzemplarz będzie gotowy.

Oprócz nich w pokoju nie było nikogo. Troy sięgnął po portfel i wyjął dwudziestodolarowy banknot. Położył go na ladzie. Urzędnik spojrzał na pieniądze.

– Czy nie moglibyśmy zrobić wyjątku? – zapytał Troy.

Urzędnik cofnął się o krok i rozejrzał.

– Człowieku, ty chcesz mnie przekupić?

– Zgoda. Nie znoszę widoku pieniędzy, zwłaszcza na tej ladzie. – Banknot zniknął i piętnaście sekund później na jego miejscu pojawił się film. Urzędnik przytknął palec do ust. – To będzie nasza tajemnica. Weź pierwszy rzutnik i daj mi znać, jak skończysz.

– Dzięki. To nie powinno zabrać dużo czasu.

Ale zabrało. W wydaniu z dziesiątego grudnia nie mógł znaleźć nic, co miałoby jakiś związek ze sprawą. Trzykrotnie przeglądał gazetę, aby mieć pewność. To nic, szukał dalej. Bob Kleiman mówił, że nie jest pewny co do daty.

Godzinę później znalazł nagłówek.

To było to. Musiało być, doskonale pasowało. Mały artykuł na drugiej stronie.

GROŹBA INWAZJI W MARYLAND

Tajemnicze wybuchy i światła przyczyną alarmu.

Możliwość niemieckiej inwazji postawiła w środku nocy na nogi setki mieszkańców Clewerwall, którzy byli świadkami serii wybuchów i błysku światel w pobliżu miasta. Wezwano straż pożarną i policję, a ta z łatwością zlokalizowała miejsce eksplozji na skalistym wzgórzu obok Saunders Farm, gdyż wybuchy ciągnęły się przez ponad dwie godziny. Szef policji O'Sullivan oświadczył, że była to robota jakichś rozrabiaków. Napelnili metalową skrzynkę rakietami używanymi na morzu do wysyłania sygnałów alarmowych. Sprawcy tego "żartu" są nieznani.

To było to. To musiało być to. Troy zrobił odbitkę i oddał rolkę. Kiedy wyszedł z budynku, znalazł się w samym środku nasilającego się ruchu ulicznego. Czuł się jak jeden z urzędników, którzy nie kończącymi się falami opuszczali swoje biura i wracali do domów. Minęła szósta, nim dotarł do laboratorium.

– Mam dla pana wiadomość – powiedział strażnik przy głównej bramie. – Doktor Kleiman czeka na pana w gabinecie dyrektora.

– Dziękuję, zaraz tam będę.

Kiedy Troy wszedł do gabinetu, Roxanne Delcourt stała przy otwartym barku i przyrządzała drinki. Bob Kleiman trzymał właśnie w ręce dużą szklanę dzinu z lodem i jakimś sokiem.

– Udało ci się? – zapytał.

– Tak – powiedział Troy. – McCulloch albo ktoś inny ukradł oryginał mikrofilmu, ale zdobyłem duplikat. Mam jego kopię. Dokładnie ta data.

– Drinka? – zapytała Roxanne, kiedy Kleiman czytał wycinek artykułu. Podała mu szklanę. – Bob dopadł mnie tutaj, kiedy wychodziłam już do domu. Opowiedział mi o waszym odkryciu. Uważa, że jesteś lepszym detektywem niż Dick Trący.

– Oczywiście, że jestem lepszy. Dzięki, właśnie to mi było potrzebne. – Troy przechylił szklanę. – To tylko kwestia uporu. McCulloch zostawił ślad, a my poszliśmy nim.

– Teraz łatwo ci to powiedzieć – uśmiechnęła się. – Do niczego nie doszlibyśmy, gdyby ciebie tutaj nie było. Abstrahując od sprawy McCullocha, to co odkryłeś, ma ogromny wpływ na dalszy rozwój badań. Przypuszczam, że ostatecznie opracowalibyśmy odwrotne tau, ale na razie nie braliśmy pod uwagę eksperymentów w tamtym kierunku. Teraz jesteśmy na całkowicie nowym etapie badań. Dzięki tobie.

– No proszę, głowa mi puchnie! Cieszę się, że to pomogło wam w badaniach, ale ja ciągle mam mnóstwo swojej pracy. McCulloch jest złodziejem i mordercą, a ja muszę go znaleźć.

Kleiman podał Roxanne kopię artykułu.

– Nie masz zbyt wielkich szans, jeśli twoja ofiara uciekła w przestrzeń czasową – powiedział do Troya. – Jeśli to zrobił, zapomnij o całej sprawie.

– Dlaczego?

– Z bardzo prostej przyczyny. Jeśli cofnął się o więcej niż pięćdziesiąt lat, to nie mógł doczekać naszych czasów i sprawa jest zamknięta. Nie możesz przecież ściagać nieboszczyka.

– Tak, ale równie dobrze mógł cofnąć się o piętnaście lat, zabierając ze sobą złoto. Jeśli to zrobił, to ciągle gdzieś jest, a jeśli jest, to muszę go znaleźć. W związku z tym mam bardzo ważne pytanie. Przyjmując, że użył wehikułu, by przemieścić się w przeszłość, czy może się pan dokładnie dowiedzieć, jak daleko się cofnął? Czy sądzi pan, że ten ostatni duży eksperyment, który pan odkrył w zapisie, to naprawdę był on?

– Nie wiem. Kiedy wyszedłeś, zająłem się czymś innym i nie pracowałem nad wydrukiem. Ten przełom w badaniach stał się dla mnie tak ważny, że przyczyna tego całego dochodzenia uciekła mi z głowy. Przepraszam. Zaraz się tym zajmę.

– Skończ najpierw drinka – powiedziała Roxanne. – Co się stało, to się nie odstanie. To już część historii. Poczekaj.

– Z pewnością – powiedział Troy. – Niemniej chciałbym znać tę datę. Dzięki niej możemy poznać motyw.

– Podałem ci motyw, pamiętasz? – powiedział Kleiman. – Wysłać złoto w przeszłość, zainwestować, ściągnąć z powrotem do teraźniejszości, iść do banku, podjąć gotówkę i w jednej chwili stajesz się milionerem.

– To niewykonalne – powiedziała Roxanne. – Zapominasz o najważniejszej rzeczy.

– Wiem – zgodził się Kleiman. – To się nie uda, gdyż podróż w czasie jest podróżą w jedną stronę. Możesz tam jechać, ale nigdy już nie wrócisz, chyba że weźmiesz ze sobą całe laboratorium. Mimo to fakt ten nie obala mojej teorii. Zabrać złoto do czasów wielkiego kryzysu lat trzydziestych, okresu prohibicji, i można się nieźle urządzać. Założę się, że właśnie tak zrobił.

Troy potrząsnął głową.

– To mało prawdopodobne. Ten motyw nie pasuje do tego człowieka. Z tego co wiemy, McCulloch miał wszelkie dobra materialne, jakie chciał. To proste wyjaśnienie, że cofnął się w czasie, by zrobić majątek, nie tylko nie pasuje do niego, ale też nie wyjaśnia, dlaczego ukradł pistolet i szkice, dlaczego czytał książki, odwiedzał biblioteki i tak dalej. Musiał mieć jakiś motyw, ale my go jeszcze nie znamy.

– Tak, teraz jestem po twojej stronie, Sherlocku – powiedział Kleiman. – Znaleźć motyw, to znaleźć tego człowieka. Włączam mój zardzewiały kalkulator. Mam tutaj poprzednie obliczenia. To mógł być człowiek. Masa obiektu wynosi dziewięćdziesiąt pięć i cztery dziesiąte kilograma.

– Pułkownik nie mógł ważyć tak dużo – powiedziała Roxanne.

– Nie – zgodził się Troy. – Jednak ciężar zgadzałby się, jeśli miał bagaż wartości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów w złocie.

– Oczywiście. Zobaczmy, co słyhać u Boba.

– Muszę najpierw nanieść pewne poprawki – wymamrotał Kleiman, naciskając klawisze. – Data przybycia jest o wiele bardziej odległa niż zakładałem. Zamieńmy różnicę na sekundy, to powinno na razie wystarczyć do przybliżonego określenia, podzielmy różnicę przez czas...

W milczeniu obserwowali Boba. Każde z nich pogrążone było w myślach. Dla Roxanne Delcourt rozmyślanie o pułkowniku było w obliczu nowych odkryć zbyt trudne. Badania, którym poświęciła całe swe życie, wkraczały teraz w nowe, fascynujące etapy.

Troy nie mógł tak łatwo zapomnieć McCullocha. Zabójca. Niebezpieczny psychopata zamknięty w gładkiej powierzchowności. Ukryty tak dobrze, że nikt nigdy nawet go nie podejrzewał o coś takiego. Czy możliwe było odnalezienie pułkownika i postawienie przed sądem? Nie było siły, która by tego dokonała. Sprawy zaszły za daleko.

– Mam! – oznajmił Kleiman, wymachując nad głową kalkulatorem. – Nie jest dokładna, gdyż zaokrągliłem liczby, żeby uprościć równanie. Niemniej jednak nie mogłem się pomylić o więcej niż kilka dni, powiedzmy najwyżej tydzień. Jestem tego absolutnie pewien...

– Robert – przerwała Roxanne. – Wystarczy już tego wykładu. Datę, jeśli można.

– Tak, oczywiście, przepraszam. Dopuszczając pewne wariacje, o których już wspominałem, przedmiot o masie ponad dziewięćdziesięciu pięciu kilogramów został wysłany o sto dwadzieścia cztery lata w tył. Nie musisz więc, Troy, martwić się znalezieniem tego starego zrzędy. Minęło dużo czasu, od kiedy zmarł i został pochowany. Ciągle jednak nie mamy odpowiedzi na nasze podstawowe pytanie.

– Wiem – powiedział Troy. – Motywacja.

– Właśnie. Ten problem przesłania wszystko. Dlaczego chciał uciec od antybiotyków, przyjemności i cierpień naszego stulecia? Dlaczego przeniósł się do roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego ósmego?

ROZDZIAŁ 17

Sterna dokumentów składających się na akta McCullocha robiła duże wrażenie. Ułożone jeden na drugim piętrzyły się na wysokość przynajmniej trzydziestu centymetrów. Troy przeniósł je wszystkie z budynku na Massachusetts Avenue na teren laboratorium do biura ochrony; biura, które kiedyś należało do pułkownika, a teraz do niego. Miejsce, gdzie McCulloch pracował, stwarzało lepszą atmosferę do studiowania jego akt.

Pułkownik Wesley McCulloch, dla przyjaciół Wes. Troy usiadł wygodnie przy biurku, przysunął do siebie brulion w linie i napisał na górze "Wes". Chciał poznać tego człowieka, wejść w jego skórę i zrozumieć go. Wskazówki, których szukał, były gdzieś w tej stercie papieru. Jeśli dokładnie je przestudiuje, pozna mechanizm tego człowieka, to poszedłszy w jego ślady przez udokumentowaną historię życia, powinien dojść do przyczyny tego wszystkiego, co się wydarzyło.

O jedenastej zrobił przerwę na kawę. Wyprostował się i potarł dłonią krzyże. Siedzenie i pochylanie się nad biurkiem było męczące, ale nie bezowocne. Żółty brulion zapełniał się, odsłaniając powoli zaciemnioną postać pułkownika. Troy nie miał ochoty tego zostawiać. Kiedy przyniósł kawę, stanął przy oknie i wyjrzał, tak jak robił to niezliczoną liczbę razy pułkownik. Musiał nauczyć się patrzeć oczami tego człowieka. Obojętne na co patrzył, chciał widzieć to tak jak pułkownik.

Pukanie do drzwi przerwało mu rozmyślanie. Kiedy się odwrócił, w drzwiach stał umundurowany mężczyzna.

– Nazywam się van Diver, major van Diver.

Wszedł do, środka. Troy dostrzegł przez jego ramię grupę oficerów i podoficerów w sąsiednim biurze.

– Czy mogę zapytać, co się tutaj dzieje?

Major skinął głową, a jego różowe podbródki zatrzęsły się przy tym. Miał rzadkie, jasne włosy i sztuczną szczękę; wodniste, niebieskie oczy mrugały zza stalowej oprawki okularów.

– Przyszedłem, by pana zwolnić – powiedział. – Tutaj są rozkazy wydane dziś rano w Pentagonie, poruczniku...

Zatrzymał się przy ostatnim wyrazie, na jego ustach pojawił się zimny uśmiech. Musiał mieć źle dopasowaną górną szczękę, cały czas przesuwał ją językiem tam i z powrotem. Troy zignorował ten kłopotliwy widok i zajął się czytaniem rozkazów. Były zrozumiałe. Ktoś na górze rzucił w końcu tę sprawę i on był już zbędny. Oddał dokumenty.

– W porządku, majorze. Opróżnienie biurka i pozbieranie moich papierów zajmie mi pół godziny.

– Nie. Wszystkie papiery zostają tutaj, a pan się w tej chwili stąd wyciąga. Inni nie wiedzą, ale ja wiem, co się tutaj dzieje. Wiem, że jest pan tylko sierżantem z jakiejś brygady od łapania duchów. Kiedy mówię, że jest pan zwolniony, sierżancie, to chcę, by to było dobrze zrozumiane. Jest pan wykluczony z tej sprawy. Nie współpracuję z jakimiś cholernymi tajnymi agencjami, które rozmnażają się przy obecnej administracji. Armia jest w stanie sama przeprowadzić dochodzenie w sprawie jakiegoś oficera, po to mamy wojskowy wywiad. Dostał pan to dochodzenie, kiedy chodziło tylko o złoto. Proszę się stąd wynieść. Teraz ta sprawa jest dla pana zbyt poważna. Papiery zostają. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno. Jest pan wolny, sierżancie.

Troy otworzył usta, by coś powiedzieć, po czym wolno je zamknął. Otrzymał rozkazy. Nie mógł powiedzieć niczego, co zmieniłoby tę sytuację. To co zrobił, to co jeszcze trzeba było zrobić, jego koncepcje – nic się nie liczyło. Był zwolniony. Nie miał wyboru, nie miał żadnego wyboru.

Stanął na baczność i zsalutował. Major van Diver odsalutował. Troy odwrócił się, otworzył drzwi i wyszedł. Poszedł prosto na parking do samochodu. Włączył silnik i wolno ruszył w kierunku bramy, która szeroko otworzyła się gdy nadjechał. Strażnik kiwnął do niego głową. Troy pomachał w jego kierunku ręką, kiedy wyjechał za bramę. Dopiero gdy był już poza terenem laboratorium, napięcie zaczęło powoli ustępować. Wybuchnął głośnym śmiechem.

– Jestem zwolniony! – krzyknął, kiedy w bocznym lusterku budynku laboratorium były już bardzo małe, a po chwili całkowicie zniknęły z pola widzenia.

Nowe rozkazy. Specjaliści wchodzą do akcji! Naprzód, rządowe wypierdki. Wasze ptasie mózdzki nie są w stanie czegokolwiek się dowiedzieć. Tępaki! Zwolniliście mnie, ale do głowy wam nie przyszło, by odebrać mi przepustkę. Dotknął kieszeni, w której miał ten ważny dokument. Od znajomych wiedział, jak oni pracują. Wiedział, jak mało znajdują, ale niech szukają. Ta sprawa była jego i dalej będzie się nią zajmował. Czy aby na pewno? To zależało od admirała. Musiał się z nim natychmiast skontaktować, właśnie tam jechał. Po drodze minął zajazd i zdał sobie sprawę, że nic nie jadł od ponad sześciu godzin. Kiedy skończył kanapkę, poszedł do budki telefonicznej na stacji benzynowej obok zajazdu i zadzwonił do sekretariatu admirała. Admirał był w budynku. Miał się z nim spotkać za pół godziny.

Decyzja armii dotycząca zwolnienia Troya nie wywołała najmniejszego zdziwienia admirała Colonne. Palił fajkę i kiwał głową, kiedy słuchał szczegółów.

– Moja agencja spełniła swoją rolę – powiedział. – Pilnowaliśmy pilnującego i sporządziliśmy z tego raport. Teraz nie ma pilnującego. Koniec naszej odpowiedzialności. Wkraczają zawodowi żołnierze, my się wycofujemy. Taka jest procedura. Sprawa zamknięta.

– Przykro mi, panie admirale, ale nie wierzę, że sprawa jest zamknięta. Przydzielił mi pan do tego dochodzenia, żebym znalazł przyczynę, dla której pułkownik kupował złoto. Ta zagadka nie została jeszcze wyjaśniona. W tym czasie pułkownik popełnił kilka zbrodni, które bada G2 i policja. Wszystko pięknie ładnie, ale problem, którym pan się interesował, admirale, jest ciągle otwarty i nie rozwiązany.

Admirał skinął głową.

– Jestem w stanie zrozumieć twój punkt widzenia, ale czy sądzisz, że możesz zrobić coś, czego inne wydziały nie są w stanie? W jaki sposób możesz się przyczynić do rozwiązania tej zagadki?

– Jestem się w stanie dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Jak do tej pory mam dobre wyniki. Widział pan mój raport. Tak naprawdę to jest dopiero początek. Musi być związek między kradzieżami, złotem i morderstwami. Kiedy znajdę jedną odpowiedź, będę miał wszystkie.

– Wierzysz, że potrafisz to zrobić?

– Myślę, że tak, panie admirale. Za cały ten czas i energię, jaką zainwestowałem w tę sprawę, proszę tylko o trochę czasu. Przynajmniej proszę mi dać szansę, bym spróbował. Czy dalej zajmuję się tą sprawą?

Admirał milczał przez chwilę, wpatrując się w chmurę dymu. Później skinął głową.

– Tak. Zgadza się z twoim tokiem myślenia. Jeśli chodzi o ten wydział, dochodzenie w sprawie McCullocha jest ciągle otwarte. Co zamierzasz zrobić?

– Poprosić pana, admirale, o pozwolenie na skontaktowanie się ze wszystkimi agencjami, które dostarczyły dokumenty dotyczące McCullocha. Chcę kopie ich raportów. Major wyrzucił mi tak szybko, że nie zabrałem nawet swoich notatek.

– Niestety, to niemożliwe. Mimo iż obaj mamy inne zdanie, QCIC jest oficjalnie wyłączony z tej sprawy. Nawet gdybym zwrócił się o informacje do innych agencji, na pewno daliby mi negatywną odpowiedź.

– Cholera! – Troy zerwał się na równe nogi i zaczął przemierzać salę konferencyjną tam i z powrotem. Nerwowo zaciskał pięści. – Wszystko na nic. Nigdy nie dostanę tego człowieka, nie mając tych raportów. Jestem idiotą. Od razu, gdy tylko nadeszły te dokumenty, powinienem był zrobić ich kopie!

Admirał skinął głową.

– Późno zrozumiałeś to, do czego ja doszedłem dziesiątki lat temu. W tej pracy musisz mieć pewne nawyki. Kopię robi się, zanim przeczyta się oryginał. Jestem pewien, że po tej lekcji zgodzisz się z mądrością takich zasad...

– Czy ma pan... czy zrobiono kopie tych raportów?

– Oczywiście. Powiedziałem już, że to normalna procedura. Zaraz zostaną zrobione duplikaty i prześlę je do twojego gabinetu w suterenie. – Podniósł rękę. – Nie dziękuj mi. QCIC to mój wydział. Pozytywne zakończenie tej sprawy da nam obu jednakową satysfakcję.

Troy nie mógł ukryć entuzjazmu.

– To wspaniałe! Ocalił pan moją skórę. Muszę panu podziękować. Rozwalę tę zagadkę.

– Z niecierpliwością oczekuję na twój raport.

Troy zmierzał już ku wyjściu, ale odwrócił się przy drzwiach.

– Czy mogę panu zadać osobiste pytanie, admirale?

– Możesz. Nie daję ci gwarancji, że na nie odpowiem.

– Właściwie to nie jest ono aż tak osobiste; chciałem po prostu zapytać, co pan robił w marynarce wojennej? Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie mam nic przeciwko marynarce, ale, widząc, jak kieruje pan tym wydziałem, zaczynam uważać, że myliłem się co do organizacji w marynarce.

– Możliwe, że się nie myliłeś. Marynarka ma skłonności do pracy według zasad z podręcznika, brak jej wyobraźni. Być może właśnie dlatego jestem tutaj. Być może nigdy nie byłem w marynarce... Zastanów się: ty nigdy nie byłeś porucznikiem, ale cały czas nosisz jego mundur. Proponuję, żebyśmy na razie zostawili to. Z niecierpliwością oczekuję na twój raport z postępów w śledztwie.

Najprawdopodobniej była to najlepsza odpowiedź, jakiej mógł się spodziewać.

Troy zszedł na dół i pogрузzył się w pracy. Papiery stopniowo pokrywały jego biurko, później podłogę, kiedy starał się ułożyć je w logicznym porządku. Wkrótce potem jak przebrnął przez nafaszerowany szczegółami raport z FBI, dokonał bardzo cennego odkrycia. Trzystronicowa ocena osobowości McCullocha przeprowadzona przez rządowego psychiatrę na podstawie życiorysu i kartoteki medycznej pułkownika.

To była ciężka przeprawa przez świat Freuda. Większość informacji dotyczyła wczesnego okresu, kiedy pułkownik opuścił dom. Fakt ten był podłożem do spekulacji dotyczących odrzucenia przez matkę i rywalizacji między braćmi, co z kolei prowadziło do wymyślnego teoretyzowania. Troy przerzucił kartki i skoncentrował się na podsumowaniu.

Mój wniosek, ze względu na fakt, że nigdy nie spotkałem się osobiście z badanym, jest wnioskiem niepełnym. Uważam, że badany ma typową osobowość paranoidalną, co pogłębia się w okresach napadów schizofrenii. Badany uważa, że został w życiu wyprzedzony przez innych posiadających mniejsze niż on kwalifikacje, a odpowiedzialnością za brak sukcesów obarcza nie siebie, lecz społeczeństwo. Służba w wojsku umożliwiła mu w miarę normalne funkcjonowanie mimo wymienionych wyżej obciążeń. Niemniej jednak oskarżenia o morderstwa popełnione podczas służby w Wietnamie – mimo iż później wycofane – jak również pewne fakty z jego życiorysu są dowodem, że osobnik ten ma silne skłonności mordercze. Problem polega nie na tym, że nie potrafi odróżnić dobra od zła, ale na jego przekonaniu, że zawsze ma rację i na dążeniu do narzucenia swojej woli tym, którzy mają odmienne zdanie. Istotne są również jego rasistowskie poglądy, których stara

się nie ujawniać ze względu na służbę w armii. Wcześniejsza przynależność badanego do Ku – Klux – Klanu jest dowodem potwierdzającym tę opinię. Jego najgłębszą motywacją jest nienawiść. Jest niemal pewne, że w najbliższym czasie nie będzie już dłużej w stanie tłumić swoich uczuć.

Nie potrzebowałem psychiatry, żeby mnie o tym poinformował, powiedział do siebie Troy, rzucając kartkę na biurko i odruchowo pocierając dłonią o spodnie. Czuł to wszystko, gdy po raz pierwszy zobaczył pułkownika. Pomyślał: przynajmniej mam potwierdzenie moich własnych spostrzeżeń, ale co jeszcze kryje się w tych papierach?

Wybierał dokumenty, które wydawały mu się istotne dla śledztwa, i odkładał je na osobną stertę. Położył na nich rękę, mówiąc na głos dla rozjaśnienia umysłu:

– Psychiatra twierdzi, że McCulloch jest człowiekiem o morderczych zapędach i zatwardziałym rasistą, który brał udział w zamieszkach na tle rasowym w Missisipi. Do tego należy dodać policyjny raport, że zabił trzy osoby, by zrealizować swój tajemniczy plan. Wszystko co wiemy o tym planie to to, że jest związany z dużą ilością złota i półautomatycznym pistoletem wraz ze szkicami tej broni. Biorąc pod uwagę, że McCulloch włożył wiele wysiłku w zdobycie tych rzeczy, mamy pewność, iż były one dla niego bardzo ważne. Jeśli cofnął się w czasie, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zabrał je ze sobą. Do roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego ósmego. Dlaczego? Dlaczego właśnie tysiąc osiemset pięćdziesiąty ósmy? Niewiele pamiętam, co się wtedy wydarzyło. Względnie spokojny okres w dziejach Ameryki, nic szczególnego. Poważne problemy i konflikty między stanami, ale wojna secesyjna zaczęła się dopiero dwa i pół roku później... Nie wiem, co knuje! – krzyknął Troy w gwałtownym napadzie wściekłości. – Wiem jedno, że to nic dobrego. Będą ginąć ludzie, w przeciwnym razie po co by zabierał tę broń? Znając pułkownika, nie potrzebuję kryształowej kuli, by mi powiedziała, że większość z tych ludzi będzie miała czarny kolor skóry. Nie mam co do tego cienia wątpliwości!

Ale wściekłość nie była rozwiązaniem. Wyjaśnić motywy pułkownika w jakikolwiek sposób można było tylko za pomocą chłodnego, logicznego myślenia, bez poddawania się emocjom. Troy wyrwał z notesu zapisane kartki i odłożył je na bok. Zaczął pisać na nowej kartce.

Pytanie: co zabrał ze sobą pułkownik? Odpowiedź: złoto, broń, szkice. Pytanie: w jaki sposób jedno wiąże się z drugim? Odpowiedź: powiązanie jest trudne. Pomyśl. Złoto to pieniądze, które zawsze i wszędzie mają swoją wartość. Jeśli McCulloch pojawił się w roku 1858, był bogatym człowiekiem. Z pewnością zamierzał być bogatym człowiekiem na Południu; na pewno nie na Północy. Zakopał się w Dixi, starym, dobrym, utrzymującym niewolnictwo Dixi. Był tam u siebie w domu. Dla człowieka z takimi uprzedzeniami fakt ten był wystarczającym motywem do cofnięcia się w czasie. Życie na swojej umiłowanej ziemi, gdzie integracja oznaczała jedynie matematyczny termin. Wspaniale. Ale dlaczego wybrał rok 1858? Za trzy lata wybuchnie wojna i ukochany świat pułkownika zniknie na zawsze. Gdyby cofnął się do roku 1830, mógłby spokojnie żyć, łamiąc bicz na czarnych plecach. Kochałby takie życie. Przenosząc się do roku 1858, ograniczył pasmo rozkoszy do dwóch lat.

Ale wziął nie tylko złoto. Pistolet. Nadciągająca wojna i śmiertelny półautomatyczny pistolet. Zniknęli razem. Pasowali do siebie.

Troy doznał nagiego przerażającego i przygnębiającego olśnienia. Czuł, że taka była prawda. Nie, to niemożliwe! A jednak to było możliwe. Stało się. Pułkownik cofnął się w czasie, zabierając złoto, szkice i pistolet.

Raport psychiatry sugerował, że McCulloch był paranoikiem o schizofrenicznych, kryminalnych skłonnościach. Taka diagnoza oznaczała, że nie był przy zdrowych zmysłach. Jego pomysły były pomysłami szaleńca. To był pomysł, który nie śnił się nawet żadnemu z pensjonariuszy szpitala dla

obłąkanych.

Pułkownik cofnął się do roku 1858, by zmienić wynik wojny secesyjnej!
Chciał zmienić historię – tak, aby wygrało Południe.

ROZDZIAŁ 18

– Czy mógłby pan bardziej sprecyzować swoje pytanie? Co szczególnego jest w pistolecie typu Sten? Obawiam się, że nie bardzo wiem, co ma pan na myśli – powiedział Dryer.

Kustosz obracał w rękach półautomatyczny pistolet, jak gdyby szukając odpowiedzi.

– Oznacza to, że nie wyrażam się dość jasno – powiedział Troy. – Pozwoli pan, że spróbuję raz jeszcze. Naszą wspólną cechą jest to, że nie patrzymy na broń w sposób, w jaki to robi przypadkowy człowiek z ulicy. Pan jest kustoszem tutejszych archiwów techniki wojskowej, ekspertem od wszystkich rodzajów broni. Ja również jestem specjalistą, używam broni w walce. Tak jak pułkownik McCulloch...

– Tak, pułkownik... Był pan tutaj kilka dni temu w związku z nim. Czy odzyskał pan już moje brakujące egzemplarze?

– Nie, ale cały czas usiłuję to zrobić. Właśnie dlatego chcę się dowiedzieć czegoś więcej o pistolecie, który zabrał pułkownik. Czy jest to jakaś wyjątkowo celna broń? Czy ma wysoką szybkostrzelność lub też małą liczbę zacięć?

– Nie. Wręcz przeciwnie. TO był pistolet zaprojektowany w wielkim pośpiechu na początku drugiej wojny światowej. Jego szybkostrzelność jest niska, jest mało precyzyjny i ma tendencje do częstego zacinania się.

– Rzeczywiście niezbyt ciekawy – powiedział Troy. Podniósł pistolet i przesunął palcem po chropowatym pojemniku na magazynek. – Czy dużo ich wyprodukowano?

– Razem ponad cztery miliony.

– To ogromna liczba broni. Ale dlaczego? Jeśli ta broń była, jak pan mówi, niezadowolająca, to skąd, u licha, produkcja na taką skalę?

– Młody człowieku, musi pan zrozumieć ówczesną sytuację. Niemcy bez większych problemów wygrywali wojnę. Podbili Francję, kraje Beneluxu i przyszła kolej na osamotnioną Wielką Brytanię. Walczyli, nie mając prawie żadnej nowoczesnej broni, a wojna domowa w Hiszpanii pokazała, że przyszłe zwycięstwa zależą od nowoczesnego uzbrojenia. Tymczasem Anglia w chwili przystąpienia do wojny nie miała żadnej broni maszynowej. To był okres paniki, w każdej chwili spodziewano się niemieckiej inwazji. W związku z tym jakakolwiek broń była lepsza niż żadna. Ten konkretny pistolet, Sten, został opracowany w ogromnym pośpiechu. Chociaż miał swoje wady, o których wspominałem, technologia jego produkcji była bardzo prosta. Poddostawcy produkowali części w zaadaptowanych stodołach i stajniach. Broń była tania. Jeden egzemplarz kosztował, jeśli mnie pamięć nie myli, dwa funty dziesięć szylingów, to niecałe sześć dolarów. Niewiarygodnie niska suma jak na dzisiejsze czasy, kiedy broń osiąga wartość wielu milionów. Ten mały, brzydki pistolet okazał się najcenniejszą bronią na wyposażeniu sił sprzymierzonych. Proszę pamiętać, że to był model Mark One. Mark Two ma znacznie bardziej interesującą historię.

Dryer odłożył pistolet i odwinął drugi, który przyniósł z magazynu. Jeśli to w ogóle możliwe, ten był jeszcze brzydszy od swojego poprzednika. Na osłonie magazynka był numer fabryczny broni. Dryer z uczuciem dotknął lufy.

– W ciągu niecałych dwóch lat wyprodukowano ponad dwa miliony sztuk. Prawdopodobnie najpowszechniejsza broń automatyczna, jaką kiedykolwiek wymyślono, a już na pewno najpowszechniejszy pistolet półautomatyczny. Lufa to prosta stalowa rura przymocowana tylko za pomocą osłony. Mechanizm, wystrzału nie mógł być prostszy, niewiele więcej niż iglica i zamek. Łożysko z kolei to jedynie kawałek wygiętej rurki. Naciskasz spust i strzela. Rozpryskuje kule jak

wodę z węża. Prosta, śmiertelna broń.

– Ładnie powiedziane. Nie mógł być bardziej surowy, nawet gdyby był wykonany ręcznie.

Dryer uśmiechnął się i pogładził pistolet.

– To się zdarzało, panie Harmon. Partyzanci w wielu krajach robili ręczne kopie. Ten wykonał duński ruch oporu w Kopenhadze, tuż pod nosem niemieckich okupantów.

Fragmenty planu McCullocha zaczynały się powoli łączyć w całość. Choć wiedza Troya na temat broni, której używano w wojnie secesyjnej, była znikoma, niemniej jednak był pewien, że tego typu broń nie istniała ponad sto lat temu. Pułkownik mógł być obłąkany, ale nie oznaczało to, że był głupcem. Znał się na broni i taktyce – znał wojnę. Walczył w Wietnamie, gdzie prymitywna armia nie znająca broni nawet takiej jak ta, zadała klęskę największemu na świecie mocarstwu. McCulloch z pewnością wyciągnął z tego wnioski.

– Czy chciałby pan dowiedzieć się czegoś jeszcze?

Słowa kustosza rozproszyły czarne myśli Troya. Potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję, panie Dryer. Niezmiernie mi pan pomógł. Zawiadomimy pana, jeśli będziemy wiedzieli coś więcej o tej sprawie. A tak między nami: sądzę, że lepiej, aby skreślił pan z inwentarza szkice i pistolet. Nigdy ich pan nie odzyska.

– To naprawdę smutne. Szkice możemy zastąpić, ale broń sama w sobie była unikatem.

– Przykro mi. Jeszcze raz dziękuję za pomoc, panie Dryer. Życzę miłego dnia.

Droga do laboratorium minęła szybko. Troy odczuł chwilowy niepokój, kiedy zbliżał się do bramy, gdzie strażnik ruchem ręki polecił mu, by się zatrzymał. Czyżby major van Diver przypomniał sobie o jego przepustce i unieważnił ją?

– Mam dla pana wiadomość, poruczniku. Od doktor Delcourt. Mówiła, żeby przyszedł pan do niej, kiedy się pan tutaj zjawi.

– Dziękuję, Charley. Już tam idę.

Jechał okrężną drogą, aby ominąć budynek ochrony. Jeżeli zapomnieli o przepustce, nie miał zamiaru im o tym przypominać, kręcąc się koło ich biur. Skorzystał z tylnych schodów, które prowadziły na piętro, gdzie mieścił się gabinet dyrektorki.

Sekretarka od razu wpuściła go do gabinetu. Bob Kleiman siedział rozparty w fotelu i trzymał w ręce kubek z kawą; drugą ręką pomachał mu na powitanie. Roxanne spojrzała na niego zza biurka zasłanego papierami i uśmiechnęła się.

– Wejdz, Troy – powiedziała. – Rozumiem, że otrzymałeś moją wiadomość. W twoim biurze powiedzieli, że cię nie ma, ale że przekażą ci to, o co prosiłam.

– I tak zamierzałem tutaj przyjść. Strażnik przy bramie powiedział mi, że chciałaś się ze mną zobaczyć.

– Tak, chciałam cię poinformować, że udało nam się ustalić dokładną datę, do której pułkownik cofnął się w czasie. – Podniosła kartkę. – To był czwarty lipca tysiąc osiemset pięćdziesiątego ósmego. Zdaje się, że nasz pułkownik był prawdziwym patriotą.

– Szczerze w to wątpię. Jestem pewien, że kierował się czymś innym, najprawdopodobniej zależało mu, by przybyć nie zauważony. Podczas naszego hucznie obchodzonego święta narodowego jest zwykle duże zamieszanie.

– Tak sądzę, że masz rację. Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób – powiedział Kleiman.

– Ja myślałem – powiedział ponuro Troy. – Od pewnego czasu staram się wejść w skórę pułkownika, myśleć jak on i reagować jak on. Sądzę, że w pewnym sensie udało mi się to. Pułkownik jest stuknięty. Na pewno nie zdołam całkowicie zgłębić jego logiki, ale jestem pewien, że udało mi się rozpracować jego plan. Może to brzmieć nieprawdopodobnie, więc nie śmieJCie się, proszę,

kiedy będę mówił.

– Po tym człowieku można się spodziewać wszystkiego co najgorsze i nie przypuszczam, by było nam do śmiechu. Allan Harper był moim przyjacielem, musiał się strasznie męczyć, kiedy umierał – rzekł Kleiman.

Cierpliwie słuchali, początkowo nie dowierzając, później coraz bardziej zdając sobie sprawę, że to jednak możliwe.

– To bardzo poważny zarzut, lecz wydaje mi się, że jest uzasadniony. Szalony pomysł, ale przecież pułkownik nie należy do ludzi o zdrowych zmysłach.

– Niebezpieczny szaleniec – powiedział Kleiman. – Wiedźcie, że mam głęboką nadzieję, że Troy ma rację i że ten wariat naprawdę to zrobił. Oznaczałoby to, że zniknął na dobre i z naszego punktu widzenia od dawna należy do świata ludzi umarłych. Mógł sobie tam żyć, kiedyś w przeszłości, ale najważniejsze, że nigdy nie udało mu się wcielić tego szalonego planu w życie.

– Skąd pan to wie? – zapytał Troy.

– Ponieważ historia się nie zmieniła. Południe przegrało, koniec, kropka.

– Przegrali wojnę dla nas, ale być może sytuacja wygląda inaczej w równoległym wymiarze czasowym – powiedziała Roxanne.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Troy, unosząc brwi.

– To jedna z teorii o naturze czasu. Odrzuca ona założenie, że czas jest jak rzeka płynąca z przeszłości przez teraźniejszość do przyszłości, niezmiennie. Możemy to obserwować, ale nie możemy tego zmienić. To nowoczesna interpretacja starożytnego argumentu o wolnej woli. Jeżeli nie możemy wpłynąć na przyszłość, to jesteśmy tylko marionetkami czasu. Przeznaczone nam jest takie a nie inne życie i nie mamy większej wolności wyboru niż aktor grający w filmie. Jeśli jednak mamy wolną wolę i możemy zmienić przyszłość, to z tego punktu widzenia możemy również wpłynąć na przeszłość.

– Głębokie wody – powiedział Kleiman. – Fizyka w połączeniu z filozofią. Ale nie mamy wyjścia, ten problem istnieje, jest rzeczywisty. Podróż w czasie jest możliwa. Doprowadza nas to do innej teorii o naturze czasu: czas o wielopłaszczyznowym układzie równoległych możliwości. Przypuśćmy na przykład, że Brytyjczykom udało się zabić Washingtona jako zdrajcę, zanim doszło do zwycięskiej rewolucji. Jeśli by się wydarzyło coś takiego, moglibyśmy do dzisiaj być brytyjską kolonią. Możliwe więc, że istnieje gdzieś jakiś inny świat, gdzie coś takiego miało miejsce. Możliwe, że istnieje nieskończona liczba takich światów, z których każdy jest następstwem jakiegoś prawdopodobieństwa, wyboru czy selekcji.

– To tylko teoretyczne dywagacje – powiedział Troy.

– Zgadza się – odparł Kleiman. – Oznacza to, że jesteśmy w punkcie, z którego wyszliśmy. Jeśli istnieje teoria równoległych możliwości, to to co McCulloch robi, cofając się w czasie, nie ma dla nas żadnego znaczenia, to nas nie dotyczy. Jeśli nie udało mu się niczego zdziałać, to nasz świat pozostanie nie zmieniony. Jeśli jednak udało mu się zrealizować ten szatański plan, oznacza to, że rozpoczął nowe odgałęzienie w czasie; to również nas nie dotyczy. Gdyby jednak czas mógł w stosunku do nas ulec zmianie, a nie doszło do tego, jest to równoznaczne z jego porażką.

– Zapomniał pan o jeszcze jednej możliwości – powiedział Troy. – Może nie zdołał zrealizować swojego planu, bo ktoś mu w tym przeszkodził. Ktoś z drugiej połowy dwudziestego wieku, kto wiedział co on knuje, kto cofnął się w czasie i zapobiegł zmianie historii.

– Interesująca spekulacja – zgodziła się Roxanne. – Nigdy nie będziemy w stanie jej potwierdzić. To kolejny paradoks czasu. Albo pułkownik przegrał, bo takie było jego przeznaczenie, zatem nie ma potrzeby, by ktoś go zatrzymywał albo ktoś z teraźniejszości powstrzymał go, wiedząc

jednak, że został powstrzymany i nie ma sensu go powstrzymywać. Co się stało, to się nie odstanie. To nie nasz problem.

– Wciąż uważam, że nie można tego tak zostawić – powiedział ponurym głosem Troy. – Nie mogę o nim zapomnieć. Nie mogę zapomnieć o tym, co zrobił i co jeszcze może zrobić. Nie mogę pozbyć się myśli, że ktoś jednak musi go powstrzymać.

– Gdyby tylko było to możliwe... Ale jak to zrobić? – zapytał Kleiman. – Wątpię, by ktokolwiek był w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Uciekając w czas, uciekł od odpowiedzialności. W tej sytuacji jedyne co możemy zrobić, co będzie najlepsze, to zapomnieć o nim. Może nam się to udać, jeśli skoncentrujemy się na fakcie, że on umarł dla nas, dla naszego świata, bardzo dawno temu.

– Tak, to dobre rozwiązanie dla nas, ludzi żyjących dzisiaj – zgodził się Troy. – Ale co z tymi, dla których podróż pułkownika nie będzie obojętna? Wiemy, że on jest tam w przeszłości i realizuje swoje mordercze plany. Nie ma sposobu, by to zmienić?

– Wątpię – powiedział Kleiman. – Cóż możemy zrobić? Wysłać wiadomość do dziewiętnastowiecznej policji? Ostrzec ich, żeby uważali na McCullocha ściganego za morderstwa popełnione w następnym stuleciu?

– Zdaję sobie sprawę, że to niewykonalne, ale macie przecież wehikuł czasu. Można go chyba wykorzystać w jakiś sposób i powstrzymać szaleńca. Gdyby tylko dało się wysłać za nim jakiś oddział... Nie potrzeba nawet oddziału, wystarczyłby jeden mężczyzna. Jeden zdecydowany mężczyzna. McCulloch nie spodziewałby się takiego obrotu sprawy. Nie mógł przewidzieć tego, że ktoś będzie go ścigał w czasie.

– Zgoda. Jednak nie można od nikogo oczekiwać, by zrobił to, o czym mówisz, by zostawił świat, gdzie się urodził i przeniósł się do przeszłości w bardzo niebezpieczny okres, wiedząc, że to nieodwracalne, że to podróż w jedną stronę. Nie, Troy; zapomnij o tym. Pułkownika nie ma tutaj. To dobre rozwiązanie.

– Tak, wiem, że nam w teraźniejszości nic nie zagraża, ale nie mogę zapomnieć, że on ciągle gdzieś, czy raczej kiedyś, przysparza poważnych kłopotów.

– Przeanalizowaliśmy dokładnie całą sytuację – powiedział Kleiman. – Nic nie możemy zdziałać. Myślę, iż uwierzysz, że zadałeś pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Uciekł sprawiedliwości, przemieszczając się w przeszłość. Najlepszą rzeczą, jaką możesz zrobić, to zapomnieć o nim. Dla współczesnego świata on umarł i dawno temu został pochowany.

– Nie – powiedział Troy. – Nie zapomnę go. – Powiedział to twardo, bez cienia emocji. Podjął decyzję, która dojrzewała w nim przez ostatnie cztery dni. Teraz był gotów do powiedzenia tego na głos. – McCulloch nie ucieknie, ponieważ ja idę za nim.

ROZDZIAŁ 19

Po słowach Troya zapanowało dłuższe milczenie. Kleiman usiłował coś powiedzieć, ale zmienił zamiar. W końcu odezwała się Roxanne Delcourt.

– To bardzo poważna decyzja. Czy dokładnie ją przemyślałeś?

– Niezupełnie. Kierowałem się bardziej emocjami niż logiką. Byłem związany z tą sprawą od samego początku. Tylko raz spotkałem się z pułkownikiem. Nie wzbudził we mnie żadnych pozytywnych uczuć. Kiedy popełnił te zbrodnie, wiedziałem, że to dopiero początek, drobna cząstka jego szatańskiego planu. Znienawidziłem tego człowieka. Ktoś go musi powstrzymać i wygląda na to, że jestem jedyną osobą, która może to zrobić.

– Ale to nieodwracalne – powiedział Kleiman. – Możesz jechać, ale już nigdy nie wrócisz.

Troy wolno skinął głową.

– Wiem o tym, ale przecież nie cofam się do średniowiecza. To też będą Stany Zjednoczone, tyle że kilka lat wcześniej. Bez wątpienia będzie to nowe, niezwykle przeżycie. Ponadto prawda jest taka, że nic mnie tutaj nie trzyma, niczego więc nie będzie mi brakowało. Może jestem trochę szurnięty, może przygnębiony, ale nic nie jest już takie samo, odkąd zmarła moja żona. Minęły właśnie dwa lata od jej śmierci. Chorowała przez długi czas. Bardzo cierpiała... Zmieniłem się po jej śmierci. Był okres, że chciałem porzucić armię, myślałem już, że jestem psychopatą ale pomogła mi praca. Dalej mi pomaga. Kiedy jestem zmęczony i znika depresja, mogę zasnąć. Zdarzały mi się myśli samobójcze, ale chyba nie należę do tego gatunku. Przepraszam. Nie wiem dlaczego mówię wam to wszystko.

– Dlatego, że jesteście moimi przyjaciółmi – powiedziała Roxanne.

– Tak, chyba właśnie dlatego. Trudno o przyjaźń w wojsku, zwłaszcza w moim zawodzie. Kiedy byłem z Lily, myślę, że nie potrzebowałem innych przyjaciół. Teraz nie mam rodziny. Mogę iść za pułkownikiem. – Mówił ze spuszczoną głową, wpatrując się w swoje złożone dłonie. Później podniósł wzrok i uśmiechnął się. – Wiem, że to nie błahostka, ale zamierzam to zrobić.

– Nie możesz! – wybuchnął Kleiman. – Zobacz, co zostawiasz! Technika, postępy, ten eksperyment...

– Bob, to wszystko nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Nie ma znaczenia, czy to, co robię, będę robił w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, czy w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym. Naprawdę chcę dostać tego skurwysyna. Pomożecie mi?

– Nie. To samobójstwo, a ja nie chcę ci w nim pomagać. – Złość Kleimana powoli malała pod spokojnym wzrokiem Troya. – Dobrze, niech tak będzie, ale wciąż mi się to nie podoba. – Uśmiechnął się i nagle klasnął w dłonie. – Boże, co to będzie za eksperyment! Ilu rzeczy będziemy się mogli dowiedzieć! Zrobię to, ale i ty musisz mi pomóc. Musimy się zastanowić, w jaki sposób możesz nam przesłać wiadomość. Co o tym sądzisz, Roxanne?

– Uważam, że powinniśmy pomóc Troyowi, jeśli czuje, że właśnie tak powinien postąpić. Powinniśmy to dla niego zrobić choćby z wdzięczności za to, że zmusił nas do odkrycia prawdziwych możliwości naszej maszyny. Ale czy nie powinieneś porozumieć się w tej sprawie ze swoimi zwierzchnikami?

– Nie. Pomyśleliby, że jestem szalony. Przynajmniej ci z armii. Myślę, że powiem tylko admirałowi Golonne, dla którego w tej chwili pracuję. Czuję, że mnie zrozumie. Jest jeszcze jedna rzecz, o którą muszę was poprosić. Czy musicie sporządzać z tego raport? Czy zatajenie tego nie przysporzy wam kłopotów?

– Nie – powiedziała Roxanne. – Jestem odpowiedzialna za dokumentację, ale nie załączam do

akt raportu z każdego eksperymentu. Zrobimy to, o co prosisz, nie martw się o nas; chociaż cały czas mam nadzieję, że zmienisz zdanie.

– Dziękuję za troskę, ale wciąż czuję, że muszę to zrobić.

Teraz, kiedy decyzja została już podjęta, Troy chciał być sam, żeby wszystko spokojnie przemyśleć. Nie zastanawiał się jednak zbyt długo. Wszystko było oczywiste. Pożegnał się więc i opuścił laboratorium. Zanim wrócił do domu, pojechał na Massachusetts Avenue. Chciał zabrać ze sobą kartotekę McCullocha. Portier z nocnej zmiany wpuścił go do środka. Troy włożył wszystkie papiery do koperty i już miał wychodzić, kiedy w drzwiach pojawił się admirał.

– Miałeś całą dobę, by przejrzeć te dokumenty. Czy doszedłeś do czegoś?

– Tak, panie admirale. Te akta doprowadziły mnie do pewnych wniosków, ale nie jestem pewien, czy zgodzi się pan z moją koncepcją.

– Zgodzę się, jeśli oparta jest na przekonaniu, że pułkownik odbył podróż do przeszłości, by zmienić wynik wojny secesyjnej. Nie gap się tak na mnie, człowieku. Usiądź. Ja usiądę tutaj, zapalę fajkę, a ty dokładnie mi opowiesz, jak doszedłeś do tego wniosku...

– Ale panie admirale, pan...

– Jesteś zaskoczony? Dlaczego? Czytałem te same raporty, które ty masz. Mam przecież własne kopie. Staram się być dobrze zorientowany w tym wszystkim, co się tutaj dzieje, zwłaszcza jeśli chodzi o to egzotyczne dochodzenie. Na początku nie mogłem uwierzyć, że ten pułkownik wpadł na coś takiego. Później stało się to oczywiste. Jego obsesyjne uprzedzenie do czarnego koloru skóry i jego chęć awansu społecznego połączyły się z miłością do starego, nieistniejącego Południa. Nie zasnął spokoju od chwili, kiedy dowiedział się o badaniach prowadzonych w laboratorium. W realizacji planu pomógł mu fakt, że jest szalony, chociaż wcielił go w życie w jak najbardziej logiczny sposób. Kupował złoto, gdyż w każdej epoce było ono środkiem płatniczym o dużej sile nabywczej. Ponadto złoto nie stwarza problemów przy przemieszczeniu się w inny czas. Sten był dla mnie kluczem do całej zagadki. Prosta, śmiertcionośna broń, którą może wyprodukować każdy, kto choć trochę się zna na obróbce metalu. W chwili obecnej nie wiemy jeszcze, jakie plany wiąże z tą bronią, jednak z pewnością nie chodzi mu o obronę uciśnionych. Czy podjąłeś decyzję co dalej?

– Tak. Idę za nim.

– Dobrze. W zupełności się z tobą zgadzam. Podjąłeś jedyną możliwą decyzję. Ktoś musi go zniszczyć.

– Jednak niektórzy ludzie mogą uważać, że ściganie go jest równie szalone jak jego ucieczka w przeszłość.

– Tak, ale ja nie jestem niektórzy ludzie. Jestem odpowiedzialny za tę wyjątkowo ważną organizację. Tutaj, w QCIC, spoczywa na nas najwyższa odpowiedzialność za bezpieczeństwo państwa. Jest oczywiste, że musimy zapewnić bezpieczeństwo temu krajowi zarówno w chwili obecnej, jak i w przyszłości. Mniej oczywisty może wydawać się fakt, że rozciągnęliśmy tę odpowiedzialność również na przeszłość. Pułkownik McCulloch nie będzie zagrażał istnieniu tego narodu. Mogę ci teraz powiedzieć zupełnie szczerze, że bardzo mnie cieszy twoja decyzja. Jeśli dałbyś mi jakąkolwiek inną odpowiedź, byłbym zmuszony wykluczyć cię ze sprawy i odesłać do armii. Teraz nie muszę tego robić. Gratuluję. Mimo iż pracowaliśmy razem przez krótki czas, przyznaję, że jesteś najlepszym pracownikiem, jakiego kiedykolwiek miałem. Prawdopodobnie dlatego, że myślisz w ten sam sposób co ja. To bardzo niezgrabny komplement.

Troy uśmiechnął się.

– Może i tak, ale rozumiem go i doceniam. Dziękuję. Pozwolę sobie zadać pytanie: co zrobiłby pan, admirale, gdybym nie powiedział panu, że idę za McCullochem?

– Sam bym za nim poszedł. Nie mógłbym nikogo wysłać w tę bezpowrotną drogę. Ponadto mogę ci powiedzieć, że pewne wpływowe osoby chcą, żebym t odszedł już na emeryturę. Ja tego nie chcę. Skorzystałbym więc z okazji i zrobił to, co ty zrobisz. Gdybym był zmuszony rozstać się z tym wydziałem, uznałbym taką podróż za coś o wiele lepszego od emerytury. Masz dużo szczęścia, chłopcze.

– Myślę, że w pewnym sensie tak

– Masz, masz. Czeka cię wielka przygoda. Zazdroszczę ci. Czy omówiłeś to już z ludźmi z laboratorium?

– Tak. Zgodzili się pomóc.

– Nie mogli się nie zgodzić. Twoja podróż jest przecież niezmiernie ważna także dla ich eksperymentów. Następny punkt: finanse. Ile masz w banku i ile możesz podjąć?

– Nie mam takich rezerw jak pułkownik. Nie jestem bogaty.

– On też nie był. To oszust. Zaciągnął pożyczkę na wybudowanie nowego domu, dając pod zastaw swój stary, ale zapomniał o tym drobnym szczególe, kiedy go sprzedawał. Co więcej, zaciągnął wiele innych, drobnych pożyczek i korzystał z kart kredytowych, nie mając na nie pokrycia. Nie więcej niż jedna czwarta tych pieniędzy była jego, reszta to defraudacja. Ile możesz podjąć?

– Jakies pięć tysięcy dolarów.

– To za mało. Nie wystarczy. Tutaj masz czek na dwadzieścia tysięcy dolarów z naszych funduszy na wydatki specjalne. Złóż je jutro w swoim banku. Później możesz iść do sklepu de Vrou, to chyba największy sklep numizmatyczny w tym kraju. Kup tyle monet, ile zdołasz unieść bez większego wysiłku. McCulloch miał dalekosiężne plany, więc mógł sobie pozwolić na zajęcie się sprzedażą złota. Ty nie musisz się tym martwić, jeśli zabierzesz monety. Załatwiam dla ciebie broń, ale wrócimy do tego później. Przygotowuję również listę niezbędnych rzeczy, które musisz ze sobą zabrać. Ty też zrób taką listę i porównamy je. Nie spiesz się, gdy będziesz ją sporządzał, gdyż jeśli o czymś zapomnisz, nie będziesz już mógł po to wrócić. Musimy jeszcze pomyśleć o sposobie, w jaki będziesz mógł przekazywać nam wiadomości. I jeszcze jedno: kolor twojej skóry. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku niewolnictwo wciąż jeszcze istniało, myślę więc, że warto by przygotować dokument stwierdzający twoją wolność. Czy jesteś zadowolony?

– Nie przyszło mi to do głowy, ale tak, powinienem mieć taki papier.

– Dobrze. To chyba już wszystko. Może masz jakieś pytania?

– Tylko jedno, panie admirale. – Troy spojrzął na czek, złożył go i schował. – To dość ważne. Mogę mieć trudności z przekonaniem władz, by aresztowały McCullocha, kiedy już go znajdę. Co powinienem zrobić?

– Znasz odpowiedź równie dobrze jak ja, ale jeśli chcesz, bym nadał temu formę rozkazu, uczynię to z przyjemnością. To co masz zrobić, stało się oczywiste w chwili, kiedy zdecydowałeś się go dopaść. Masz go szukać i masz go znaleźć. A kiedy go znajdziesz, zabij.

ROZDZIAŁ 20

– Tylko amerykańskie monety? – zapytał sprzedawca.

– Zgadza się – powiedział Troy.

– Czy interesuje pana jakaś konkretna waluta?

– Raczej nie. Chodzi mi głównie o to, by data nie była późniejsza niż rok tysiąc osiemset pięćdziesiąty dziewiąty. Co pan ma?

Młody człowiek cofnął się o krok i uniósł brwi.

– Proszę chwileczkę poczekać. Pan de Vrou obsługuje pana osobiście. Jest wybitnym ekspertem, jeśli chodzi o wczesnoamerykański system monetarny.

Sprzedawca oddalił się. Troy rozejrzał się po sklepie. Nigdy jako chłopiec nie był kolekcjonerem ani monet, ani znaczków, ani czegokolwiek innego, niemniej jednak umiał dostrzec urok, jaki miały te rzeczy. Wielobarwne banknoty z całego świata z wielką siłą przyciągały jego wzrok, niektóre monety miały niezwykle kształty i rozmiary. Stał pochylony nad szklaną szafką i wpatrywał się w rzymskie denary, kiedy wszedł właściciel.

– Czym mogę panu służyć? Interesuje pana kupno amerykańskich monet?

– Zgadza się. Stan nie jest zbyt ważny, ale data jest bardzo istotna.

De Vrou przybliżył się.

– Czy byłoby to dużą niedyskrecją z mojej strony, jeśli zapytałbym, dlaczego interesuje pana właśnie ten okres? Mogę być dla pana bardzo pomocny w uzyskaniu dokładnie tego, co pan potrzebuje.

– Nie ma jakiejś szczególnej przyczyny. Po prostu interesuje mnie ten okres.

– Proszę mnie zrozumieć, potrafię być dyskretny. Jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Co?

– Raczej dlaczego? Znam się na monetach, proszę pana, wiem o nich wszystko. Teraz okazuje się, że jest jednak coś, o czym nie wiem, a pan może mi pomóc. Ręka rękę myje, jak mówią. Zaoferuję panu bardzo korzystną cenę, ale proszę mi powiedzieć, dlaczego ten okres jest tak bardzo ważny. Pytam, ponieważ kilka miesięcy temu miałem klienta, który dokonał takiego samego zakupu.

– Wysoki mężczyzna, ostry nos, siwiejące włosy?

– Ten sam!

– To właśnie on namówił mnie na zakup tych monet. Nie wiem, dlaczego. Powiem mu, że pan pytał.

– Więc zna go pan? Wie pan, jak się nazywa?

– Niezupełnie. Spotkaliśmy się kiedyś przypadkowo. Czy możemy już dokonać transakcji?

Właściciel sklepu westchnął.

– Tak, będę wdzięczny za przekazanie mu mojej prośby. – Położył na ladzie tacę wyłożoną aksamitem. – Proszę temu panu przekazać, że mam nową dostawę monet, które go interesują. Proszę zobaczyć, na przykład ta złota dwudziestodolarówka...

– Wezmę ją. Jakie ma pan inne nominały?

– W złocie, tutaj. Dziesięciodolarówki, pięć – i trzydolarówki. Przykro mi, ale nie mam w tej chwili ani jednej dwuipółdolarówki.

Troy podniósł cienką monetę wielkości paznokcia.

– Tę też wezmę. Czy ma pan monety o mniejszym nominale?

– Tak, tutaj. Te są najciekawsze. Półdolarówka, ćwierćdolarówka, jednocentówka i trzycentówka.

– Pięciocentowych nie ma?

– Oczywiście, że nie, proszę pana. Widzę, że lubi pan żartować. Obaj wiemy, że pięciocentówek w tamtych czasach nie było, ale były za to dwa rodzaje dziesięciocentówek. Oto piękny okaz z okresu tuż po rewolucji. Staroangielska odmiana starofrancuskiego "disme", z łaciny "decima", dziesiąta część.

Troy zapakował zakupy do teczki, spojrzął na zegarek i w pośpiechu opuścił sklep. Miał tylko dwadzieścia minut na dotarcie do stadniny na lekcję konnej jazdy. Pułkownik miał nad nim tę przewagę, że służył w kawalerii. Troya nie bawiły te zajęcia, wciąż jeszcze czuł każdy mięsień po ostatniej jeździe, ale jego własne nogi nie mogły być jedynym środkiem transportu; musiał nauczyć się jeździć konno.

Był wdzięczny admirałowi za pomoc. Ich listy rzeczy niezbędnych w wielu punktach pokrywały się ze sobą, jednak admirał pomyślał o wielu rzeczach, które nie przyszły mu nawet do głowy, gdyż istnienie ich uważał za coś oczywistego. Na przykład antybiotyki, o których dowiedział się, że zostały odkryte dopiero niecałe czterdzieści lat temu. Te zalakowane metalowe puszkami mogły któregoś dnia uratować mu życie. Na liście były również tabletki zawierające chlor do oczyszczania wody. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku rozmaite choroby i plagi wciąż zbierały obfite żniwo. Ręce bolały go jeszcze po domięśniowych szczepionkach ochronnych, którymi został poprzedniego dnia naszpikowany. Nie ominęła go również wizyta u dentysty; wymienił mu korony złote na porcelanowe.

Po lekcji konnej jazdy cały obolały pojechał prosto do budynku na Massachusetts Avenue. Admirał już czekał na niego. Wyjął rewolwer z długą stalową lufą. – To jest kolt wyprodukowany w tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym. Jest bardzo precyzyjny i jedyna jego wada to rodzaj naboju, których używano. Długa, stożkowata łuska znacznie opóźniała ładowanie. Później, w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, zaczęto używać krótszych naboju, co przyspieszyło czas napełnienia bębna. Mimo to siła rażenia jest w obu przypadkach taka sama. Ten rewolwer do złudzenia przypomina oryginał, ale wszystkie ważne części mechanizmu strzelniczego zostały wykonane ze współczesnej stali. Wystrzeliłem już z niego setki naboju, ale możemy go jeszcze raz dokładnie sprawdzić. Jest tutaj na dole mała strzelnica. Idź, postrzelaj sobie trochę i postaraj się do niego przyzwyczać. Od tego może zależeć twoje życie.

Przygotowania zajęły dwa tygodnie. Troy załatwił formalności związane z przedterminowym rozwiązaniem umowy o dzierżawę swojego mieszkania i przeniósł wszystkie rzeczy do przechowalni. Był pewien, że nie ujrzy ich już nigdy więcej, ale nie mógł przecież tego wszystkiego tak po prostu wyrzucić czy rozdać. Admirał rozumiał to i obiecał pokryć koszty przechowania. Żaden z nich nie wspominał, jak długo miało to trwać.

Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Wyjechali z budynku na Massachusetts Avenue w ciemną, deszczową noc. Admirał prowadził dużego Cadillaca, który z trudem przedzierał się przez zalane ulice Waszyngtonu, wyrzucając z rury olbrzymie ilości spalin. Kiedy skręcali na Beltway, rzucił okiem na siedzącego obok milczącego Troya.

– Sprawdziłeś dokładnie listę? – zapytał.

– Przynajmniej ze dwadzieścia razy. Wszystko co mam do ubrania, jest w walizce na tylnym siedzeniu. Reszta jest w skórzanych torbach przy siodle. Potrzebny mi jeszcze tylko koń.

– Kolt i pieniądze?

– Na spodzie w torbach. Wszystko dokładnie przykryte

– Tak, nie wątpię, że tak zrobiłeś. Pamiętaj, żeby ich stamtąd nie wyjmować bez potrzeby. Wiesz, że wisiałbyś na pierwszym drzewie, gdyby to znaleźli.

– Wiem o tym, ale muszę zaryzykować. Nie sądzę, bym po przybyciu mógł gdziekolwiek zdobyć broń. Czarni, to znaczy czarnuchy, starają się nie kręcić na starym Południu w pobliżu strzelb czy rewolwerów.

– Właśnie to mnie najbardziej martwi...

– Ja staram się nie dopuszczać do siebie tych myśli. Na dobrą sprawę wzbudzałbym takie samo zdziwienie, gdybym był biały, a tak przynajmniej jestem dobrze zamaskowany.

– Nie żartuj sobie z tego... Chociaż może to i lepiej, że właśnie tak do tego podchodzisz. Cholera, chciałbym być na twoim miejscu. Ależ ja ci zazdroszczę! Moja praca staje się z dnia na dzień coraz bardziej nudna.

– Ale to bardzo ważna praca, panie admirale. Nikt nie potrafiłby poprowadzić tego wydziału lepiej niż pan.

– Myślę, że zgadzam się z tobą. W przeciwnym wypadku to ja brałbym lekcje jazdy konnej. To ten wylot?

– Tak, zaraz będzie wąska szosa.

Było w pół do dwunastej. Ustalono, że zostaną przedsięwzięte wszystkie środki ostrożności, by zniknięcie Troya nie pociągnęło za sobą jakiegoś dochodzenia. O tej porze na terenie laboratorium nie było nikogo z wyjątkiem kilku strażników siedzących w wartowniach. Ich przyjazd był dokładnie obliczony na czas zmiany warty. Ta wizyta nie mogła, oczywiście, ujść uwagi komputera, ale fakt, że Troy nie opuścił laboratorium, nie powinien wyjść na jaw wcześniej niż następnego dnia przy sporządzaniu raportu. Cokolwiek by się wydarzyło, po Troyu nie pozostanie żaden ślad, a zapewnienie admirała, że opuścili laboratorium razem, powinno wystarczyć, by winą obarczyć komputer, który może się przecieżyć mylić.

Bob Kleiman czekał na nich tuż za bramą. Troy przedstawił Kleimana admirałowi.

– Dużo o panu słyszałem, admirale Colonne – powiedział Kleiman.

– Ja o panu również, doktorze Kleiman. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę to pańskie arcydzieło. Pozwoli pan, że mu pogratuluję naprawdę niesłychanych osiągnięć.

– Gratulacje należą się doktor Roxanne Delcourt, to właśnie ona jest głównym twórcą tej maszyny. Czeka na nas w laboratorium numer dziewięć. Tędy, dajcie mi część tych bagaży.

Strażnik przy wejściu do laboratorium dokładnie przyjrzał się ich przepustkom, po czym wpuścił wszystkich do środka. Gdy tylko zamknęły się drzwi, Troy ruchem ręki wskazał na łazienkę.

– Idę się przebrać. Do zobaczenia za kilka minut.

Jego chęć izolacji nie wynikała z jakiejś fałszywej skromności; oduczył się tego, spędzając dni i noce w wojskowych koszarach. To była po prostu chęć pozostania przez kilka minut z samym sobą. Do tej pory czas mijał na rozmowach i planowaniu, teraz nadeszła ta chwila. Był pewien, że się nie boi – znał strach i potrafił go rozpoznać pod każdą postacią. Zawładnęło nim jakieś inne uczucie, jak gdyby miał za chwilę odbyć nocny skok ze spadochronem – skok w nieznaną. Rozebrał się powoli i poskładał rzeczy.

Kolejno włożył na siebie długie do kostek kalessony, szorstkie spodnie, bawełnianą koszulę i jakąś bezkształtną kurtkę z naszytymi na ramionach i łokciach łatami, z których każda była inna. Miał wysokie, ręcznie robione buty wykonane z grubej skóry z nabitymi ćwiekami podeszwami. Buty były zniszczone i mocno zakurzone. Pozostawało mu jeszcze tylko włożyć słomiany kapelusz z szerokim rondem – i strój był kompletny. Zanim włożył swój mundur do walizki, wysypał do umywalki wszystko, co miał w kieszeniach. Klucze, monety, scyzoryk, pióro, ołówek, notes, prawie pusty portfel, legitymację, karty członkowskie i kilka zdjęć. Wszystko to pozostawiał w dwudziestym wieku. Wziął zdjęcie Lily uśmiechającej się na tle Disneylandu. Zawsze, aż do czasu kiedy

dowiedziała się, że jest nieuleczalnie chora, cieszyła się z życia i dzieliła tę radość z innymi. Nie mógł zabrać ze sobą tego współczesnego zdjęcia, więc włożył je do prawie pustej, zawierającej tylko jego mundur walizki i zaczął ją zamykać. Nagle przerwał zasuwanie zamka i ponownie otworzył walizkę. Nie było niczego, co bardziej pragnąłby zabrać ze sobą. Włożył zdjęcie między broń i amunicję. Jeśli ktoś odkryłby jego rewolwer, zdjęcie czarnej uśmiechniętej dziewczyny nie miałyby i tak znaczenia. Tym razem szybkim ruchem zasunął zamek walizki do końca.

Troy przesunął ręką po bocznej kieszeni kurtki, czując wypchany portfel, w którym były jego wszystkie dokumenty. W kieszeni miał jeszcze długi składany nóż, kawałek surowego perkalu i kilka monet. Reszta schowana była w torbach. Kiedy odwrócił się, dostrzegł swoją postać w lustrze.

Patrzył na niego ktoś obcy. To nie był strój na bal maskowy; to było jego prawdziwe ubranie. W lustrze odbijała się postać dobrze zbudowanego czarnego mężczyzny, który za chwilę miał się znaleźć w świecie, w którym ludzie chodzili ubrani właśnie w ten sposób. Nie było tam nylonowych materiałów, zamków błyskawicznych, samochodów ani tym bardziej samolotów. To były inne czasy. Jak wyglądał ten świat? Odpowiedź na to pytanie była blisko, bardzo blisko.

Włożył kapelusz pod pachę, podniósł walizkę i wyszedł z łazienki. Wszystko było kwestią kilku minut.

ROZDZIAŁ 21

Rozmawiali z ożywieniem, tłumacząc admirałowi zasady funkcjonowania maszyny, ale kiedy Troy stanął w drzwiach, wszyscy umilkli. Widząc go ubranego w strój z innej epoki, w pełni zdawali sobie sprawę, że to nie jest po prostu kolejny eksperyment. Mimo iż w tę podróż zaangażowani byli wszyscy, on był tym, który miał jechać i opuścić ten świat na zawsze. Z chwilą zniknięcia będzie dla nich martwy, nie będzie żył od przynajmniej stu lat. Teraz, kiedy nadeszła ta chwila, zrozumieli, że to coś więcej niż podróż w czasie. To była również egzekucja.

– Nigdy w życiu nie widziałem tylu posępnych twarzy – powiedział Troy. – Rozchmurzcie się, to nie koniec świata! Właściwie to jadę się upewnić, że go nie będzie.

– Możesz jeszcze zmienić zdanie, my to zrozumie[^]my – powiedział Kleiman.

– Ale ja bym tego nie rozumiał. Mam oto szansę przemieszczenia się w zdrowszy świat, ucieczki od tego całego zanieczyszczenia, od groźby wojny atomowej, od komercyjnej telewizji, a wy chcielibyście mnie powstrzymać?

– Nie chcemy cię powstrzymywać, Troy – powiedziała Roxanne, biorąc go za rękę. – Myślę, że jesteś najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Chcę, byś był szczęśliwy w tamtym świecie.

– Pochyliła się i pocałowała go, po czym odwróciła się szybko i rozplakała się.

– Zaczynamy, kiedy tylko powiesz, że jesteś gotów – powiedział Kleiman, wskazując na włączony mechanizm kontrolny. – Twoje przybycie jest ustalone na pierwszego sierpnia tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego roku około trzeciej nad ranem. Jeśli wierzyć gazetom, lało tam wtedy jak z cebra. Jesteś pewien, że to jest właśnie ta data? Możemy ją zmienić.

– Nie, niech tak zostanie. Admirał i ja rozpracowaliśmy to dokładnie. McCulloch będzie tam od ponad roku, więc jego plany będą już w trakcie realizacji, co umożliwi mi znalezienie go. Wojna zacznie się dopiero za półtora roku, więc będę miał wystarczająco dużo czasu, by go dopaść i zdążyć jeszcze pokrzyżować wszystko, co knuje.

– To brzmi rozsądnie – zgodził się Kleiman. – Jeszcze jedno. Pamiętasz, jak obiecałeś nam powiedzieć, w jaki sposób możemy dostać od ciebie wiadomość? Chcielibyśmy wiedzieć, jak to wszystko się skończyło i jakie były plany McCullocha. Czy pomyślałeś o tym?

– Tak. To bardzo proste. Napiszę dla was raport i zapieczętuję go w butelce. Zapieczętuję, a nawet postaram się o dmuchacz do szkła, żeby rozpuścić szyjkę i skleić. Włożę butelkę do jakiejś solidnej skrzynki i zakopię ją na głębokości sześciu stóp w miejscu, gdzie łatwo ją znajdziecie.

– To znaczy gdzie?

– Dokładnie tutaj. – Troy wskazał palcem granitową skalę. – Na północnej stronie. Wszystko co będziecie musieli zrobić, to wykopać skrzynkę.

– Wspaniale! – wykrzyknął Kleiman. – Oczywiście będzie to równoznaczne z opróżnieniem całego laboratorium i rozbiciem betonowej podłogi. Nie mogę się doczekać. Zaraz się za to weźmiemy!

– Poczekajcie przynajmniej, aż mnie już tu nie będzie.

Wszyscy w ciszy wpatrywali się w szary gład wystający ze zniszczonej podłogi w laboratorium. Tutaj, pod fundamentami, czekała na nich wiadomość. Jeśli Troy zostawił w przeszłości dla nich informację, musiała tam teraz być. Leżała w tym miejscu od ponad stu lat bezpiecznie zakopana obok skały, w czasach kiedy były tutaj tylko pola uprawne, zanim zbudowano laboratorium, zanim oni wszyscy przyszli na świat.

– Będziemy czekać – powiedziała Roxanne. – To dla nas bardzo ważne i wystarczająco nowe,

by na tym etapie nie wikłać się w paradoksy czasu. Pomyślmy o nich później, nie teraz.

– Amen – powiedział admirał.

– Popieram – powiedział Kleiman. – Paradoksów czasu należy unikać na każdym etapie. Musimy bardzo uważać na robienie czy mówienie czegokolwiek, co może mieć wpływ na wydarzenia, gdyż nie mamy możliwości zobaczenia konsekwencji, jakie to za sobą pociąga.

Troy skinął głową i podniósł zniszczone torby.

– Czas wyruszyć w drogę – powiedział.

– Dobry pomysł – zgodził się Kleiman, wskazując na metalowe obramowanie przytwierdzone do powierzchni skały. – Kładę na to drewnianą platformę, która podniesie cię nad powierzchnię kamienia na wysokość jednego cala. Spadniesz więc z tej wysokości, kiedy będziesz na miejscu; lepiej zegnij kolana. Wolę, żebyś był nad kamieniem, niż wciśnięty w niego na ułamek cala. Możemy zaczynać.

Troy pomógł Kleimanowi w przykręceniu platformy do metalowej ramy. Admirał podał mu torby. Byli gotowi. Nikt nie miał nic do powiedzenia. Admirał miał ponurą minę, Kleiman i Roxanne zajęci byli kontrolkami.

– Wszystko gotowe – powiedział Kleiman, trzymając palec na czerwonym przycisku wprawiającym maszynę w ruch. – Liczę do trzech, dobrze?

– Dobrze. Naprzód, wodzu!

– Raz.

Troy zgiął kolana.

– Dwa.

Było przerażająco cicho. Troy zobaczył trzęsącą się rękę Kleimana i szepczące coś wargi.

– Zrób to, zrób to teraz – powiedział Troy.

– Trzy.

Ciemność.

Cisza.

Uczucie pustki albo raczej uczucie braku uczucia. Trwało to chwilę – a może całą wieczność? Troy nie umiał tego nazwać, to było inne, nieznanne. Mogło się skończyć w chwili, kiedy się zaczęło, a mogło też trwać bardzo długo. Kiedy zaczął się nad tym zastanawiać, to coś – to uczucie – już ustąpiło.

Poczuł na ramionach gęsty deszcz, coś twardego zazgrzytało pod jego podszewkami. Potknął się, kiedy usiłował wysunąć nogę do przodu. Chciał złapać równowagę w deszczowych ciemnościach, ale mu się nie udało. Poślizgnął się i upadł twarzą w błoto, z trudnością łapiąc oddech. Wpadł w panikę, szukając po omacku swoich bagaży. Były przy nim, wszystko w porządku.

Nagle błyskawica przecięła niebo i w tej samej chwili rozległ się grzmot, gdzieś blisko uderzył piorun. W świetle błyskawicy udało mu się zobaczyć, gdzie jest.

Czarna masa wystającej skały była tak wyraźna jak zarys pobliskich drzew na tle nieba. Nie było jednak laboratorium, tak jakby nigdy nie istniało. Oczywiście, że nie istniało, nie w tym czasie. Miało dopiero być wybudowane, ale to odległa przyszłość.

Przybył. Hrabstwo Fairfax, Wirginia. Kilka mil na północ od stolicy. Lato 1859 roku.

Podniósł się na nogi i stanął odwrócony tyłem do skały, ocierając twarz z deszczu. A więc zrobił to. 1859. Jednak w tej chwili było to dla niego bez znaczenia. Czuł się otępiały, nie był w

stanie uświadomić sobie prawdy. Tylko deszcz był rzeczywistością.

Co dalej? Spróbował zebrać myśli. Kiedy nadejdzie świt będzie musiał dokładnie zlokalizować ten kamień i to miejsce, by mógł je kiedyś w przyszłości odnaleźć. Gdy tylko nadejdzie odpowiednia pora, zakopie w tym miejscu wiadomość. To było ważne. Ważne nie tylko dla tych jeszcze nie narodzonych, którzy pewnego dnia w dalekiej przyszłości będą tutaj kopać w poszukiwaniu butelki, ale również dla niego samego. To była nitka – nieistotne jak bardzo cienka – łącząca go ze światem, który opuścił. Usiadł na skale i czekał.

Krople deszczu stawały się coraz rzadsze i Troy ze zdziwieniem zobaczył jasny horyzont na wschodzie. Powietrze było ciężkie, co oznaczało, że nadchodzi gorący dzień. Po kilku minutach mgła zaczęła się podnosić. Dostrzegł wynurzającą się z półmroku łąkę i drzewa rosnące tuż obok skały, za którą biegła wąska, wyboista droga. Usłyszał odległe szczekanie psów i dźwięk dzwonek, jakie wiąże się krowom nią szyjach. Oznaczało to, że gdzieś niedaleko była farma. Nie powinien mieć trudności z odnalezieniem tej skały. Grzbiet kamienia miał kształt czegoś w rodzaju statku wynurzającego się ze szczytu małego wzgórza. Musiał to zapamiętać, by móc później wszystko dokładnie zanotować dla potomnych. Musiał również, na wszelki wypadek, sprawdzić datę.

Dźwięk dzwonek i odgłos ciężkich, powolnych kroków stawały się coraz wyraźniejsze. Po chwili między drzewami dostrzegł małe stado brązowych krów zbliżające się w jego kierunku. Kiedy stado było już blisko, przewodniczka podniosła łeb i wpatrywała się przez chwilę w niego, po czym poszła dalej, omijając wzgórze. Troy obserwował ją, gdy go mijała i odwrócił głowę.

Na skraju lasu stał chłopiec i patrzył w jego stronę.

Troy nie ruszał się, kiedy chłopak powolnym krokiem zaczął się do niego zbliżać. Miał około dwunastu lat. Ubrany był w kraciatą koszulę i szerokie spodnie; miał jasne, gęste włosy i piegowatą buzię. W ręce trzymał długi kij do poganiania krów. Podszedł do Troya i stanął przed nim z bosymi stopami zanurzonymi prawie do kostek w błocie. Podniósł głowę i nic nie mówiąc, przyglądał się obcemu.

– Przestało padać – powiedział Troy.

Chłopak skinął głową.

– Śmiesznie mówisz jak na czarnucha – powiedział.

Miał wiejski akcent, jaki Troy słyszał przedtem niezliczoną liczbę razy.

– Jestem z Nowego Jorku.

– Nigdy nie spotkałem czarnego Jankesa. Zgubiłeś się?

– Nie, po prostu idę na południe. Złapał mnie deszcz i nie wiem co dalej. Chcę się dostać do Waszyngtonu. Znasz drogę?

– Oczywiście, że znam drogę – powiedział pogardliwie chłopak, uderzając kijem w trawę. – Cały czas prosto aż dojdiesz do drogi, później skręć w lewo przy Tysons Coimers, a później będą już rogatki. Nie jesteś zbyt rozzarnięty, jeśli tego nie wiesz.

– Powiedziałem ci już, że nie jestem z tych stron.

– Zabieraj stąd ten swój tyłek, wynoś się! – krzyknął nagle chłopak i popędził za krowami.

Troy popatrzył za nim świadom napięcia, które zaczęło go z wolna opuszczać. Mogło być gorzej. To jego pierwsze spotkanie. Ale to tylko chłopak. Co by się stało, gdyby spotkał jakichś innych ludzi? To spotkanie nauczyło go, że nie może mówić tym północnym akcentem, ale czy jest w stanie zmienić swój sposób mówienia, charakterystyczny dla ludzi wykształconych? Lepiej, żeby to zrobił. Od tego mogło zależeć jego życie. W armii wielokrotnie słyszał czarnych mówiących slangiem. Duże, grube dzieciaki z Południa, bez pełnego wykształcenia podstawowego, których niekiedy musieli nawet uczyć czytać. Wszelkie próby naśladowania ich nigdy mu nie wychodziły;

południowy slang brzmiał sztucznie w jego ustach. Teraz nie miał wyboru, musiał się tego nauczyć. Musiał słuchać, jak mówią inni czarni, i robić to samo: Nie wolno mu też było zapominać, że dopóki nie pozbędzie się swojego akcentu, musi starać się unikać rozmowy.

Chłopiec i krowy zniknęli z jego pola widzenia. Troy odwrócił się, zarzucił torby na plecy i poszedł w przeciwnym kierunku. Idąc dotknął kieszeni – wszystko było na swoim miejscu.

Przed nim był Waszyngton.

Gdzieś w tych okolicach był również pułkownik McCulloch. Czekają ich spotkanie, o którym pułkownik jeszcze nic nie wiedział.

ROZDZIAŁ 22

Zanim Troy dotarł do drogi, słońce było już wysoko ponad horyzontem i niemiłosiernie grzało go w plecy. Ledwie minął świt, a on już cały ociekał potem. Dzień zapowiadał się na upalny koszmar. Zatrzymał się, zdjął wilgotną kurtkę i ruszył dalej. Szedł po trawie, gdyż droga była dwiema koleinami pokrytymi błotem i głębokimi kałużami. W pewnej chwili zobaczył między drzewami dym unoszący się nad drewnianymi dachami domów stojących poniżej w dolinie. Tysons Corners otoczone było polami i małymi zabudowaniami farmerów. Idąc dalej, zbliżył się do stojącego przy drodze walącego się budynku.

Nie, nie można było tej starej chałupy nazwać budynkiem. Widział już wcześniej, kiedy jechał przez leśne ostępy Missisipi, nory równie nędzne jak ta. Proste konstrukcje z surowego, nie pomalowanego drewna, skrzywione i wypalone przez słońce. Ta była taka sama. Odstępy między deskami były tak duże, że z łatwością można było wsadzić rękę do środka. Otwarte drzwi prowadziły na zagracone, brudne podwórze. Chata częściowo skryta była w cieniu dębu, pod którym na połamanym taborecie siedział stary mężczyzna bez słowa obserwujący zbliżającego się Troya. Podarta, stara koszula odsłaniała jego czarną, pomarszczoną ze starości skórę. Troy podszedł bliżej i skinął głową. Łysiejąca głowa starca nawet nie drgnęła.

– Dzień dobry – powiedział Troy.

Starzec potrząsnął głową.

– Do zobaczenia. Mówię tak, gdyż będziesz martwy przed zachodem słońca.

Troy zatrzymał się i uśmiechnął, starając się zbagatelizować słowa mężczyzny.

– Nie powinieneś tak mówić. To przynosi nieszczęście.

– Ty jesteś nieszczęściem. Komu ukradłeś te torby?

– Nie ukradłem ich, są moje.

– W to kłamstwo nawet ja nie wierzę! To torby białego człowieka, nie czarnucha. Pierwszy biały, którego spotkasz, najpierw zastrzeli cię, a później zapyta, gdzie to ukradłeś. Jesteś z Północy?

– Tak.

– To słyhać, ale teraz jesteś na Południu.

– Czy mogę wejść? Wydaje mi się, że muszę się nauczyć kilku rzeczy.

– I mnie się tak wydaje. – Mężczyzna zachichotał piskliwie. – Nie mogę wprost uwierzyć własnym oczom, kiedy widzę na drodze takiego beztroskiego wariata. Musisz się, Jankesie, wiele nauczyć. Nie jesteś już na Północy. Tutaj jesteś tylko jeszcze jednym niewolnikiem.

Te spokojne słowa zrobiły na Troyu duże wrażenie, dotarły głębiej niż jakakolwiek pogrożka czy obraza. Dotarło do niego, że czarni byli tutaj niewolnikami, że niewolnictwo było wciąż zgodne z prawem. Ten człowiek całe życie spędził w niewoli. Wszystko było takie oczywiste. Jeśli Troy nie nauczy się szybko zachowywać tak jak ten człowiek, myśleć jak on – jego misja skończy się zaraz na początku.

Usłyszeli zbliżający się stukot końskich kopyt i jakieś głosy dochodzące od strony drogi.

– Do środka – syknął starzec. – Schowaj się albo jesteś martwy.

Troy nie miał czasu na dyskusję. Dał nura do chaty i przyłgnął do ściany. Tętent koni stawał się coraz głośniejszy. Męski głos krzyknął:

– Jak długo tutaj jesteś, dziadku?

– Od świtu, kapitanie. Siedzę tak sobie pod tym drzewem.

– Zatem powiedz mi, co widziałeś. Powiedz prawdę albo ten bat znajdzie się na twoich czarnych plecach.

– Co ja widziałem? Nie widziałem niczego. Wrony, tylko wrony.

– Czy nie widziałeś może takiego dużego czarnego kruka? Czarnucha w jakichś dziwnych butach, dźwigającego skradzione rzeczy?

– Czy ja widziałem? Gdybym widział, to bym o tym wiedział, ale nikt tędy nie przechodził, przysięgam.

– Mówiłem ci, Luther, że nie poszedłby tędy – odezwał się inny głos.

– Nazywasz mojego chłopaka kłamcą?

– Gdybym myślał, że chłopak kłamie, nie byłoby mnie tutaj. Chodzi mi o to, że ten czarnuch chciał nas wyprowadzić w pole i dlatego powiedział chłopakowi, którą drogą pójdzie. Najprawdopodobniej poszedł w drugą stronę, kiedy tylko twój syn zniknął mu z oczu. Wracamy. Pójdę do Corners i powiem im o tym. Nie ucieknie daleko, jeśli wszyscy będą go szukać. Założę się, że wyznaczyci za niego nagrodę.

Troy nie ruszał się, mimo iż odgłos galopujących koni ucichł już chwilę temu. Stał oparty o surowe deski nieświadom mrówek maszerujących po jego twarzy i szyi. Bał się. Dotychczas zdarzyło mu się to tylko raz, kiedy został odcięty od reszty oddziału i znalazł się za linią wroga.

Teraz był za tą linią po raz drugi. W swoim własnym kraju, który wciąż nie był jego krajem. Jeszcze nie. Historię, którą znał z książek, przeżywał teraz na własnej skórze. Po raz pierwszy naprawdę zrozumiał przynajmniej jedną z przyczyn, dla których wybuchła wojna secesyjna, zrozumiał sens zwycięstwa Północy. Spojrzał na swoje trzęsące się palce, zacisnął pięści i ze złością uderzył w ścianę. Za wcześnie było, żeby się poddać.

Stary człowiek powłóczy! wolno schorowanymi nogami i westchnąwszy usiadł na progu. Siedział tak przez dłuższą chwilę, chowając twarz w dłoniach.

– Ocaliłeś moje życie, a nie wiem nawet, jak się nazywasz – powiedział Troy.

– Nigdy się nie dowiesz. Kiedy cię złapią, nie powiesz im, gdzie byłeś.

– Jak mogę im uciec? Dokąd mam pójść?

– Wracaj tam, skąd przyszedłeś, tam gdzie jest wolność. Z tyłu za ustępem są krzaki, nigdy tam nie szukają. Schowaj się teraz, a jak się ściemni, idź stąd.

– Dokąd? Słyszałeś, że wszyscy mnie szukają. Jak mam się stąd wydostać?

Starzec mruknął pogardliwie.

– Z twoją wyobraźnią przypuszczam, że nie uciekniesz. Złapią cię, wychłostają i wydasz mnie, zanim cię powieszą. Przynosisz nieszczęście, słyszysz? Nieszczęście. – Mruczał coś do siebie, kołysząc się. Najwyraźniej podejmował jakąś decyzję. – Schowaj się tam, gdzie powiedziałem. Nadejdzie noc, to pójdę do tych z kolei. Oni niech się martwią o ciebie. Teraz idź już.

Siedzenie w nagranych słońcem krzakach, gdzie roiło się od much, było torturą. Troyowi udało się zdrzemnąć, ale obudził się, kiedy muchy zaczęły wchodzić mu do nosa i ust. Odgonił je, wymachując niezdarnie rękami. Muchy były nie do zniesienia, ale pragnienie męczyło go jeszcze bardziej. Nigdy nie przeżył czegoś takiego i nie wiedział, co robić dalej. Dochodziły do niego głosy ludzi jadących drogą. Każde skrzypnięcie wozu budziło w nim strach. Bał się poruszyć, mimo iż złapał go skurcz i wydawało mu się, że głowa pęka mu od słońca. Usłyszał powolne kroki i wcisnął się głębiej w krzaki. Drzwi ustępu trzasnęły, a po chwili dotarł do niego szept starca:

– Tutaj jest wiadro z wodą. Poczekaj, aż odejdę, zanim je weźmiesz.

W wiadrze było pełno piasku i woda była ciepła, mimo to Troy długo trzymał w ustach każdy łyk tego życiodajnego płynu. Zaczęło się ściemniać. Zrobiło się chłodniej i muchy nie były już tak dokuczliwe. Jego radość jednak szybko zniknęła, gdy w ich miejsce nadleciały złośliwe, brzęczące komary. Wydawało mu się, że minęły całe godziny, nim usłyszał trzask drzwi i ciężkie kroki starca

idącego ścieżką między drzewami. Upłynęło dużo czasu, zanim mężczyzna zbliżył się do Troya i zawołał:

– Wyjdź tędy, za domem! Jest ze mną chłopak, który się tobą zajmie.

W bladym świetle dryfującego między chmurami księżyca Troy dostrzegł dwie postacie. Starzec skinął na chłopaka.

– Ten chłopak boi się, ale pomoże ci. Ty też musisz pomóc jego chorej matce, która potrzebuje lekarstwa. Masz dolara? Musisz mieć pieniądze, jak masz takie ubranie.

– Tak, będę szczęśliwy, jeśli tylko mogę mu w czymś pomóc. Chciałbym też tobie wynagrodzić...

– Zamknij się. Niczego od ciebie nie chcę. Schowaj się w stodole, do której cię zaprowadzi, i nie wracaj tu już nigdy.

Troy wyszeptał podziękowanie, ale mężczyzna nic nie odpowiedział. Nie miał nic. Był tak biedny, jak tylko można to sobie wyobrazić, ale miał godność. Troy żałował, że wspomniał o pieniądzech. Poczul małą, ciepłą dłoń chwytającą go za rękę, spojrzal w dół i uśmiechnął się do szczupłego chłopaka.

– Dam twojej mamie lekarstwo i nie tylko lekarstwo. Chodźmy.

Bose stopy chłopca bezszelestnie przesuwały się w ciemnościach. Troy szedł za nim świadomy, że jego buty robią dużo hałasu. Trzymali się z dala od drogi, klucząc między drzewami sosnowego lasu. Po dość długim czasie chłopak zatrzymał się bez słowa i wskazał dziurę w płocie. Tuż obok biegła wąska, wyboista droga pokryta kałużami, w których odbijało się światło księżyca. Chłopak zbliżył się do drogi i pociągnął Troya za rękę, nakazując mu gestem, żeby się schylił.

– Zostań tutaj i nie ruszaj się – wyszeptał mu do ucha.

Bezszelestnie jak cień przebiegł przez drogę, zanim Troy zdążył cokolwiek powiedzieć. Nie było go przez dłuższą chwilę i Troy zaczął się już zastanawiać, czy nie jest to pułapka. Pomyślał nawet o wyciągnięciu z torby rewolweru, ale zdając sobie sprawę, że jeden strzał w ciszy nocnej postawiłby na nogi całą wieś, zrezygnował z tego zamiaru. Nie miał więc żadnej możliwości obrony przed kimkolwiek, kto chciałby go zabić. Pozostawało mu tylko czekać.

Zerwał się przerażony, kiedy niewidoczna w ciemnościach dłoń chłopca dotknęła jego pleców.

– Mężczyźni już poszli – wyszeptał i pchnął Troya do przodu.

Przebiegli szybko przez drogę, starając się nie robić hałasu. Wpadli w rosnące po drugiej stronie gęste krzaki. Na tle nieba widoczny był zarys domu; w jednym z pokoi dostrzegli blade światło. Okrążyli dom i biegli między rzędami wysokiej kukurydzy, aż dotarli do wynurzającej się z ciemności stodoły. Chłopak energicznym ruchem otworzył skrzypiące drzwi.

– Schowaj się – wyszeptał. – Pieniądze! Weszli do środka. Troy wyjął garść monet, wielokrotność sumy, jakiej żądał chłopak i wcisnął mu je w rękę. Drobne palce zacisnęły się na pieniądzech; ponownie zaskrzypiały zamykane drzwi stodoły. Troy odwrócił się i spróbował iść po ciemku, potykając się o niewidoczne przedmioty. Po chwili poczuł pod nogami coś, co chyba było sianem. Zatrzymał się i położył. W tej chwili był bezpieczny, ale co dalej? Starzec był na niego zły, więc choć nie rozumiał wszystkiego, o czym mówił, nie chciał zadawać mu żadnych pytań. O co mu chodziło z tą koleją?

Usłyszał głośnie kroki zmierzające w kierunku stodoły. Drzwi otworzyły się i ktoś z lampą wszedł do środka. Jakiś mężczyzna krzyknął:

– Wyłaż stamtąd, chcę cię zobaczyć!

Troy nie miał wyboru. Zostawił torby, wstał i skierował się w kierunku światła padającego z lampy naftowej. Zobaczył mężczyznę trzymającego rewolwer.

Mężczyzna był biały.

ROZDZIAŁ 23

– Trzymaj ręce cały czas podniesione do góry – powiedział mężczyzna. – A więc to ty jesteś tym, którego szukałem razem z innymi przez całe popołudnie. Nie mogliśmy znaleźć śladu, żadnego śladu i ludzie zaczęli myśleć, że chłopak wyssał sobie wszystko z palca. Ale kiedy tak patrzę na ciebie, widzę, że opisał cię dość dokładnie.

Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną z rudymi włosami. Brzuch zwisał mu nad paskiem i naciągał czerwone szelki.

– Co masz zamiar ze mną zrobić? – zapytał Troy, patrząc na olbrzymi rewolwer wycelowany w jego przeponę. – Zamierzasz mnie zastrzelić?

– Pytanie zadaje ten, kto ma broń, więc dalej trzymaj tak ręce i powiedz, kto cię tutaj przyprowadził.

– Nie wiem.

– Kto ci o mnie powiedział?

– Tego również nie wiem.

– Zdumiewające. Gdybym miał oczy zamknięte, pomyślałbym, że rozmawiam z Jankesem.

– Jestem nim, pochodzę z Nowego Jorku.

– Jestem skłonny w to uwierzyć. Jesteś jakiś inny. Nie wiem, co mam z tobą zrobić.

– Kiedy będzie się pan nad tym zastanawiał, spuchną mi ręce. Mogę je opuścić?

Nie czekając na odpowiedź, Troy opuścił ręce i pochylił się do przodu. Gdyby skoczył i wytrącił mu rewolwer, miałby jakąś szansę...

– Tak, możesz je opuścić – powiedział mężczyzna. – Wetknął rewolwer za szeroki pas, co jeszcze bardziej uspokoiło Troya. – Zostaniesz tutaj przez jakiś czas. Twoją kryjówką będzie dół pod beczką na melasę, ale przynajmniej będziesz żył. Jutro albo pojutrze przyjdzie dwóch następnych i pojedziecie razem.

– Pojedziemy? Dokąd?

– Na Północ, oczywiście.

– Przykro mi, ale mam do załatwienia sprawę tutaj, na Południu. W każdym razie dziękuję.

– Dziękuję...! – Mężczyzna podniósł lampę i uważnie przyjrzał się Troyowi. – Jesteś naprawdę jakiś dziwny, inny od reszty czarnuchów. Połowa niewolników z Południa stara się uciec na Północ, do Kanady, a ty chcesz iść dokładnie w przeciwnym kierunku.

– Tak. Ja nie jestem niewolnikiem. Człowiek, który mnie tutaj przysłał, wspominał coś o kolei. Chodzi chyba o kolej podziemną?

– Zadajesz za dużo pytań! Masz jakieś bagaże? – Troy skinął głową. – Weź je ze sobą. Nie chcę, żeby ktoś się o nie potknął. Chodź do domu, właśnie przygotowywałem jedzenie. Myślę, że nie trzeba cię będzie namawiać.

– Dziękuję, chyba nie trzeba. Nie pamiętam, kiedy jadłem po raz ostatni.

– Idź za mną, zgaszę lampę. Psy nie szczekają, co oznacza, że w pobliżu nie ma nikogo, ale ktoś mógłby cię zobaczyć z daleka.

Pograżyli się w ciemnościach. Troy wziął swoje torby i wyszli ze stodoły. Coś dużego rzuciło się na niego. Usłyszał głębokie charczenie.

– Spokojnie, mój mały, spokojnie, to swój! Idź powoli! – mężczyzna zwrócił się do Troya. – Nie rzucą się na ciebie, jeśli nie będziesz robił gwałtownych ruchów. Tutaj! Właź do środka, zanim zapalę lampę.

W kącie prawie nie umeblowanej, ale czystej kuchni stał duży stół. Mężczyzna zdjął z białego

nad nim haka lampę, nalał do dzbana świeżej wody i postawił go na stole razem z dwoma glinianymi kubkami.

– Nie paliłem dzisiaj w piecu, ale mam jeszcze trochę szynki i żytni chleb.

– Będę bardzo wdzięczny. Nazywam się Troy Harmon.

– Jaką sprawę możesz mieć tutaj na Południu, Troy?

– Sprawę osobistą, panie... Przepraszam, ale nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

Mężczyzna przeżuwał powoli – kawałek chleba zamoczonego w melasie, potrząsnął ze zdziwieniem głową.

– Naprawdę jesteś inny! Nazywam się Milo Doyle, skoro już wszystko wiesz o tym miejscu.

Pochodzę z Bostonu, co wyjaśnia, dlaczego cię nie zastrzeliłem.

– To wyjaśnia bardzo dużo, panie Doyle.

Szynka była nie dogotowana i pełna chrząstek, ale wilczy głód Troya nie pozwalał mu na zastanawianie się nad takimi drobiazgami. Błyskawicznie połknął ją, popijając słodkawą wodą.

– To wyjaśnia, dlaczego pomógł pan mnie i innym, o których pan wspomniał.

– Jestem tu już od tak dawna, że ludzie zapomnieli, skąd przybyłem. Przyjechałem do pracy przy kolei żelaznej. To była inna kolej niż dzisiaj. Później ożeniłem się z miejscową dziewczyną i zająłem prowadzeniem farmy. Zmarła trzy lata temu i od tej pory jestem sam. Nie robiłem właściwie niczego poza uzalaniem się nad sobą. Nigdy się do tego miejsca nie przyzwyczaiłem, więc pomyślałem o sprzedaniu wszystkiego i powrocie w rodzinne strony. Pewnego dnia przyjechał tu mój przyjaciel z Północy. Znam go od małego, teraz jest prawnikiem. Poprosił mnie o małą przysługę, ale później – coraz częściej czegoś ode mnie potrzebował. Wiesz o mnie wszystko, Troy, więc ty powiedz mi teraz coś o sobie.

– Z przyjemnością. Urodziłem się i wychowałem w Nowym Jorku na Long Island. Kiedy byłem młody, wstąpiłem do armii...

– Wolnego, synku. Jeszcze nigdy nie słyszałem, by ktokolwiek z czarnych został przyjęty do Armii Stanów Zjednoczonych!

– A czy ja tak powiedziałem? Walczyłem poza krajem. W wielu armiach nie zwracają zbyt dużej uwagi na kolor skóry. Umiem sam zatroszczyć się o siebie. Teraz zajmuję się pewną sprawą, to znaczy muszę znaleźć pewnego człowieka i powoli zaczynam się utwierdzać w przekonaniu, że nie jestem w stanie zrobić tego w pojedynkę. Potrzebuję pańskiej rady. Może będę mógł się czymś odwdzięczyć. Z tego, co słyszałem o kolei podziemnej, domyślam się, że pomaga ona zbiegłym niewolnikom w ucieczce na Północ?

– Tak, pomaganie przerażonym uciekinierom w przedostaniu się na Północ jest ważne, ale niektórzy z nas są ważniejsi od innych. To mała stacja. Nie taka jak ta, którą prowadził biedny Tom Garret. Zanim go złapali, przewiózł przez Wilmington ponad dwa tysiące siedmiuset pasażerów.

– Nie mam pojęcia o zasięgu tej całej operacji, ale wiem, że coś co jest duże, nie może być tanie. Pańskie wydatki na transport i żywność muszą być ogromne, co oznacza, że możemy sobie nawzajem pomóc. Dobrze zapłacę za jakąkolwiek pomoc; tak więc nasze relacje będą obopólnie korzystne.

Doyle otworzył usta ze zdziwienia.

– Czy myślałeś kiedyś o sprzedawaniu cudownych maści leczących wszelkie dolegliwości? Człowiek, który gada tak jak ty, może zrobić fortunę na sprzedaży tych rzeczy. "Obopólnie korzystne relacje"! Mówisz lepiej niż większość kaznodziejów, których znam. Troy uśmiechnął się.

– Mam nad nimi przewagę gruntownego wykształcenia, jakie wyniosłem ze szkoły powszechnej, i z Jamaica High School.

– Tak, to jest coś. Powiedz mi lepiej, kogo szukasz, jeśli chcesz, bym ci pomógł. Przyjaciela?

– Wręcz przeciwnie. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Wesley McCulloch. Możliwe, że je zmienił, ale szczerze mówiąc, wątpię w to. Chcę się dowiedzieć, gdzie jest i oddać go w ręce sprawiedliwości.

– Czy to biały?

– Tak.

– To ciężka sprawa, Troy. Tutaj, na Południu, nigdy nie będziesz w stanie zrobić tego sam.

– Teraz już wiem o tym i zdaję sobie sprawę, że byłem trochę naiwny, sądząc, że mi się to uda. Będę potrzebował przykrywkę... – Doyle spojrział na niego, nie rozumiejąc, co ma na myśli. – Nie, nie, prawdziwej przykrywkę, ale wcielenia się w inną rolę. Myślałem o tym przez cały dzień. Co pan o tym sądzi? Czy mógłbym iść na Południe jako służący, który miałby zanieść białemu jakąś wiadomość? Czy sądzi pan, że to by się udało?

– Sądzę, że aby się nad tym zastanowić, muszę się najpierw czegoś napić. Nie mogę jeszcze teraz powiedzieć, że to się da zrobić, ale mogę cię zapewnić, że to najdziwniejszy pomysł, o jakim kiedykolwiek w życiu słyszałem.

Postawił na stole ciężki gliniany dzban, wyjął z niego korek zrobiony z kiści kukurydzy i napełnił dwa kubki.

– Spróbuj. Robi to taki jeden farmer mieszkający nad rzeką. Wziął ode mnie za to pięć centów. Co o tym sądzisz?

Troy spróbował i natychmiast pożałował.

– Sądzę, że on oszukuje – powiedział chrypiącym głosem.

Doyle skinął głową.

– Tak, żąda za dużo. – Przechylił kubek z domową whisky i napełnił go ponownie. – Myślę, że znam kogoś, kto mógłby ci pomóc – powiedział po chwili.

– Jest Szkotem, mieszka w Waszyngtonie i zajmuje się pisaniem do gazet. Nieraz już nam pomógł w przenoszeniu wiadomości, kiedy jechał na Południe. Może być właśnie tym, kogo potrzebujesz.

– Wspaniale, jeśli mi pomoże. Czy może się pan z nim skontaktować?

Doyle położył palce na brodzie i pokiwał głową.

– Potrzebne mi są żelazne gwoździe; pytałem już w Corners, ale nie mają, mam więc powód, by jechać do miasta. Wyruszę wcześniej rano, załatwię wszystko i powinienem do zmierzchu być z powrotem. Jeśli go nie będzie, przekażę wiadomość ludziom, którzy będą wiedzieć, gdzie go szukać. Ty do mojego powrotu musisz siedzieć zakopany w dole.

– Chętnie odpocznę, proszę się o mnie nie martwić.

– Martwię się o siebie, o to, że mnie powieszają, jeśli znajdą cię tutaj. Będę potrzebował trochę pieniędzy, by przekonać tego dziennikarza.

Troy wsunął rękę do kieszeni.

– Czy dziesięć dolarów wystarczy?

– Czy wystarczy? Powiedziałem, że chcę go przekonać, a nie kupić. Bierz teraz te torby i chodź ze mną, pokażę ci kryjówkę. Chcę się jeszcze trochę przespać.

Kryjówka miała bardzo zręczną konstrukcję. Duża beczka na melasę obracała się na osi, odsłaniając i zamykając otwór do wykopanego w piaszczystej ziemi pomieszczenia przypominającego pieczarę. Całość wzmacniał pień drzewa i belki wbite w ziemię. Na dole znajdowały się deski chroniące mieszkańca kryjówki przed wilgotną ziemią – Był tam też nocnik, wiadro wody i kilka świec wetkniętych między belki. Nic więcej.

– Rano, zanim wyruszę, przyniosę ci trochę jedzenia.

Powiedziawszy to, Doyle przesunął beczkę na swoje miejsce, zamykając tym samym właz. Troy znalazł zapalki, zapalił świecę, wyjął rewolwer i ułożył się do snu. Torby z powodzeniem zastąpiły mu poduszkę. Zdmuchnął świecę i natychmiast zasnął.

Podczas dnia kilka razy budził się i ponownie zasypiał, nie mając w ciemnej norze nic do roboty. Nie wiedział, która jest godzina, i wydawało mu się, że czas płynie niezmiernie wolno. Przybliżył się do miejsca, skąd czuł powiew świeżego powietrza i znalazł glinianą rurkę, najprawdopodobniej zakrzywioną na końcu, gdyż nie przepuszczała światła. Przyłożył do niej ucho. Słyszał pojedyncze odległe głosy, później stukot przejeżdżającego wozu i nawołujące się dzieci.

Ponownie układał się do snu, kiedy dotarło do niego głośnie szczekanie psów. Intruz – czy może ich pan wracał do domu? Musiał się liczyć z obiema możliwościami. Kiedy beczka przesunęła się, odsłaniając dziurę, Troy stał oparty o ścianę z wymierzonym w otwór rewolwerem.

– Wychodź – powiedział Doyle. – Wszystko w porządku.

Troy wyszedł powoli, mrużąc oczy w świetle lampy. Za Doyle'em stał szczupły, elegancki mężczyzna ubrany w ciemny garnitur i wysokie buty do konnej jazdy.

– Kto to jest? – spytał Troy.

– Nie musisz się już bać. To człowiek, o którym ci mówiłem. Pan Shaw, pan Robbie Shaw. Wspomniałem mu pokrótce o twoich planach i jest zainteresowany. Możesz powiedzieć mu wszystko to, co powiedziałaś mnie. Nie ruszajcie się stąd, a ja pójdę sprawdzić, dlaczego te psy tak warczą.

Odszedł, zabierając ze sobą lampę. Psy wciąż czekały.

– To pewnie lisy – powiedział cichym głosem Shaw. – Dużo ich tutaj ostatnio.

– Nigdy bym o tym nie pomyślał. Nie jestem z tych stron.

– Wiem. Pański akcent jest równie obcy jak mój.

– Tak, pana akcent – Troy usilnie wyteżał wzrok w ciemności, ale udało mu się tylko dostrzec mglisty zarys sylwetki mężczyzny – brzmi bardziej jak Anglika niż Szkota. Mam nadzieję, że nie potraktuje pan tego jako zniewagę.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy. Chodziłem do szkoły w Winchester. Moi rodzice chcieli, żebym wyruszył w świat. Z pańskiego sposobu wysławiania się wnioskuję, że jest pan człowiekiem bywałym w świecie, co intryguje mnie z każdą minutą coraz bardziej. Nasz gospodarz wymienił dwa nazwiska. Pan Troy Harmon?

– Zgadza się.

– Miło mi pana poznać, panie Harmon. To drugie nazwisko, nazwisko człowieka, którego pan szuka, trochę mnie zaskoczyło. Wesley McCulloch, czy tak?

– Tak.

– To nie jest oczywiście pułkownik Wesley McCulloch?

Troy wyciągnął zza pasa rewolwer i skierował go w stronę, skąd dochodził głos.

– Używa tytułu pułkownika. Czemu to nazwisko pana zaskoczyło? Czy pan go zna?

– Oczywiście. Znam go bardzo dobrze. Zastanawiałem się, dlaczego pan się nim tak bardzo interesuje.

ROZDZIAŁ 24

Myśli Troya były tak czarne jak otaczająca ich ciemność. Czy to pułapka? Czy McCulloch wysłał ludzi do obserwacji miejsca, w które przybył, aby upewnić się, że nikt nie poszedł w jego ślady? Czy Doyle był też człowiekiem McCullocha i wciągał go w zasadzkę?

Rozległ się metaliczny trzask, kiedy Troy powoli odciągał kurek rewolweru.

– Czy powiedziałem coś, czego nie powinienem powiedzieć? – zawołał Robbie Shaw. – Czy ten trzask to rewolwer?

– Tak, to sześciopalcowy kolt. Jeśli spudłowałem za pierwszym strzałem, to na pewno trafię za drugim, więc lepiej się nie ruszaj!

– Nawet nie przyszło mi to do głowy. Niby dlaczego miałbym się ruszać? Pan Doyle może za mnie poręczyć. Nie można mi niczego zarzucić, jeśli chodzi o pomoc dla kolei podziemnej, więc nie rozumiem...

– Pracujesz dla McCullocha?

– Nie, oczywiście, że nie, ale mogę pana zapewnić, że moja znajomość z pułkownikiem bardzo pomogła w tym, czym zajmują się pańscy przyjaciele. On umożliwił mi poznanie różnych wpływowych ludzi, do których nie miałem przedtem dostępu.

Nagle oślepił ich blask lampy i zobaczyli Doyle'a stojącego na progu stodoły.

– Psy dopadły lisa – powiedział i zaskoczony spojrział na Troya trzymającego rewolwer. – Co się dzieje? Co to jest?

– Polisa ubezpieczeniowa. Czy wiedział pan, że ten dziennikarz to znajomy pułkownika McCullocha?

– Nie, ale nie dziwi mnie to, gdyż zna bardzo wielu ludzi, i to zarówno na Południu jak i na Północy. Odłóż ten cholerny rewolwer i wejdźmy do kuchni. Powiedziałem ci już, że on jest jednym z nas i moje słowo powinno ci wystarczyć.

Troy zawahał się, po czym wsunął rewolwer za pas.

– Przepraszam jeśli się myliłem, ale sądzę, że zrozumiecie moje obawy.

– Nie musi pan przepraszać – powiedział Shaw, starając się zbagatelizować całą sprawę, mimo iż drżały mu ręce, kiedy wycierał pot z czoła. – Nie przepadam za widokiem tych śmiertcionośnych zabawek. Ooo, poznaję nasz miejscowy napój! – Wziął od Doyle'a kubek napełniony whisky i jednym haustem opróżnił jego zawartość.

Usiedli przy stole. Troy również wziął kubek, ale bardziej dla towarzystwa niż z chęci delektowania się smakiem napoju.

– Interesującą częścią mojego opowiadania – powiedział Shaw, wpatrując się w dzban – jest to, że znałem McCullocha, zanim przybyłem do tego kraju. Spotkałem go w Glasgow, w klubie mojego ojca, gdzie omawiali interesy.

Troy pochylił się do przodu, cały czas starając się kontrolować swoją ciekawość.

– Czym handluje pański ojciec, panie Shaw?

– To nie handel! To coś mniej prostackiego. Przemysł ciężki, produkcja maszyn.

– Czy są to może maszyny do obróbki stali?

Shaw ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Tak, istotnie. Mosiądzu również. Czy wie pan coś, o czym ja nie wiem?

– Być może. Proszę mówić dalej.

– Tak; wydaje mi się, że pułkownik wchodzi w ten interes z maszynami z bardzo, bardzo dużym rozmachem. Jest starym nudziarzem ciągle gładzącym o konieczności uwolnienia Południa od

przemysłu Jankeesów i takie tam inne gadki. Uważa, że to wszystko, co robią biali robotnicy na Północy, wolni ludzie Południa są w stanie zrobić lepiej. Nigdy nie zwracałem uwagi na te jego wywody. Wiem natomiast, że dokonał w Anglii dużych zakupów, płacąc gotówką i ściągnął to wszystko tutaj. Ma fabrykę w Richmond, której prowadzenie kosztuje go chyba dużo zdrowia, bo zawsze narzeka, że coś mu dolega. Można to jednak ścierpieć, wzięwszy pod uwagę, że ma mnóstwo wpływowych przyjaciół i jest bardzo bogaty. Nigdy nie przepuszczam okazji odwiedzenia go i uszczknięcia kilku butelek z jego zapasów. To wszystko, co wiem. – Opróżnił kolejny kubek i z uśmiechem napełnił następny. – Sądzę, że teraz wyjaśni mi pan powód swojego zainteresowania pułkownikiem.

Troy myślał już o tym; wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał odpowiedzieć na takie pytanie. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jego odpowiedź musi brzmieć wiarygodnie, co skłoniło go do przedstawienia realistycznej wersji prawdziwych faktów.

– Pułkownik McCulloch, jeśli jest to ten sam człowiek, jest mordercą i oszustem, za którego wyznaczono nagrodę. Moim zadaniem jest znalezienie go i zidentyfikowanie, a następnie przekazanie sprawiedliwości. Zapewniam was, że jest to niesłychanie ważna sprawa.

– Nie wątpię w to, a nawet przypuszczam, iż jesteś w nią osobiście zaangażowany, prawda?

– Tak, jestem zdecydowany powalić tego mordercę na kolana, ale moje osobiste motywacje nie są tutaj aż tak ważne. Prawo zostało złamane, a przestępca wciąż jest na wolności. Przekonałem się jednak, że sam nie dam rady tego zrobić. Mam spore fundusze przeznaczone na to dochodzenie i dobrze zapłacę za każdą pomoc. Czy pomożesz mi, Shaw?

– Z przyjemnością, panie Harmon. Z przyczyn altruistycznych, ale również dla pieniędzy. Nie wstydzę się przyznać, że dziennikarstwo to cholernie słabo płatne zajęcie, a mój ojciec, równie bogaty jak pułkownik, przestał interesować się moimi wydatkami, odkąd wylano mnie z Oxfordu. Zgadzam się więc na każdą cenę. Jakie masz plany?

– Będę twoim służącym. To umożliwi ci zorganizowanie i zapłacenie za wszystko, podczas gdy ja będę prawie niewidoczny. Będę po prostu jeździł tam gdzie ty i woził bagaże. Zgoda?

– Doskonale! Ale czy nie mógłbyś trochę popsuć tego akcentu i gramatyki? Nie chciałbym przekonywać wszystkich, że naprawdę jesteś moim służącym, a nie nauczycielem.

– Wiem. Spróbuję.

– Myślę, że to kwestia czasu i praktyki. Teraz do rzeczy – zwrócił się do Doyle'a. – Jak pan myśli, od czego powinniśmy zacząć?

– Myślę, że powinniście zacząć od opuszczenia jeszcze dzisiaj tej farmy. Głowa mi pęka od czarnych myśli. Za pięć dolarów sprzedam wam mojego starego muła, który wprawdzie jest trochę garbaty i na jedno oko ślepy, ale można jeszcze na nim jechać. Dla służącego to aż za dużo. Mam dla Troya stare buty, a te wysokie niech zostawi tutaj. Ten duży rewolwer włóż do worka na mąkę, a torby niech weźmie Robbie. Takie torby rzucają się w oczy, zwłaszcza gdyby je niósł czarnuch. Jeśli chodzi o ciebie, Troy, to trzymaj język za zębami, dopóki nie nauczysz się mówić tak, by nie wzbudzać podejrzeń.

Troy spróbował coś powiedzieć slangiem, jakiego używają czarni z Południa, ale ciągle brzmiało to sztucznie.

– Musisz ćwiczyć – powiedział Doyle.

– Czy twój muł ma siodło? – spytał Troy.

– Nie. Czarnuchy jeżdżą na oklep, jeśli nie udało ci się tego jeszcze zauważyć. Musisz się wiele nauczyć. Weźmiecie stąd wszystko, co będzie wam potrzebne. Troy musi trzymać się z dala od miast tak długo, aż przestanie wyglądać na obcego. Przywiążecie do muła gumowe płaszcze, koce, kocioł i

garnki. Mamy dobrą pogodę na rozbić obozu. Zanim wyruszyście, napijemy się jeszcze tej whisky, dam wam obiad, a później niech Bóg was prowadzi. Nie ukrywam, że odetchnę, kiedy będziecie już w drodze.

O świcie dotarli do rogatek Waszyngtonu. Troy kiwał się na boki, kierując kościstym mułem, którego kręgosłup przypominał zębate ostrze skrzywionej piły. Nie pomagało nawet siedzenie na złożonym, starym kocu, ale zapomniał o bólu, kiedy zobaczył wynurzające się z porannej mgły miasto. Dokładnie w tym momencie uświadomił sobie fizyczną rzeczywistość swej podróży do dziewiętnastego wieku. Od samego początku, kiedy tu przybył, był zbyt zajęty własną skórą, by przyjrzeć się otoczeniu. Ubrania uszyte z szorstkich tkanin, prosta architektura domów, przypominały mu o wakacjach spędzanych na farmie. Nawet chaty prezentowały się lepiej niż te, które widział w Wietnamie. Ale to była przecież stolica państwa, które za kilkadziesiąt lat będzie światową potęgą!

Miasto było oczywiście mniejsze, o wiele mniejsze niż metropolia z końca dwudziestego wieku. Było też jakieś inne bez neogreckich i rzymskich w stylu budynków rządowych. Teraz budynki były mniejsze, wykonane z drewna i cegły, natomiast wąskie, prawie pozbawione chodników ulice zapełniali piesi, konie i powozy. Konie! Ostry zapach końskiego łajna zdominował wszystkie inne, łącznie z gryzącym węglowym dymem połączonym z zapachem palonego drewna, który poczuli, przejeżdżając obok stacji. Troy chciał się zatrzymać, ale kiedy dotarli do niego przekleństwa Shawa, szybko porzucił ten zamiar, choć ciągle nie mógł oderwać oczu od błyszczącego czarnego silnika, wypolerowanego komina, migoczącego mosiądzu i skraplającej się pary. Oczarowany solidnością i masą tego wszystkiego, zdał sobie sprawę, że to nie historia, ale najbardziej realna terażniejszość. Dopiero kiedy poczuł na żebrach kopnięcie Shawa, dotarło do niego, że zachowuje się co najmniej dziwnie.

– Przestań zostawać w tyle i wywracać ślepiami. Szybciej! Nie będziemy tak stać przez cały dzień!

– Tak, musisz tylko poprawić lina, bo wszystkie spadać – powiedział Troy, dość skutecznie naśladowując czarnuchów z Południa.

Shaw zsiadł z konia i pochylił się, by poprawić sprzączkę.

– Za wolno jedziesz i za dużo się rozglądasz, co może wydać się dla kogoś podejrzanym – wyszeptał.

– Przepraszam, ale nie mogę już tak dłużej jechać. Ta bestia przepiłowała mnie na dwie części.

– Zejdź więc i prowadź muła. Nie możemy się tutaj zatrzymywać.

Tyle ciekawych rzeczy przyciągało uwagę Troya, ale Shaw miał rację, że to było ryzykowne. Widoki jednak kusiły go nadal. Kapitol z daleka był bardzo podobny do tego, jaki widział w dwudziestym wieku. Nie było natomiast przedmieścia przed Wirginią, a w miejscu, gdzie pewnego dnia miał stanąć port lotniczy, teraz były jedynie porośnięte trzciną moczary. Miejsce Pentagonu zajmowała łąka, na której pasły się krowy.

– Najwyższy czas, żeby się zatrzymać na obiad – powiedział Shaw, skręcając w pole.

Zmęczony Troy powlókł się za nim.

– Dłużej bym nie wytrzymał – powiedział. – Te rozwalone buty narobiły mi pełno odcisków. Ten spacer był równie zły, o ile nie gorszy od jazdy na tym mizernym kandydacie do fabryki kleju.

– Muszę zapamiętać ten zwrot: fabryka kleju. Wy, Jankesi, znacie mnóstwo dziwnych zwrotów. Teraz ja przygotowuję jedzenie, a ty weź wiadro i idź po wodę dla tych bestii.

– Tak, panie. Już się robi – powiedział Troy angielszczyzną, która była niezbitym dowodem na to, że jest tylko tępym czarnuchem.

– Dobrze ci idzie. Szybko się uczysz.

Skarpa nad strumieniem była wysoka na co najmniej sześć stóp, co zmusiło Troya do pójścia dalej, aż znalazł ścieżkę prowadzącą na dół. Woda była czysta i świeża. Troy złożył ręce i napił się, po czym zmył z twarzy uliczny kurz. Napełnił wiadro, wspiął się na skarpę i przykucnął, usłyszawszy jakieś głosy. Ostrożnie wychylił głowę z gęstej trawy, na tyle by móc zobaczyć mówiących. Przy ich bagażach zatrzymało się dwóch jeźdźców. Rozmawiali z Robbie'em Shawem. Jeden coś powiedział, drugi wybuchnął śmiechem i zsiadł z konia, wyciągając jednocześnie z pochwy przy siodle duży rewolwer. Shaw cofnął się ów krok, ale mężczyzna doskoczył do niego i uderzył go rewolwerem w brzuch. Drugi mężczyzna podjechał do przestraszonego konia Shawa, chwycił za cugle i pociągnął na dół, aby otworzyć torby.

W torbach były ukryte wszystkie rzeczy Troya. Jego rewolwer, pieniądze, wszystko...

ROZDZIAŁ 25

Troy zastanawia! się przez dłuższą chwilę, dokładnie analizując położenie mężczyzn, po czym wstał i ruszył w ich kierunku. Kiedy był już blisko, krzyknął głośno: – Panie, ja przynieść ta wodę, jak kazałeś!

Mówiąc to, wolno posuwał się naprzód z pochyloną głową i rękami mocno zaciśniętymi na uchwycie wiadra, tak jakby zawierało ogromny ciężar. Spod opuszczonego ronda kapelusza dostrzegł, że mężczyzna stojący na ziemi trzyma skierowany w jego stronę rewolwer z długą lufą. Po chwili jego towarzysz siedzący na koniu również wyjął broń. Troy, ignorując to, dalej powłóczył nogami w ich kierunku, mruczac coś do siebie i stwarzając wrażenie nieświadomego ich obecności.

Na razie wszystko przebiegało po jego myśli. Obaj mężczyźni uśmiechnęli się, czekając, aż ich zauważy. Dobrze. Pokaże im dobry spektakl w stylu prezentowanym przez Stepenfecchita albo może imitację Jack Benny's Rochester w domu nawiedzonym przez duchy.

– Aaa! – wrzasnął na widok obcych, podniósłszy głowę.

Kurczowo zacisnął ręce na uchwycie wiadra, z którego zaczęła wylewać się woda, kiedy cały się trząśł. Próbował też przewracać oczami, ale nie był w tym zbyt dobry.

Przedstawienie, mimo iż było kiepskie, miało bardzo wdzięczną publiczność. Obaj mężczyźni zaczęli się śmiać i pokrzykiwać. Ten, który stał na ziemi, otworzył szeroko usta, ukazując Troyowi poczerwiałe zęby. Jego radość była tak wielka, że nie zauważył, iż zza pasa wysuwa mu się strzelba; po chwili jej lufa dotknęła ziemi. Troy zaszurał nogami i rozejrzał się dookoła, jak gdyby szukając kryjówki. Jednocześnie nie spuszczał z oka mężczyzny stojącego na ziemi, czekał, aż koń zasłoni jego pole widzenia.

Dokładnie w chwili kiedy to się stało, rzucił wiadro w roześmianą twarz mężczyzny. Gdy tamten przechylił się do tyłu, Troy złapał go za głowę, kopnął w krocze i wykręcił mu rękę z rewolwerem. Mężczyzna zawył z bólu i upadł, pociągając za sobą Troya, który starał się, by lufa rewolweru wycelowana była w górę. Kątem oka dostrzegł drugiego mężczyznę trzymającego wymierzony w niego jego własny rewolwer. Troy wysunął broń na długość ręki, wycelował w niego i pociągnął za spust.

Rozległ się huk jak z armaty. Strzał był celny, mężczyzna zgiął się, ale padając, zdążył wystrzelić z rewolweru.

Robbie Shaw wrzasnął i upadł na ziemię.

Dosięła go kula. Troy ruszył w jego kierunku, ale zatrzymał się, kiedy zobaczył, że pierwszy mężczyzna podniósł się z ziemi. Chciał walczyć dalej, mimo iż zataczał się z bólu. Wyjął z pochwy wielki nóż myśliwski, zacisnął mocno dłoń na jego rękojeści i ruszył na Troya.

Troy wycelował w niego rewolwer i pociągnął za spust – niestety broń była jednostrzałowa. Cisnął nim w twarz mężczyzny, ale ten po prostu go odtrącił i przeklinając głośno, nacierał dalej. Troy cofał się wpatrzony w ostrze noża. Nie zauważył kamienia; potknął się i upadł. Przeciwnik runął na niego.

Nagle rozległ się cichy trzask, jakby ktoś złamał patyk. Troy zobaczył w czole mężczyzny ciemną dziurkę, z której powoli zaczęła wypływać krew. Napastnik był martwy.

Oszołomiony spojrzał na Shawa, który leżał, opierając się na łokciu; w ręce trzymał mały, dymiący jeszcze rewolwer.

– Pieprzniczka – powiedział Shaw, próbując się uśmiechnąć, kiedy wkładał rewolwer z powrotem do kieszeni kamizelki. – Dwa bębenki, na górze i na dole, dwa strzały. Nigdzie się bez niej nie ruszam. Takie napady... są częste... w dzisiejszych czasach.

Wykrzywił z bólu twarz. Troy zobaczył krew spływającą po nogawce spodni. Szybko wstał, starając się nie nadepnąć na zwłoki, podszedł do ciała drugiego napastnika, zdjął z niego szeroki skórzany pas i mocno zacisnął go na nodze Shawa.

– To wygląda jak w sklepie rzeźniczym – powiedział Robbie Shaw. – Dwóch nie żyje, jeden ranny.

Odwaliliś kawał dobrej roboty. Tak ich załatwić bez broni...

– Ty też się nie oszczędzałeś razem z tym twoim rewolwerem. Myślałem, że jesteś dziennikarzem, człowiekiem pokoju.

– Jestem nim, ale chcę przeżyć. Byłem korespondentem wojennym podczas wojen z Indianami. Gorzej może być tylko w piekle. To była moja pierwsza praca w tym kraju i właśnie wtedy nauczyłem się strzelać. A teraz ośmielę się zapytać o twoje plany na najbliższą przyszłość.

– Zajmiemy się najpierw twoją raną. Nie widać nas z drogi, więc nie musimy się martwić, że ktoś się tu przyplącze. Jeśli ktokolwiek usłyszałby te strzały, to już dawno mielibyśmy towarzystwo. Myślę, że ci dwaj śledzili nas przez dłuższy czas i czekali na odpowiednią chwilę. Nie zaatakowaliby nas, gdyby nie mieli pewności, że nikt ich nie widzi. Zajmiemy się nimi później. Najważniejsze, żeby z tobą nie było problemów.

Troy włożył rękę do torby i wyjął płaskie pudełko z lekarstwami. Wziął strzykawkę napełnioną morfiną, ukrył ją w dłoni i poszedł obejrzeć ranę Shawa. Wyjął nóż i jednym ruchem rozciął nogawkę.

– Nie wygląda to najlepiej – powiedział, kopiąc leżący rewolwer. – Jednostrzałowa broń ładowana przez lufę zawsze pozostawia po kuli otwór o średnicy przynajmniej pół cala. Połóż się na plecach, a ja się tym zajmę. Straciłeś dużo krwi, ale nie powinno być komplikacji. Kula naruszyła mięsień uda, ale to się szybko zrośnie. Najważniejsze, że ścięgno jest nietknięte.

Troy pochylił się i wyjął strzykawkę z opakowania, zasłaniając ją swoim ciałem przed wzrokiem Shawa. Podwójna dawka nie tylko usmierzy ból, ale również powinna go na jakiś czas uśpić. Wbił igłę w nogę i nacisnął tłoczek.

– Czuję to! Co robisz? – zapytał przestraszony Shaw.

– Bawię się w doktora. Powiedziałem ci, żebyś się nie przejmował.

Wykopał dziurę w ziemi, zgniótł strzykawkę i zakopał ją. Zanim rozpakował apteczkę i wrócił z kolejnymi lekarstwami, Shaw leżał na wznak z zamkniętymi oczami i głośno chrapał. Troy zabrał się do pracy.

Miał za sobą bogate doświadczenie w opatrywaniu ran, ale po raz pierwszy musiał całkowicie zastąpić lekarza. Zdawał sobie sprawę, że cokolwiek zrobi, by wyleczyć tę ranę, przyniesie to i tak lepszy skutek niż wizyta u najbardziej renomowanego, ale dysponującego tylko dziewiętnastowiecznymi metodami lekarza. Oczyszczył miejsce wokół postrzału proszkiem z antybiotykiem i założył opaskę uciskową, która natychmiast znacznie zmniejszyła krwawienie. Zacisnął mocniej, naszpikował ranę antybiotykami i założył bandaż elastyczny. To powinno wystarczyć. Musiało wystarczyć. Nikt nie potrafiłby tego zrobić lepiej. Tutaj, na tej łące, korzystał z osiągnięć medycznych z innej epoki. Kiedy zaczęto badania nad antyseptyką? Ze szkolnych egzaminów pamiętał, że zapoczątkował je Lister w roku 1865. Zawsze miał dobrą pamięć do dat.

Troy włożył do kieszeni opakowanie z tabletkami penicyliny i spakował apteczkę. Wrony krakały głośno w pobliskim zagajniku, z nieba lał się południowy żar, konie leniwie skubały trawę. Dwa trupy leżały tam, gdzie upadły. Coś trzeba będzie z nimi zrobić. Troy złapał najbliższego za buty i zaciągnął do zagajnika. To samo zrobił z drugim. Czarna chmura wron, głośno kracząc, podniosła się i odleciała.

Shaw obudził się po południu. Przez dłuższą chwilę rozglądał się dookoła błędnym wzrokiem. Obok niego klęczał Troy i trzymał w ręce kubek z wodą.

– Dzięki – powiedział Shaw, opróżniając kubek. Troy napełnił go ponownie i podał rannemu tabletkę penicyliny.

– Połknij. To pomoże twojej nodze.

Shaw zawahał się, ale wzruszył ramionami i połknął tabletkę.

– Czy mi się to śniło, czy naprawdę widziałem niedawno dwóch bydlaków na koniach?

– Najlepiej będzie, jeśli o nich zapomnisz. Jeżeli zgłosimy, co się tutaj stało, to będziemy mieli kłopoty z władzą. Im mniej będziemy się nad tym zastanawiać, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że sprawa nabierze rozgłosu. Jeśli ktoś nas widział, to rzecz ma się zupełnie inaczej, ale nie przypuszczam i wymazuję wszystko z pamięci. Ci dwaj są teraz tam, między drzewami razem z siodłami, bronią, wszystkim. Konie są nad strumieniem.

– Ktoś je znajdzie.

– Oczywiście, ale nas już tu nie będzie. Nikt nas nie będzie podejrzewał, jeśli nie będziemy się tutaj kręcić. Założę się, że ci dwaj są dobrze znani policji. Ruszajmy więc. Czy możesz jechać z tą nogą?

– Chyba tak. Prawdę mówiąc, prawie mnie nie boli.

– Będzie bolała, ale do tego czasu oddalimy się od tego miejsca o kilka mil. Znajdziemy jakieś spokojne miejsce i rozłożymy się na noc. Jutro zobaczymy, czy uda nam się kupić jakąś bryczkę dla ciebie, jeśli oczywiście nadal chcesz mi pomagać. Możemy jeszcze zawrócić, jeżeli nie czujesz się na siłach.

– Nowojorczyku! – powiedział Shaw, krzywiąc się z bólu, kiedy siadał. – Pomóż mi, a zrobimy wszystko, co zaplanowaliśmy. Jest pan tajemniczym człowiekiem, panie Harmon. Zamierzam poznać pana i pańskie ścieżki. Im więcej się dowiaduję, tym większe odnoszę wrażenie, że mówi mi pan tylko drobną część całej prawdy. Chcę być z panem tak długo, aż nie poznam pana lepiej.

– Poznasz. Tymczasem chodź, pomogę ci wsiąść na konia.

Jechali przez resztę dnia i dopiero kiedy było już ciemno, zdecydowali się zatrzymać na noc. Troy włożył kolta za pas, postanawiając, że już nigdy więcej nie ruszy się bez broni. Nie chcieli zwracać na siebie uwagi, więc zatrzymali się z dala od drogi i nie rozpalali ognia. Wkrótce, kiedy dopadły ich komary, zaczęli tego żałować. Zjedli resztę zimnej szynki, którą dostali od Doyle'a i mimo gorąca owinęli się kocami, co było jedynym sposobem na uciążliwe insekty. Zasnęli, gdy zrobiło się trochę chłodniej.

Następnego dnia wczesnym popołudniem dotarli do małego miasteczka Woodbridge. Z wyjątkiem kilku domów z cegły stojących na rynku resztę zabudowań stanowiły drewniane chaty. Shaw wskazał na napis wiszący na stajni:

– Wynajem koni. Może jednak uda mi się przeżyć.

Troy podał mu woreczek ze złotymi monetami.

– Kup jakiegoś dobrego, bo będę jechał razem z tobą. Nie ma ceny, jakiej bym nie zapłacił za zejście z tego muła.

Troy przygotował historyjkę wyjaśniającą wszystkie okoliczności. Shaw powiedział, że spadł z konia i skręcił kostkę. Druga para spodni całkowicie zakryła bandażę, a fakt, że prawie nie mógł chodzić, nadał tej historii cechy wiarygodności. Troy ostrożnie trzymał się z dala, kiedy dobijali targu i podszedł dopiero, gdy właściciel stajni kiwnął na niego, by zaprzęgnął konia Shawa do ich nowego powozu. Troy narobił zamieszania, nie wiedząc do czego przyczepić łańcuchy i postronki; dostał pięścią w ucho i usłyszał stek wyzwisk. Odszedł na bok, przykładając rękę do obolałego ucha

i patrząc, jak mężczyzna sam zaprzęga konia, zastanawiał się, jaki sposób zabicia tego skurwysyna dałby mu największą satysfakcję.

Załadowali wszystkie rzeczy do powozu, przywiązali z tyłu starego muła i ruszyli w drogę. Nie mogli się spieszyć, gdyż Shaw zaczął coraz bardziej narzekać na nogę. Troy starał się nie okazywać zmartwienia gorączką, która pod wieczór wystąpiła u rannego – na szczęście rano nie było po niej śladu. Shaw zażywał codziennie penicylinę, która skutecznie nie dopuszczała do rozwinięcia się infekcji. Wszystko powinno być w porządku.

Jadąc powoli, dopiero po tygodniu dotarli do Richmond. Przybyli tam późnym popołudniem, kiedy drzewa rzucały długi cień na wąskie uliczki.

– Śliczne miasto – powiedział Shaw. – Jedno z moich ulubionych.

– Czy jedziemy do tego twojego hotelu Blue House?

– Tak, znają mnie tam, nie jest zbyt drogi i mają dobrą kuchnię. Często zatrzymują się w nim kupcy, którzy nie lubią wyrzucać pieniędzy w błoto. Pojedziemy okrężną drogą. Ładne domy, prawda?

– Tak, naprawdę wspaniałe. Boli cię noga?

– Ma się już o wiele lepiej. Protestuje tylko, kiedy ją zbyt nadwerżam. Poza tym operacja się udała, doktorze. Co to są za tabletki, które codziennie zażywam?

– Mówiłem ci już. To stary, rodzinny sekret na zwalczanie gorączki. Wydaje mi się, że i tym razem zdał egzamin.

– Z pewnością. Spójrz tam. Widzisz ten duży, biały dom ogrodzony żelaznym płotem?

– Tak, widzę, i co z tego?

– To, że należy do człowieka, którego znam jako pułkownika Wesleya McCullocha. Następną rzeczą, jakiej się musimy dowiedzieć, to czy jest to ten sam człowiek, którego szukamy.

Troy pociągnął mocno za lejce. Koń parsknął, protestując przeciwko takiemu traktowaniu i zatrzymał się. Troy wpatrywał się w dom, jak gdyby usiłował przeniknąć wzrokiem przez ściany.

Czy odnalazł go?

Czy był to już koniec polowania, czy też dopiero początek?

ROZDZIAŁ 26

Zapiski Robbie'ego Shawa

Mój nowy amerykański przyjaciel był bez wątpienia dziwnym człowiekiem i nigdy nie wiedziałem, czego się można po nim spodziewać. Nie chodzi mi o to, że był mało zaradny albo tchórzliwy – drobna przygoda z rozbójnikami pokazała, na co go stać. Nurtował mnie jego sposób bycia jak również pewne inne drobne rzeczy. Był bardzo zdeterminowany. Ta determinacja przepełniała całe jego dąło, kiedy siedział z zaciśniętymi szczękami i wpatrywał się w dom McCullocha, jak gdyby chciał go wzrokiem wysadzić w powietrze. Muszę przyznać, że kiedy patrzyłem na niego, ciarki przeszły mi po plecach i pomyślałem, że nie chciałbym nigdy stać się wrogiem tego człowieka.

– Okay, wystarczy. Gdzie teraz? – powiedział, uderzając lejcami w grzbiet konia.

– Skręcimy w trzecią ulicę.

Jego sposób wyrażania się, jego język, był częścią tej zagadki. Co, u licha, znaczy “okay”? Wydaje mi się, że gdzieś już słyszałem to słowo, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to było. Troy używał też czasami innych dziwnych zwrotów, które wypowiadał w bardzo naturalny sposób, zwłaszcza kiedy był rozluźniony. Przestałem go o to pytać, ponieważ zawsze zbywał mnie jakimś niejasnym wyjaśnieniem i natychmiast zmieniał temat. Ale gdzie on się nauczył mówić w ten sposób? Dość dobrze znam Nowy Jork i nie mam żadnych wątpliwości, że nie mówi jak nowojorczyk. Ale to jeszcze nie wszystko. Czasami mam wrażenie, że należy do jakiejś tajnej organizacji, jakiegoś tajemniczego zakonu mieszczącego się na wyspie odizolowanej od świata, że jest szalonym bohaterem stworzonym przez Edgara Allana Poe. Miałem ogromną ochotę zobaczyć, co ukrywa w tych swoich torbach, ale zdawałem sobie sprawę, że lepiej, abym się do nich nie zbliżał. I ta jego wiedza medyczna... Nigdy nie spotkałem lepszego lekarza. To zdumiewające. Rana po kuli goiła się bez żadnego ropienia, a te dziwne, gorzkie pigułki, które kazał mi codziennie połykać, skutecznie zapobiegały gorączce.

Jednak najbardziej zagadkową rzeczą był jego sposób bycia. Zachowywał się tak, jak gdyby był białym człowiekiem, którego ktoś zamienił w czarnego. Kiedy prowadziliśmy długie nocne dyskusje, kiedy go nie widziałem, miałem wrażenie, że mówi do mnie biały wykształcony Jankes. W swoim życiu spotkałem wielu czarnych i wszyscy zdradzali braki elementarnego wykształcenia, mówili tak, jak gdyby gramatyka w ogóle nie istniała, byli dzikusami, których wydarto z puszczy. Ale nie on. On był tajemnicą.

W hotelu Blue House zawsze witano mnie z otwartymi ramionami. Przyczyną tego entuzjazmu były bezpodstawne nadzieje pani Henley, właścicielki hotelu, że pewnego dnia będę miał zaszczyt oświadczyć się jej nieatrakcyjnej córce Arabelli, poślubię ją i zapewnię dostatnie życie. Podsyciałem te jej nadzieje do tego stopnia, bym zawsze miał dobrą obsługę i wygodny pokój, jednak nie aż tak bardzo, by dać się złapać w matrymonialną pułapkę. Również tym razem pani Henley przyjęła mnie osobiście. Postarałem się jak najszybciej odwrócić jej uwagę od gniewnego spojrzenia Troya, kiedy rozkazującym tonem kazała mu iść spać do stajni. Było mi go żal, gdyż nie jest w stanie pogodzić się ze społeczną degradacją spowodowaną kolorem jego skóry. Nie było mi jednak aż tak przykro, bym żałował wylegiwania się w puchowej pościeli, kiedy on robił to samo, tyle że na sianie. Po kilku prawie bezsennych nocach na twardej ziemi ranna noga dała mi się mocno we znaki i potrzebowałem odpoczynku. Tej nocy natychmiast wpadłem w objęcia Morfeusza. Spałem twardym snem do samego rana i po raz pierwszy od kiedy zostałem ranny obudziłem się rześki i wypoczęty. Na śniadanie podano mi szynkę, żytni chleb, smażoną kukurydzę, jajka, nerki, kilka plasterków bekonu i konfiturę.

Zadowolony poszedłem do Troya do stajni, ale mój radosny nastrój natychmiast uległ zmianie, gdy tylko spojrzałem mu w oczy. Miał kiepską minę, kiedy usiłował oczyścić ubranie z resztek siana.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Jadłeś śniadanie?

– Tak, po warunkiem, że zimną kaszę z kwaśnym mlekiem nazwiesz śniadaniem – mruknął.

– Nie mają tutaj zbyt dobrego jedzenia, prawda? – powiedziałem, starając się wymazać z pamięci zjedzony przed chwilą posiłek. – Czy zastanowiłeś się już, co będziemy dzisiaj robić?

– Tak, długo o tym myślałem. Postanowiłem zaryzykować pokazanie się McCullochowi. Obserwowanie jego domu może się wydać podejrzanym. Liczę na to, że mnie nie pozna, gdyż ostatni raz spotkaliśmy się w zupełnie innych okolicznościach, daleko stąd. Gdyby jednak mnie rozpoznał lub wypytywał cię o mnie, to wiesz, co masz powiedzieć?

– Tak, wiem. Znam na pamięć tę całą bajeczkę.

– Troy skinął głową, akceptując wyraz "bajeczka" i nie zdając sobie sprawy, że właśnie od niego nauczyłem się tego dziwnego sformułowania. – Jesteś służącym mojego przyjaciela z Nowego Jorku, Dicka van Zandta, który pożyczył mi ciebie, abyś pomagał mi, dopóki nie zagoi się moja rana. Zgadza się?

– Doskonale. Nie zapomnij, że mam na imię Tom.

– Uśmiechnął się, nie wiedząc czemu. – Chodźmy. Chcę to mieć za sobą.

Troy milczał przez całą drogę; zdawałem sobie sprawę z narastającego w nim napięcia, kiedy zbliżyliśmy się do domu i zatrzymaliśmy przed bramą. Pomógł mi wysiąść i przytrzymał konia, kiedy ja pociągałem za sznurek dzwonka. Otworzył znajomy mi służący.

– Czy twój pan jest w domu? – zapytałem.

Zanim czarnuch zdążył otworzyć usta, rozległ się tętent galopującego konia i do bramy podjechał pan pułkownik.

– Niech mnie kule bijaj. To ty, – Robbie?

– We własnej osobie – odpowiedziałem i kulejąc podszedłem do niego, kiedy zsiadał z konia.

Pułkownik nie zwracał uwagi na mojego służącego, ale ja kątem oka dostrzegłem kamienną twarz Troya. Myślę, że znalazł, kogo szukał. McCulloch podał mi rękę, po czym wskazał na nogę.

– Spadłeś z konia? – zapytał.

– Coś w tym rodzaju, to nieciekawy wypadek. Zmusza mnie do podróżowania w tej cholernej bryczce.

– Wejdz do środka. Napijemy się whisky i zapomnisz o kłopotach. Twój czarnuch niech wprowadzi powóz.

Mówiąc to, odwrócił się i skinął na mojego przyjaciela władczy ruchem ręki. Później opuścił rękę, ale wciąż patrzył na Troya, który zajął się koniem. Kiedy powoli wspinałem się po schodach, pułkownik wziął mnie pod rękę.

– Twój służący – powiedział. – Nowy nabytek?

– Tom? Nie. Jest czarnuchem, którego pożyczyłem od przyjaciela. Potrzebuję go teraz do pomocy. Czemu pytasz?

– Tak sobie. Przyszło mi do głowy, że gdzieś go już widziałem, ale to przecież niemożliwe. Te wszystkie małpy są do siebie podobne.

Zaśmiał się, a ja udawałem rozbawionego jego żartem. Weszliśmy do środka. Whisky była tak dobra, jak obiecywał.

– Niech to diabli, Wes – powiedziałem, oblizując wargi. – Ten twój wyrób z Wirginii jest godny polecenia. Chyba nawet lepsza niż whisky z Western Isles.

– Kupiłem ją od Szkota, cholernie droga. Dobrze się składa, że przyjechałeś. Mam problem z

jedną maszyną i jestem pewien, że możesz mi pomóc. Muszę napisać do twojego ojca, ale nie wiem, jak to ująć.

– Nie jestem inżynierem. Mój ojciec miał tego dosyć i chciał mnie wykształcić na prawdziwego dżentelmena.

– Do diabła z taką karierą! Wychowałeś się wśród maszyn i znasz się na nich.

– To prawda, ale nie mów o tym ojcu, bo zaczęłby mi wypominać każdego pensa, którego wydał na moją naukę.

– Dopijmy to i chodźmy do fabryki. Chcę, żebyś obejrzał tę maszynę. Okay?

– Zgoda, ale pod warunkiem, że wrócimy tutaj i skończymy butelkę.

“Okay”. To właśnie tutaj po raz pierwszy usłyszałem to dziwne słowo. Tak, właśnie z ust pułkownika. Ten sam wyraz, którego używał Troy. Jaki był związek między człowiekiem o tak wysokiej pozycji a czarnym, który go szukał? Umierałem z ciekawości, ale nie odważyłem się zapytać o to żadnego z nich.

Pułkownik był dumny ze swojej fabryki, która w ciągu roku stała się dużym, dobrze prosperującym koncernem. Problem, który chciał omówić, dotyczył jednej z wiertarek pionowych. Objął mi, w czym rzecz, starając się przekrzyczeć huk przesuwających się nad naszymi głowami skórzanych pasów.

– Ta duża rama wspierająca jest pęknięta. Widzisz? Głupi czarnuch upuścił ją, kiedy uruchamialiśmy maszynę. Kazałem go wychłostać, ale to nie naprawi mi wiertarki. Czy można wymienić tę część, czy muszę kupić nową maszynę?

Pochyliłem się i przesunąłem palcami po ramie.

– Zobacz, tutaj jest numer tej wiertarki. Podaj ten numer i zaznacz, że chodzi o ramę. Przyślą ci ją. Każ ślusarzowi odkręcić pękniętą część i zamontować nową. Nie powinno być z tym żadnych problemów. Maszyna będzie chodzić jak nowa.

Kiedy wracaliśmy, uważnie rozglądałem się po hali, ale jedyną niezwykłą rzeczą, jaką udało mi się zauważyć, był zaryglowany żelaznymi sztabami magazyn. A ponieważ pułkownik zanudzał mnie opisami wszystkich rzeczy, które znajdowały się w fabryce z wyjątkiem tego pomieszczenia, doszedłem do wniosku, że mogę sobie pozwolić na zapytanie go o ten drobiazg. Odpowiedź uzyskałem błyskawicznie, co oznaczało, że kłamie.

– Tajemnica, Robbie. Tajemnica produkcji! Pracuję nad udoskonaleniem odziarniarki bawełny typu

Whitney i mam nadzieję, że pewnego dnia zrobię na tym fortunę. Nikt jednak nie może jej zobaczyć, zanim zostanie skończona. Wracajmy do naszej whisky.

Po obiedzie pożegnałem się z pułkownikiem, wymawiając się od kolejnej butelki bólem nogi, co zresztą było prawdą. Troy przyprowadził bryczkę i pomógł mi wsiąść, zmuszając się cały czas do trzymania języka za zębami. Odezwał się dopiero, kiedy dom pułkownika zniknął nam z oczu.

– To on. To pułkownik McCulloch, którego szukam.

– Zdaje się, że on ciebie rozpoznał, a przynajmniej był zainteresowany twoją tożsamością. Wyjaśniłem mu i więcej do tego nie wracał. Powiedział coś takiego, że wy, czarni, jesteście wszyscy do siebie podobni.

– Tak, tak... Skurwysyn! Zdołałem się dowiedzieć, że nie jest zbyt kochany przez swoich służących. Byli przerażeni, kiedy chciałem porozmawiać z nimi o ich panu. Ostatecznie dowiedziałem się czegoś od pewnego starca. Wygląda na to, że – kilka miesięcy temu McCulloch zatłukł na śmierć jednego ze swoich niewolników. Wierzę w to. Musi być w swoim żywiole, skurwieli. – Powiedziawszy to, splunął z nienawiścią na zakurzoną ulicę. – Niewolnicy powiedzieli

mi też, że pojechałeś z nim do fabryki. Co widziałeś?

To pytanie zabrzmiało w jego ustach pozornie banalnie. Było jeszcze coś, czego koniecznie chciał się dowiedzieć. Udawałem naiwnego.

– Chodziło mu o pewną zepsutą maszynę. Za długo stałem i nie mogę się doczekać, kiedy wyprostuję i położę tę nogę na poduszce.

– Co to za maszyna? Czy produkuje coś niezwykłego?

– Niezwykłego? W jakim sensie?

Kiedy nie odpowiedział od razu, postanowiłem, że najwyższy czas, bym poruszył ten problem.

– Czuję, że jest wiele rzeczy, o których nie chcesz mi powiedzieć. Czy nie możesz mnie w to wtajemniczyć? Nie ufasz mi?

Troy zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

– Nie, Robbie, ufam ci jak nikomu na tym świecie, ale są pewne rzeczy, o których po prostu nie mogę ci powiedzieć. Musisz mi uwierzyć, że naprawdę nie mogę, ale zapewniam cię, że po naszym przyjacielu, pułkowniku, nie możemy się spodziewać niczego dobrego. To ma związek z bronią. Czy wytwarza coś takiego w tej fabryce?

– Zdecydowanie nie. Jestem tego pewien. Bez problemu rozpoznałbym wiertarkę używaną do produkcji lufy strzelby Remington. Z pewnością też nie odlewają tam armat.

– Są jeszcze inne rodzaje broni. Mam podstawy, by przypuszczać, że McCulloch zajmuje się produkcją typu pistoletu, który można składać poza główną halą montażową. Czy zauważyłeś coś takiego?

– Mnóstwo stalowych elementów, ale nie sądzę, by były to części pistoletów. Oczywiście, nie znam się na najnowszych modelach broni i nie jestem ich w stanie rozpoznać. Oprowadził mnie po całej fabryce z wyjątkiem jednej części. Była zamknięta i zabezpieczona. Powiedział, że to nowy rodzaj odziarniarki bawełny. Pamiętam, że kiedy to mówił, odniosłem wrażenie, że kłamie, ale nie wiem dlaczego.

– Właśnie o to chodzi – powiedział, waląc mnie mocno w ramię. – Czy sądzisz, że twoja noga wytrzyma jeszcze trochę jazdy? Chcę, żebyś mi pokazał, gdzie jest fabryka i określił miejsce położenia tej zamkniętej części. Wróć tutaj dziś w nocy i sprawdzę, co ten drań ukrywa!

ROZDZIAŁ 27

Było około trzeciej nad ranem, kiedy zaszedł księżyc i całe miasto zapadło w jeszcze głębszy sen w ciemnościach cichej, ciepłej nocy.

Troy spał na strychu blisko zewnętrznej ściany stajni, skąd przez szpary w deskach wyraźnie widział niebo. Dwukrotnie budził się, by spojrzeć na księżyc, po czym zasypiał ponownie. Za trzecim razem nie poszedł spać, ale napił się wody i przemył twarz. Jeden z koni niespokojnie poruszył się i parsknął, gdy usłyszał cichy dźwięk. Uspokoił się jednak, kiedy drzwi stajni otworzyły się cicho i zamknęły, a w całym obejściu ponownie zapanował spokój.

Wilgoć, gorąca ciemność i czyhający zewsząd wróg. Przypominało mu to Wietnam, kiedy poczuł nagłą pustkę, zgubiwszy M – 16, który był jakby jego częścią. Na początku pomyślał o zabraniu rewolweru, ale później zmienił zamiar. Jeśli byłby zmuszony do użycia broni, byłoby to równoznaczne z porażką jego misji. Chciał walczyć rozumem, nie bronią. Jego bronią był wytrych. Zabrał też ze sobą nóż, świecę i zapalki. Nie potrzebował niczego więcej.

Czuł się bezpiecznie, idąc przez ciemne, nie oświetlone ulice, gdyż wiedział, że usłyszy lub zobaczy każdego, zanim ten zda sobie sprawę z jego obecności. Był w swoim żywiole: nocny zwiad i zadanie do wykonania. Tylko raz zaszczekał pies, który wyczuł jego zapach w ciepłym wietrze, ale Troy był już daleko, zanim zwierzę odkryło jego obecność. Później usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Zatrzymał się, kiedy w odległości kilku jardów minęło go dwóch głośno rozmawiających mężczyzn.

Niecałe pół godziny później stał odwrócony tyłem do płotu, wpatrując się w zarys drewnianego budynku na tle gwiazd. Fabryka McCullocha.

Troy przez dłuższy czas nie ruszał się, patrząc w znikającą na zachodzie konstelację gwiazd i cierpliwie czekając. Nic nie mąciło ciszy. Najwyraźniej nie było tutaj ani stróża, ani psów. W oddali usłyszał rzenie konia, ale i ten po chwili się uspokoił.

Wiedział, co ma robić. Oddalił się od ogrodzenia i ostrożnie przeszedł przez drogę. Stał przed drzwiami do budynku. Nacisnął na nie, szukając palcami zamka. Z pewnością nie było tu żadnych elektronicznych alarmów czy czujników, którymi należało się przejmować, więc otworzenie wytrychem prostego zamka i dostanie się do środka było aż nazbyt łatwe. Wszedł do przedsionka. Wszystkie zewnętrzne drzwi były otwarte. Po omacku dotarł do większego pomieszczenia – warsztatu pełnego jakichś narzędzi, ledwie widocznych w słabym świetle gwiazd przenikającym przez wysoko usytuowane okna. Robbie mówił, że to gdzieś w tyle, że gdzieś na tylnej ścianie na prawo od kuźni są drzwi. Ostrożnie, krok po kroku posuwał się naprzód.

Nie widział kuźni, ale czuł dochodzące z niej ciepło. Bezszelestnie szedł na palcach wzdłuż ściany, aż dostrzegł zarys ramy drzwi zamkniętych na kłódkę. Przesunął po niej palcami, wyczuł otwór na klucz i dotknął sprężynowego kabłąka w miejscu, w którym przechodził przez skobel. Poczuł, że kłódka otwiera się pod dotykiem jego palców.

Nie była zamknięta.

Zatrzymał się w bezruchu i wstrzymał oddech. Los mu sprzyjał.

Ale czy to naprawdę był po prostu fart?

Kiedy rozważał ten logiczny problem, poczuł narastające napięcie. Ogarnął go nagły niepokój, mimo iż nie było ku temu żadnych widocznych powodów. Nie zobaczył ani nie usłyszał niczego, co mogłoby tłumaczyć ten stan. Mimo to nie mógł zaprzeczyć, że ogarnia go coraz większy strach. To było uczucie, jakie przeżył tylko raz, podczas nocnego patrolu. Tuż przedtem, zanim wpadli w zasadzkę. To była reakcja zachodząca na poziomie instynktów, bardzo odległa od procesów

myślowych.

Wszystko to było całkowicie irracjonalne i emocjonalne. Mimo to nie mógł się oprzeć wrażeniu, że za ścianą czai się zło. Czeka na niego w odległości zaledwie kilku cali. Nie miało to nic wspólnego z logicznym myśleniem, ale wiedział, że coś czyha na niego w tych ciemnościach. Próbował oddalić od siebie to uczucie, ale nie mógł. Niewątpliwie istniało jakieś niebezpieczeństwo. Nie chciał stawić mu czoła ani dowiedzieć się, co to jest. Niebezpieczeństwo wzbudzało w nim respekt, więcej niż respekt – przerażenie. Jego serce waliło pod wpływem irracjonalnego strachu. Chciał wydostać się z tej ciemnej pułapki, opuścić to miejsce, biec i nie zatrzymywać się. Ale tego właśnie nie wolno mu było zrobić. Zamiast otwarcia drzwi i zobaczenia, jakie zło kryje się za nimi, miał inny sposób na wypędzenie diabła. Tradycyjny. W absolutnej ciszy wyjął nóż i otworzył go. Ostrożnie i bardzo powoli, żeby nie spowodować najmniejszego szelestu, wyciągnął ze spodni koszulę i uciął nożem kawałek tkaniny. Zwinął materiał i wetknął w ścianę, po czym wyjął zapałkę i zapalił ją, pocierając siarką o paznokcie kciuka, co spowodowało ledwo słyszalny trzask.

Położył zapałkę na zwiniętym kawałku koszuli i patrzył przez chwilę na zapalającą się tkaninę. Mały płomyk dawał wystarczającą ilość światła, by mógł tą samą drogą, którą wszedł, szybko opuścić budynek. Schował się w małym zagajniku po drugiej stronie drogi.

Czekał z ogromną niecierpliwością.

Ogień powoli rozprzestrzenił się w budynku, pochłaniając najpierw drewnianą ścianę, a później atakując podłogę. Minęło kilka minut, zanim zobaczył w oknach migoczące płomienie. Kilka sekund później w tylnej części budynku rozległ się trzask otwieranych drzwi, rzenie przestraszonego konia, a po chwili tętent kopyt, kiedy koń i jeździec popędzili w kierunku ulicy.

– Ogień! Ogłosić alarm! Ogień! Ogień!

Troy uśmiechnął się do siebie. Znał ten głos. McCulloch.

To on był tym niebezpieczeństwem, tym złem czyhającym po drugiej stronie ściany. Leżał tam i czekał, by zatrzaskać pułapkę. Troy nagle zdał sobie sprawę, że McCulloch był przynętą, a on miał być ofiarą; że ten plan był następstwem pokazania się pułkownikowi. McCulloch nie mógł być pewien jego tożsamości, gdyż w przeciwnym razie zabiłby go na miejscu albo porwał. Ale podobieństwo musiało go zaniepokoić. Będąc człowiekiem skrupulatnym, nie mógł sobie pozwolić na zlekceważenie tego problemu. Musiał go rozwiązać. Z pewnością brał pod uwagę i taką możliwość, iż był ścigany w czasie. Pułkownik był również ostrożny. Zawsze istniała możliwość, że podobieństwo było przypadkowe, ale należało zastawić pułapkę na wypadek, gdyby było inaczej. Stąd to oprowadzanie po fabryce i zasugerowanie jakiejś tajemnicy ukrytej w zamkniętym pomieszczeniu. McCulloch był mistrzem taktyki i jego plan powinien być się powieść.

A jednak się nie powiódł. Wprawdzie bardzo niewiele brakowało, a pułkownik odniósłby sukces – ale go nie odniósł. A był już tak bliski zwycięstwa... Gdyby Troy otworzył drzwi choćby na ułamek cala, byłby natychmiast trupem, cięższym o kilkanaście gramów ołowiu. Kiedy to sobie uświadomił, poczuł na całym ciele zimny pot. Śmierć była bardzo blisko.

Czy możliwe, żeby tam za drzwiami czaił się na niego jeszcze ktoś inny? Nie, z pewnością McCulloch był tam sam; nie wtajemniczając nikogo w swoje plany, zastawił pułapkę i czekał. Ale pojechał po strażaków. Czy można się było dostać teraz do tego pomieszczenia? Musiały być gdzieś tylne drzwi.

Nie, za późno. Zobaczył zapalające się w okolicznych domach lampy i usłyszał krzyki. Pożar! Ciągłe niebezpieczeństwo w mieście pełnym drewnianych domów. Każdy zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakim był rozprzestrzeniający się ogień, i spieszył z pomocą. Na drodze pojawiało się

coraz więcej ludzi. Troy ukrył się głębiej w mroku drzew.

W ciągu kilku minut pojawiły się pierwsze wozy strażackie ciągnięte przez konie. Były prymitywne, ale skuteczne. Krzyżący mężczyźni całym ciałem naciskali na dźwignie pomp i z węży zaczęły się wylewać pierwsze strumienie wody.

Mimo dużego zamieszania i braku organizacji walka z ogniem posuwała się naprzód. Między najbliższą studnią a wysokimi płomieniami stał rząd ludzi podających sobie wiadra z wodą. McCulloch pojawił się z powrotem wraz z kolejnym wozem strażackim i wprowadził strażaków do przedniej części budynku również stojącej już w płomieniach. Troy miał teraz szansę! W walkę z ogniem byli zaangażowani wszyscy bez względu na rasę. Było więc małe prawdopodobieństwo, że w tym zamieszaniu ktoś zwróci na niego uwagę.

Troy podbiegi, by dołączyć do strażaków pracujących z tyłu budynków. Przez tylne drzwi zobaczył, że wewnątrz było teraz jednym wielkim morzem ognia. By zapobiec rozprzestrzenianiu się pożaru, część strażaków kierowała strumień wody na dach, podczas gdy inni ustawieni w dwa rzędy, krzyżąc podawali sobie z ręki do ręki wiadra wody i gasili ogień na dole. Troy chwycił wiadro i dołączył do nich.

To była rozpaczliwa walka z żywiołem. Przez chwilę wydawało się, że ogień jest już pod kontrolą, ale później płomień zaczęły pojawiać się w coraz to nowych miejscach. Wszyscy byli brudni od popiołu i dymu i z każdego łał się pot. Troy pracował równie ciężko jak inni, starając się opanować ogień wewnątrz płonącego budynku. Przedzierając się przez rozżarzone kawałki drewna, kopnął nagle coś metalowego.

Rozejrzał się szybko dookoła i upewniwszy się, że nikt nie patrzy w jego stronę, pochylił się, podniósł kawałek metalu i wrzucił go do wiadra. Zanurzył zaraz dłoń w wodzie, by uśmierzyć ból po oparzeniu. Później odwrócił się i zderzając się z innymi, zaczął torować sobie drogę, by dotrzeć do ulicy.

Pierwsze ofiary pożaru leżały na drodze, starając się spazmatycznym kaszlem oczyścić płuca z dymu. Troy dołączył do nich. Jego kaszel był jak najbardziej rzeczywisty, gdyż wchłonał w siebie taką samą ilość dymu jak inni. Usiadł na ziemi i kaszłąc opuścił głowę między nogi. Niepostrzeżenie wyjął metal z wiadra i ukrył pod koszulą.

Kiedy w końcu udało się opanować ogień, zrobiło się ciemno. Nie miał więc żadnych trudności z oddaleniem się z pogorzelska i zniknięciem w czerni nocy.

Troy panował nad ciekawością aż do chwili, kiedy był już daleko od miejsca pożaru na cichej ulicy biegnącej między ciemnymi drzewami. Schował się w krzewach wydzielających słodkawy zapach, położył metal na ziemi i pochylił się. Zapalił na chwilę świecę i zaraz ją zdmuchnął. Ta krótka chwila wystarczyła, by zobaczyć, co ma. Ostrożnie podniósł poczerniały kawałek metalu i zacisnął na nim dłoń.

Trzymał w ręce taki sam kawałek stali jak kiedyś, w innym czasie i w innym miejscu. To było w Smithsonian Institute w Waszyngtonie.

Te dwa kawałki metalu były identyczne. Ścisnął w dłoni metalowy spust do pistoletu Sten.

ROZDZIAŁ 28

Było już widno, kiedy ostatecznie ugaszono pożar. Nad czarnymi ruinami ciągle jeszcze unosił się dym, a poplamieni sadzą, zmęczeni ludzie stali w małych grupkach lub siedzieli na ziemi i patrzyli na pogorzeliśko. Wes McCulloch klnąc pod nosem, kopał popalone kawałki drewna w warsztacie. Było źle, ale mogło być gorzej. Ogień ugaszono w samą porę i żadna maszyna nie była poważnie uszkodzona. Można będzie wznowić produkcję, skoro tylko resztki zwęglonego drewna zostaną usunięte, a zniszczone skórzane pasy zastąpione nowymi. Magazyn sprawiał wrażenie najbardziej zniszczonej części fabryki, ale nawet tam nie było poważniejszych zniszczeń.

– To okropne, pułkowniku, okropne – mówił gruby mężczyzna, ostrożnie torując sobie drogę przez zgliszcza.

Mimo wielkiej troski, jaką teraz okazywał pułkownikowi, jego nieskazitelnie czyste ubranie i wypolerowane buty świadczyły, iż nie miał nic wspólnego z walką z ogniem.

– Czy wie pan już, co było przyczyną?

– Nie, panie senatorze, nie wiem – powiedział McCulloch. – Ale niech pan spojrzy na tę ścianę, gdzie było epicentrum. Zdaje się, że ogień zaczął się w pobliżu kuźni. Możliwe, że jakaś iskra, właśnie stamtąd, zaczęła się tlić. Wie pan, jak to jest. – Odwrócił się, usłyszawszy galopujące konie.

– Przepraszam, senatorze. Lepiej stąd wyjdźmy, nie jest tu zbyt przyjemnie.

McCulloch poczekał, aż senator zacznie rozmawiać z jego przyjaciółmi, po czym kiwnął na dwóch solidnie zbudowanych mężczyzn.

– Hicks, chcę, żebyście razem z Yancym pojechali do Blue House. Znasz tego Szkota, Shawa, który był wczoraj u mnie?

– Jasne, pułkowniku. To ten dziwny facet.

– Sprowadź go. Obudź i powiedz, że natychmiast chcę się z nim zobaczyć. Gdyby nie miał ochoty, zrób co chcesz, ale ma tutaj być. Przyrowadź go i zamknij za domem, w celi dla niewolników. Jest zamieszany w ten pożar. Nic mu nie mów, zanim go wyciągniesz z hotelu. Chcę, żeby ta sprawa nie nabrała rozgłosu, bo gdy już z nim porozmawiamy, pomożemy mu zniknąć.

– Sądzi pan, że to on?

– Nie, ale jego czarnuch. Rozejrzyj się za tym czarnym skurwielem, zanim pójdziesz do Shawa. Nie sądzę, by tam jeszcze był, ale rozejrzyj się. Jeśli go nie znajdziecie, Shaw powie, gdzie go szukać. Sam tego dopilnuj! Trzymajcie go zamkniętego, dopóki nie wrócę. Będę dopiero jutro wieczorem. Idźcie!

McCulloch obserwował, jak wskoczyli na konie i odjechali galopem. Troy Harmon. Wypowiedział to nazwisko szeptem, jak gdyby było przekleństwem. Było przekleństwem! Ten błazen jednak poszedł za nim. Nigdy nie wierzył, że ta kreatura może mieć jaja. Nie, nie w tym rzecz, to głupota, zwierzęcy odruch; jak u żółwia, który nawet będąc martwy, trzyma jeszcze zębami wroga. Ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Był tutaj i stwarzał problemy. Ten gazeciarz przyprowadził go do jego domu. Zapłaci mu za to! Gdyby nie był tak zaabsorbowany tą wiertarką, rozpoznałby tego pajaca od razu. Dopiero później to podobieństwo zaczęło go nurtować. Zawsze istniała możliwość, że ktoś będzie go ścigał, i właśnie dlatego przedsięwziął środki ostrożności. Pułapka była dobra i prawie go złapał, ale ten bambus musiał coś podejrzewać... Może coś odkrył? Teraz to nie ma znaczenia. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, bez żadnych zgrzytów, z wyjątkiem tego małego opóźnienia. Ale nie szkodzi. Na wojnie trzeba ponosić pewne straty. Kilka przegranych bitew się nie liczy. Ważne jest ostateczne zwycięstwo, które będzie należeć do niego.

Kiedy tylko pojawił się zarządca fabryki, McCulloch powierzył mu ocalałe mienie, po czym

odjechał do domu. Była dopiero siódma, więc miał dużo czasu na umycie się i przebranie. Nie chciał jeść śniadania, gdyż jedzenie sprawiłoby go tylko w senny nastrój. Wypił kawę i trochę wina. Nie mógł zapomnieć o zabraniu ze sobą manierki z bourbonem. Spotkanie ustalone było na dziesiątą, więc jeśli wyjedzie przed dziewiątą, powinien bez pośpiechu zdążyć.

Kiedy dopijał kawę, przed domem czekał już na niego wypoczęty, osiodłany koń. Poszedł jeszcze tylko do sypialni, gdzie ukryty był sejf zrobiony na zamówienie. Miał trzy zamki zakładane w jego obecności i pojedynczy, jedyny na całym świecie komplet kluczy. Włożył kolejno trzy klucze, przekręcił i otworzył solidne stalowe drzwi. Wewnątrz znajdowały się szuflady zawierające trochę złota, dość dużo gotówki, jego wszystkie dokumenty oraz duża drewniana skrzynka. Wyciągnął ją, uśmiechając się. Skrzynka zawierała przyszłość Południa.

Zamknawszy sejf i przekręciwszy klucze w zamkach, McCulloch zawinął skrzynkę w nie przepuszczający wody brezent i wsadził pod pachę. Niewolnik trzymający konia chciał mu pomóc przy wsiadaniu, ale pułkownik uderzył go szpicrutą. Żadnych czarnych łap na tym! Sam przywiązał skrzynkę za siodłem; dotknął kieszeni, by sprawdzić, czy zabrał manierkę, i wsiadł na konia.

Wyjechał z miasta i skierował konia na wiejską drogę.

O dziesiątej dotarł do małego skrzyżowania między wzgórzami. W pobliżu znajdowały się farmy, ale z tego miejsca nie było ich widać. Właśnie dlatego je wybrał. Tuż za nim wiała się kręta droga prowadząca przez gęsty las na wzgórze. McCulloch spojrzął na zegarek, schował go i wyjął dużą srebrną manierkę. Pociągnął dwa głębokie łyki, a kiedy odejmował ją od ust, usłyszał zbliżającego się jeźdźca. Spiał konia ostrogami i czekał na pojawienie się mężczyzny.

– Czy pan pułkownik McCulloch? – zapytał nowo przybyły.

Był oficerem armii, porucznikiem kawalerii i wprawnym jeźdźcem dosiadającym czarnego, narowistego konia. Długie, ciemne włosy opadały mu za kołnierz. Nosił brodę i długie wąsy, miał wysokie czoło i przenikliwy wzrok.

– Tak, nazywam się McCulloch. Dziękuję, że pan przejechał ten szmat drogi, mimo iż nie powiedziano panu nic konkretnego o celu tej wyprawy.

– Mamy wspólnych przyjaciół, panie pułkowniku, którzy zapewnili mnie, że to coś znacznie więcej niż gra warta świeczki; mówili, że będzie to najważniejszy dzień w moim życiu. Przyznaję, że jestem bardzo zaintrygowany. Czy mógłby rni pan powiedzieć, dlaczego jest to tak bardzo ważne?

– Tak, poruczniku. Nie powiem panu, lecz pokażę. Ale nie tutaj. Musi pan jeszcze przez chwilę powstrzymać swoją ciekawość, aż wjedziemy do lasu.

Jechali w milczeniu, gdyż żaden nie miał ochoty na rozmowę. McCulloch najwyraźniej wiedział, dokąd jada, gdyż skręcił na ścieżkę wijącą się między drzewami. Ścieżka prowadziła na małą polanę przy stromym urwisku. Tam zsiadli z koni i przywiązali je do drzew. Porucznik z nie ukrywaną ciekawością obserwował pułkownika, kiedy ten zdejmował skrzynkę i niósł ją na polanę.

– To jest właśnie ta rzecz, którą przyjechał pan zobaczyć – powiedział McCulloch, ostrożnie zdejmując brezent pokrywający skrzynkę. – Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości, gdyż chciałem zwrócić uwagę na pewne sprawy, które bez wątpienia są dla nas obu oczywiste. Jesteśmy patriotami Południa i wiem, że obaj wierzymy w słuszność naszej sprawy. Mam również podstawy, by przypuszczać, że kiedy wybuchnie wojna, co jest tak pewne jak przeznaczenie, bez wahania zwiąże pan swój los z Południem...

Oficer powoli skinął głową.

– To, co pań mówi, jest prawdą, chociaż dopiero ostatnio zdecydowałem się obrać tę drogę. Nikomu o tym nie mówiłem, więc skąd pan wiedział?

– Ponieważ czuję, że znam pana, poruczniku. Wiem, że jest pan dobrym kawalerzystą, dumnym i

oddanym tej służbie żołnierzem. Wyjmę teraz broń, która z pewnością spodoba się panu. Czy mogę najpierw zadać jeszcze jedno pytanie? Czy pańskie oddziały są wyposażone w nowe, ładowane od tyłu strzelby Sharps?

– Nie, ale chciałbym, żeby tak było. Dużo się o nich mówi, dużo obiecuje, ale tak naprawdę to armia ma ich bardzo niewiele.

– Czy to dobra broń?

– Najlepsza. Jest wprawdzie zbyt nieporęczna, by używać jej w kawalerii, ale w piechocie doskonale zdaje egzamin. Dobry żołnierz może wystrzelić sześć do siedmiu razy na minutę.

– To już jest coś – powiedział pułkownik, nie będąc jednak zbyt pod wrażeniem słów porucznika. Otworzył skrzynkę i włożył rękę do środka. – W takim razie co by pan powiedział, poruczniku, gdyby broń miała rozmiary niewiele większe od rewolweru i mogła oddać ponad dziesięć strzałów, tyle że na sekundę?

Porucznik, zaglądając do skrzynki, powiedział stłumionym głosem:

– Gdyby taka broń naprawdę istniała, wojna wyglądałaby zupełnie inaczej.

McCulloch zacisnął dłonie na stalowym pistolecie maszynowym.

– Mały, brzydki, śmiercionośny – powiedział: – Razem z łożyskiem ma długość tylko dwudziestu cali i waży sześć i pół funta. Ta metalowa puszka zawiera trzydzieści dwa naboje. Wkłada się ją tutaj, w ten pojemnik. Teraz zademonstruję panu, jak to działa. Odciąga się gałkę do końca, aż zaskoczy i to jest wszystko, co trzeba zrobić; reszta należy do pistoletu. Zacznie strzelać, kiedy się pociągnie za spust, a kiedy chcemy przerwać ogień, po prostu go puszczaemy. Można tak robić, dopóki nie skończy się amunicja w puszcze. Wtedy po prostu wkłada się nową. Żołnierze będą ze sobą nosić dziesiątki takich puszek. Teraz proszę spojrzeć, jak działa. McCulloch ułożył broń na wysokości talii i pociągnął za spust. Pistolet zaterkotał, wyrzucając z siebie grad kul skierowanych na drzewa i porośniętą trawą skarpe. Rozległ się szelest opadających liści i gałęzi. Po chwili spadł z łoskotem duży konar drzewa. Kiedy pułkownik przestał strzelać, w ich uszach dudniło jeszcze echo tego dźwięku. Trzask i pusta puszka na naboje spadła na ziemię; kolejny trzask – i broń ponownie była gotowa do strzału. Pułkownik odwrócił się i podał pistolet kawalerzyście.

– Trzeba mocno trzymać. Odrzut jest słaby, ale podnosi lufę na prawo do góry. Powinno się więc strzelać krótkimi seriami, żeby lufa wracała na swoje miejsce.

Porucznik wziął pistolet, czując chłód magazynka i ciepło krótkiej lufy. Podniósł broń na wysokość ramienia, spojrzął przez przyrząd celowniczy i pociągnął za spust. Rozległo się głośne dudnienie, świst ołowianych kul i szelest opadającego na ziemię deszczu łusek. Kiedy magazynek się wyczerpał, oficer spojrzął szeroko otwartymi oczami na pistolet i na pułkownika.

– To... to jest nieprawdopodobne. Nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś takiego... Jeden żołnierz ma siłę rażenia całego oddziału!

– Może również strzelać z konia, nacierając na przeciwnika. Przyrząd celowniczy umożliwi celny strzał z odległości kilkuset jardów, ale nie jest potrzebny, gdyż pistolet pryska kulami jak wodą z węża. Wystarczy przesunąć ręką w prawo i w lewo i wróg jest pokonany. Ten pistolet nazywa się... Nazywa się Zwycięstwo!

– Naprawdę przyniesie zwycięstwo – powiedział rozentuzjasmowany porucznik. – To całkowicie zmieni rolę kawalerii, która stanie się główną siłą uderzenia nowej armii. To umożliwi błyskawiczne zwycięskie wojny, w których przeciwnik poniesie ogromne straty. Z tą bronią kawaleria zada przeciwnikowi śmiertelny cios. Dopaść, zniszczyć i iść dalej, pozostawiając piechocie zadanie oczyszczenia pola z trupów. Ale jak to działa? Jak to jest zrobione? Nigdy niczego nie słyszałem o tej broni, nawet najmniejszej pogłoski.

– To dlatego, że tajemnicę zna tylko kilku prawdziwych przyjaciół Południa. Robię te pistolety sam, w mojej fabryce w Richmond. Mało kto wie, że produkuję tam broń, gdyż nie sposób do tego dojść, patrząc na poszczególne części. Całość składana jest w tajemnicy. Produkuję również naboje, bo bez ich zapasu Zwycięstwo byłoby tylko kupą żelastwa. Z nabojami to prawdziwe zwycięstwo! – McCulloch włożył kciuk w otwór magazynka, wyjął nabój i podał porucznikowi. – Krótki, ale solidny. Pocisk waży sto piętnaście gramów, a ładunek prochu sześć. Łuska wykonana jest ze specjalnie obrabianego i kształtowanego na angielskich maszynach mosiądzu. Kapiszon zawiera taki sam piorunian jak nabój do rewolweru, ale na tym się kończy podobieństwo, gdyż nabój nie jest wkładany czy wyciągany ręcznie, lecz jest znacznie mniejszy i iglica zawsze trafia we właściwe miejsce. Łuska zużytego naboju wylatuje automatycznie i na jej miejsce natychmiast wprowadzany jest nowy pocisk.

– Wydaje się to takie proste i takie oczywiste, kiedy pan o tym mówi.

McCulloch skinął głową.

– Tak, potrzebny był tylko projekt. Mosiądz, części metalowe i narzędzia są ogólnie dostępne. Ta broń nie ma żadnych tajemnic. Jest po prostu lepsza, tańsza, szybsza i bardziej śmiertelna. Wyobraża pan sobie wykorzystanie jej na polu bitwy? Północ podda się od razu i Południe nadal będzie rządziło się swoimi prawami. Ta wojna może być bardzo krótka i skuteczna, ale może też się przedłużyć, a wtedy będzie bardzo wiele ofiar. Co musimy zrobić, by mieć pewność, że wojna nie potrwa długo?

– Uderzyć na Waszyngton, oczywiście. Ma słabą obronę, oddziały są nie wyszkolone i źle uzbrojone. Będą jednak walczyć i najprawdopodobniej zajmą pozycje przy Buli Run, gdyż jest to najlepsze miejsce na uformowanie linii.

– Tak, chyba ma pan rację – przytaknął McCulloch, uśmiechając się do siebie. – Co by się stało, gdyby tak zaatakować ich siłą pięciu tysięcy jeźdźców, z których każdy byłby uzbrojony w Zwycięstwo?

– Co by się stało? To byłoby zwycięstwo, nic nie mogłoby nas powstrzymać! Zajęlibyśmy Waszyngton i zniszczyli każdy oddział, który byłby na tyle głupi, by próbować odbić miasto. Wygralibyśmy wojnę. Południe byłoby wolne i zajęłoby słuszne miejsce pomiędzy innymi państwami świata. – Porucznik pochylił się i chwycił McCullocha za rękę. – Jestem pańskim człowiekiem! Sprowadzę wojsko, jeśli dostarczy pan broń. Zrobimy tak, jak pan mówił. Zdobędziemy Waszyngton dzięki panu, pułkowniku McCulloch!

– Nie, poruczniku Stuart; ja jestem tylko narzędziem. Cała chwała należy się panu.

J.E.B. Stuart prawie nie słyszał słów pułkownika. Miał przed oczami atakujące oddziały, bitwy i zwycięstwa, które zapewni jego kawaleria wyposażona w tę broń.

ROZDZIAŁ 29

Tuż przed siódmą rano Hicks i Yancy zastukali do drzwi hotelu Blue House. Dopiero kiedy zapukali ponownie, drzwi otworzyły się i zobaczyli w nich panią Henley ubraną jeszcze w szlafrok, z czerwoną od kuchennego ognia twarzą.

– Czy wiecie, która jest godzina? Czy wyobrażacie sobie, że wolno wam o tej porze niepokoić uczciwych ludzi takim waleniem w drzwi?

– Przepraszamy panią, ale przyszliśmy zobaczyć się z pani gościem, panem Shawem. Mamy dla niego pilną wiadomość od pułkownika McCullocha.

– Jest za wcześnie na przekazywanie wiadomości. Pan Shaw śpi i nawet nie przygotowałam mu jeszcze kawy.

– Oczywiście, że nie chcemy go niepokoić, zwłaszcza że jeszcze śpi. Słyszałem, że ma czarnucha. Gdzie on jest? Pójdę i powiem mu, żeby zbudził swego pana.

– W stajni. Nie mam czasu na pogawędkę.

Drzwi zatrzasnęły się przed ich nosami.

– Zostań tutaj i uważaj, żeby ptaszek nie uciekł tylnymi drzwiami – powiedział Hicks. – Ja poszukam tego czarnego podpalacza.

Yancy usiadł na progu, a Hicks wyjął duży rewolwer z pochwy przy siodle, po czym po cichu poszedł w kierunku tylnej części budynku. Yancy zerwał źdźbło trawy i żując je powoli, czekał na towarzysza.

– Uciekł – powiedział Hicks, wkładając rewolwer za pas i zakrywając go płaszczem. – Nie łudziłem się, że będzie się tutaj włóczył po tym, co zrobił. Ten Shaw opowie nam...

Odwrócił się szybko, kiedy usłyszał za sobą dźwięk otwieranych drzwi, i uśmiechnął się na widok młodej dziewczyny.

– Mama nie chciała was urazić – powiedziała Arabella. – Rano zawsze ma dużo pracy. – Odwróciła się i wzięła ze stołu tacę z dwoma kubkami pachnącej kawy. – Przyjaciele pana Shawa są moimi przyjaciółmi. Pomyślałam, że może chętnie się napijecie.

– Tak, jesteśmy jego przyjaciółmi – powiedział Hicks, mrugając do Yancy'ego. – A kawa na pewno jest doskonała. Wiem, że pan Shaw chce się z nami zobaczyć. Czy myślisz, że już wstał?

– Tak. Niedawno zaniósłam mu miskę z wodą. Dopijcie kawę i zaprowadzę was do jego pokoju.

Wypicie kawy zajęło mężczyznom niecałą minutę, po czym poszli za Arabellą na górę. Zanim zapukali do drzwi, poczekali, aż dziewczyna zacznie schodzić na dół.

– Otwarte! – krzyknął Robbie Shaw, usłyszawszy pukanie. W lustrze, przy którym kończył się golić, zobaczył dwóch mężczyzn. – W czym mogę panom pomóc?

– Nazywam się Hicks, panie Shaw. Pracuję dla pułkownika McCullocha.

– Tak, Hicks, poznaję. Jaki jest powód tej porannej wizyty?

Opłukał w miednicy brzytwę o prostym ostrzu i wytarł ją w ręcznik.

– Duży pożar w fabryce pułkownika zeszłej nocy.

– Tak, zbudził mnie alarm. Czy straty są poważne?

– Nie mnie proszę o to pytać, ale pułkownika. Chce się z panem natychmiast zobaczyć. Przysłał nas po pana.

– To miło z jego strony. Wróćcie i powiedzcie mu, że będę u niego wieczorem. Mam teraz do załatwienia kilka pilnych spraw.

– Myślę, że pułkownik chciałby się z panem zobaczyć zaraz.

– Nie wątpię, że chciałby, ale to niemożliwe. A teraz, panowie, zechciejcie opuścić...

– Teraz! – powiedział Hicks, wyjmując rewolwer i wbijając jego lufę w brzuch Shawa. – Natychmiast spakuj swoje rzeczy i nie chcę już słyszeć ani słowa, rozumiałeś? Wyjdziemy we trójkę z tego hotelu z uśmiechem na ustach. Zwłaszcza ty masz wyglądać na zachwyconego. Pokaż mu swoją wykałaczkę, Yancy.

W okamgnieniu, w ręce mężczyzny pojawił się nóż o bardzo długim ostrzu, którym Yancy skinął w kierunku Shawa.

– Stary Yancy może nie jest zbyt rozgarnięty, ale z pewnością wie, jak się posługiwać czymś takim. Nie chcielibyśmy, by przydarzyło ci się coś złego, gdy będziesz stąd wychodził. Gdzie jest twoja torba?

– W ubikacji, przyniosę ją.

– Nie, nie ty. Yancy to zrobi. Prócz torby mógłbyś zabrać ze sobą rewolwer i przypadkowo zrobić sobie krzywdę.

Yancy przełożył nóż do lewej ręki, a prawą złapał za klamkę, pociągnął i wszedł do środka. Po chwili z ubikacji wyszedł Troy, zaciskając zgiętą w łokciu rękę na szyi mężczyzny, który krztusząc się, wypuścił nóż z osłabłej nagle ręki.

Hicks usłyszał głuchy odgłos uderzenia. Pochylił się, sięgnął po rewolwer i wrzasnął, kiedy brzytwa Shawa rozcięła nagle jego rękę. Jęczał, ściskając się za nadgarstek; z palców spływała mu krew.

– Za dużo hałasu – powiedział Troy, wysuwając gwałtownym ruchem pięść do przodu.

Pojedynczy cios skutecznie uciszył mężczyznę.

Troy obwiązał ręcznikiem skaleczoną rękę przeciwnika, a Shaw umył swoją brzytwę i wylał pieniącą się różową wodę przez okno.

– Myślisz, że ktoś słyszał?

Troy wsłuchiwał się przez chwilę w ciszę panującą w budynku.

– Nie wygląda na to. Szybki był z tą brzytwą.

– Musiałem. Cały czas trzymałem ją w ręce, gdyż istniała możliwość, że ktoś sięgnie po rewolwer. Miałem rację, że McCulloch wysłę do nas swoich ludzi.

– Musiał tak zrobić. Pożar potwierdził tylko jego wcześniejsze podejrzenia. Teraz musi dopaść mnie, zanim ja go dopadnę. Jednak w tym mieście jest potężny. To nie miejsce, by stawić mu czoła. Musimy się inteligentnie wycofać i przegrupować. Właśnie dlatego chciałem poczekać, aż pojawią się te typy. Gdybyśmy po prostu uciekli, wysłałby za nami pościg, który teraz byłby na naszym tropie, a tak zyskaliśmy na czasie. Wykorzystajmy go jak najlepiej.

Wyciągnął spod łóżka linę i odciął kawałek. Kiedy Shaw pakował swoją torbę, Troy zręcznie związał i zakneblował mężczyznę.

– Wszystko jasne? – zapytał.

– Tak, to nie jest skomplikowane. Zjem śniadanie, powiem im, że przez cały dzień będę pisał w pokoju i żeby mi nie przeszkadzano. Później wrócę tu, wyjdę przez okno i dachem dojdę do stajni tą samą drogą, którą ty tu wszedłeś. Spotkamy się w stajni, gdzie będzie czekał powóz.

– Dobra. Co z twoją nogą? Dasz radę?

– Nie ma sprawy. Mogą być kłopoty ze wspinaniem się, ale to tylko kwestia spadania i podciągania się.

– Widzę, że nie ma problemu. Do czasu, kiedy znajdą tych dwóch, będziemy już daleko stąd.

Kiedy przejeżdżali przez miasto, zaczynało w nim tętnić życie.

– Czy masz jakiś plan? – zapytał Shaw.

– Dobrze pytanie. Jeśli cię to interesuje, to myślę nad tym od chwili, kiedy opuściliśmy hotel, ale nic mądrego nie przyszło mi jeszcze do głowy. Boję się, że McCulloch może pójść tym samym torem myślenia co ja. Na początku walczyłem z pokusą skierowania się na północ, ale to zbyt oczywiste i drogi na pewno będą pod obserwacją. Pułkownik ma potężnych przyjaciół, którzy z pewnością są wciągnięci w jego plan. Nie może tego zrobić w pojedynkę, to za poważna sprawa.

– Czy powiesz mi, o co chodzi?

– Powiem ci, co będę mógł, ale później. Teraz pomyślmy, jak ocalić głowy. Jeśli odpada pomysł z północą, to równie głupie byłoby pójść na południe. Nie możemy sobie pozwolić na wejście do paszczy lwa. Oczywiście mogliśmy jechać na wschód do Norfolk, ale na pewno by nas złapali przy próbie wsiadania na statek.

– Czemu nie pociągiem?

– To najgorszy pomysł. Stacje będą kontrolowane i jeśli uciekliśmy im na jednej, to zatelegrafowaliby na drugą, gdzie czekałby na nas komitet powitalny.

– Na najbliższym zakręcie w lewo – powiedział Shaw.

Troy spojrział na niego pytającym wzrokiem.

– Czy to jest czymś umotywowane?

– Oczywiście, że tak. Skoro tobie wyczerpały się pomysły, doszedłem do wniosku, że może teraz ja ruszyłbym głową. Proponuję przejazd koleją podziemną.

– Oczywiście! Byłem głupi, że o tym nie pomyślałem. Pracowałeś z tymi ludźmi, prawda?

– Tak. I mogę zabrać cię na stację, która jest tylko pół dnia drogi stąd, po tej stronie Montpelier. Najpierw jednak musimy w jakiś sposób zmylić pościg. Nie możemy przecież zostawiać śladów, bo w ten sposób znaleźliby nas bardzo szybko.

– Nie musisz mi o tym mówić! Czarnuch z białym jadący zielonym powozem, a za nimi wlecze się jednooki muł. Równie dobrze mogliśmy poinformować ich o naszych planach i zaoszczędzić sobie trudów podróży.

– Zatem jedźmy i sprzedajmy muła temu facetowi od wynajmu koni. Kiedy dobijemy targu i odjedziemy, będzie widział, jak skręcamy przy rogatce na północ. A gdy znikniemy mu z oczu, pojedziemy boczną drogą na zachód. Ja będę prowadził, a ty podusisz się trochę na podłodze przykryty jakąś szmatą.

– Świetnie. Nie podoba mi się tylko wizja mojej głowy opatulonej workiem. Chociaż przynajmniej może trochę się prześpię.

Późnym popołudniem powóz opuścił nisko położone tereny farmerskie i wolno posuwał się pełną kurzu drogą prowadzącą do podnóży Piedmont Plateau. Mimo upału widoczność była na tyle dobra, że daleko przed nimi dostrzegli zarysy górskiego grzbietu Blue Ridge Mountains. Koń szedł coraz wolniej, prawie się zataczał, więc Troy zsiadł i kierował powozem, idąc pieszo.

– Daleko jeszcze? – zapytał. – Zaczynam się czuć tak jak ten koń.

– Jeszcze kilka mil, jeśli mnie pamięć nie myli. Chcesz odpocząć?

– Nie. Im dłużej jesteśmy na drodze, tym większe prawdopodobieństwo, że ktoś nas zobaczy.

Droga wiodła przez skraj sosnowego lasu. Później był ostry zakręt. Dokładnie naprzeciwko nich stało na środku drogi dwóch mężczyzn o groźnym wyglądzie ze strzelbami skierowanymi w ich stronę.

Przestraszony Troy uspokoił się nieco, zobaczywszy, że jeden z nich jest czarny. Była jedna rzecz, której był absolutnie pewien: wszyscy ludzie z kręgu McCullocha byli śnieżnobiały.

– Trzymajcie ręce tak, byśmy mogli je cały czas widzieć – powiedział biały, podnosząc lufę strzelby.

– Kim jesteście i dokąd jedziecie?

– To nie twoja sprawa – powiedział cicho Shaw.

– Zejdź z drogi, a sami trafimy tam, gdzie chcemy.

– To puste słowa – powiedział biały, ale opuścił broń. – Mogliście słyszeć, jak ludzie mówią: zejdź, sam trafię. Ważniejsze jest, kogo znacie. Znacie Russela?

– Oczywiście, że znam Otisa. Właśnie jadę na jego farmę. On też mnie zna.

– Naprawdę? Chyba już czas, byś powiedział, jak się nazywasz.

Po tej wymianie tajemniczych słów Shaw zgodził się przedstawić nieznajomemu.

– Nazywam się Robbie Shaw. Jechałem już tą drogą.

– Nie wątpię w to – powiedział mężczyzna ożywionym głosem. Odłożył broń, podszedł do powozu i wyciągnął rękę. – Harriet Tubmann opowiadała nam, kiedy tu była po raz ostatni, jak ty i ona pracowaliście razem.

– Ma się jeszcze dobrze?

– Nie można jej powstrzymać. W każdym stanie wyznaczono nagrodę za jej głowę. Wysłała ponad pięć tysięcy ludzi i nadal pracuje. Dobrze że znasz ją i Otisa, bo my nie jesteśmy gościnni dla obcych. Za dużo ludzi się tutaj kreci, za dużo się dzieje. Niektórzy wyruszają stąd tej nocy. Przyjechałeś w samą porę, by ich pożegnać.

– Wyruszają? Dokąd? Nic o tym nie słyszałem.

– Oczywiście, że nie. Tajemnica jest po to, by jej nie rozgłaszać, ale świat wkrótce się dowie.

Wyruszamy do Kennedy Farm w Maryland od strony Potomacu.

Shaw z zakłopotaniem potrząsnął głową.

– Obawiam się, że nie wiem, gdzie to jest. Czy to dom na kolei?

– Nie, to zrujnowana stara farma, z której korzystamy. Kilka mil od Harper's Ferry.

Dzierżawiona przez samego Isaaca Smitha. Używa takiego nazwiska, ale oni nie wiedzą, kim jest naprawdę. Ty wiesz.

– Tak. Isaac Smith to nikt inny, jak sam John Brown. To on!

John Brown, pomyślał Troy i nagle wstrząsnął nim dreszcz. John Brown w Harper's Ferry!

Dzisiaj jest czternasty października!

Wyraźnie, jakby czytał z podręcznika do historii, widział tę datę.

Szesnasty października 1859. John Brown. Napad na Harper's Ferry.

ROZDZIAŁ 30

Troy siedział w kącie koło ognia, popijał kawę i milczał. Wieczorem wiatr nasilił się i chłodne powietrze dostawało się do środka przez szpary w drzwiach. Wszyscy abolicjoniści, którzy zebrali się w tym domu, rozmawiali z ożywieniem. Troy był jedynym, który nie dołączył do dyskutujących. Czuł na sobie ciężar historii; czuł, że ci mężczyźni byli żywi i martwi zarazem. Harper's Ferry. Atak miał nastąpić za dwa dni. Starał się wymazać z pamięci szczegóły napadu i to, co było później – ale nie mógł. Chciał o tym wszystkim zapomnieć; był tutaj przecież tylko po to, by powstrzymać McCullocha i zniweczyć jego szalony plan związany z produkcją pistoletów półautomatycznych. Zatem jego obowiązkiem było ignorowanie wszystkiego, co się wokół niego działo, niewiedza o planowanym ataku. Gdyby powiedział choć jedno słowo, powiedziałby za dużo. Chociaż nie dotyczyło go to w żaden sposób, nie mógł jednak powstrzymać się od słuchania tego, o czym rozmawiali.

Wszyscy obecni wsłuchiwali się z zapartym tchem w słowa młodego, drobnego mężczyzny, który dopiero co przyjechał. Człowiek ten był dziwny, nerwowy; patrzył jednym okiem, a drugie zakryte miał jakąś tkaniną w kratkę. Nazywał się Francis Meriam i pochodził z Bostonu.

– To było to – powiedział. – To było dokładnie to. Kiedy zacząłem rozmawiać z tym Murzynem, od razu zdałem sobie sprawę, że to jest dla mnie szansa pracy dla tej świętej krucjaty. Mój wuj, znana postać w ruchu abolicjonistów, nie jest w naszej rodzinie jedynym, który widzi, co się dzieje. Tak więc kiedy ten człowiek powiedział mi o Shepherd i o tym, czym się tutaj zajmujecie, od razu wiedziałem, że muszę do was przyjechać. Rozmawiałem z Sanbornem, on zapytał Higginsa i powiedzieli mi, że mam jechać. Właśnie tak mi powiedzieli.

Wydawało się, że z tym człowiekiem jest coś nie w porządku, ale żaden ze słuchających nie zwrócił na to uwagi. Często się powtarzał, kiwał głową i co jakiś czas wycierał usta rękawem, zwłaszcza kiedy był podekscytowany. Sięgnął ręką do tyłu, przysunął bliżej swoją torbę i otworzył ją.

– Znam starego Johna Browna, pomagałem mu w wykradaniu niewolników z Południa i pomyślałem, że mogę mu się przydać do czegoś jeszcze. – Wyjął z torby skórzany portfel i wysypał z niego strumień złotych monet. – Broń i amunicja kosztują i właśnie mam tu na to sześćset dolarów w złocie. Możecie przeliczyć, jeśli chcecie. To wszystko dla niego, dla sprawy.

– Niech cię Bóg błogosławi, panie Meriam – powiedziała stara kobieta, kołyszając się na krześle przy ogniu. – Niech cię błogosławi, bo z Jego pomocą niewolnicy staną się wolni.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Niektórzy z obecnych chwycili za broń na widok ociekającego wodą mężczyzny, który mocno pchał drzwi, chcąc je zamknąć, co przy szalejącej wichurze nie było łatwe. Kiedy odwrócił się do nich, zobaczyli młodego, najwyżej dwudziestoletniego człowieka, który rozglądał się po izbie, jakby kogoś szukał.

– Francis Jackson Meriam, to ty? – zapytał głośno.

Meriam wstał i podbiegł do przyjaciela, by uścisnąć jego mokrą od deszczu dłoń.

– John, powiedzieli mi, że przyjedziesz spotkać się ze mną. Czy nie spóźniłem się? – Odwrócił się do obecnych, nie czekając na odpowiedź. – Słuchajcie, to jest John Copeland. Brał udział w najeździe na Oberlin, o którym pisali we wszystkich gazetach.

Zgromadzeni z entuzjazmem przywitali przybysza. Ktoś podał mu kubek gorącej kawy, którą ten przyjął z wdzięcznością i od razu pociągnął łyk napoju. Reszta starała się nie okazywać swej niecierpliwości. Meriam pierwszy nie wytrzymał: 1 – Co z nimi? Jak to wygląda?

– Wszystko jest na jak najlepszej drodze. Dostaliśmy wiadomość, że przyjeżdżasz i wysłano

mnie po ciebie, byś tu trafił. Jest nas dużo, farma jest przeludniona. Niektórzy siedzą tam zamknięci od sierpnia jak zwierzęta. Ale niedługo już uderzamy. Otrzymaliśmy dostawę rewolwerów i dzid. Wszystko jest przygotowane, przynajmniej tak mówi pan Cook, który od roku pracuje w fabryce broni w Harper's Ferry. Zna ją od podszewki. Z sąsiedztwem związany jest do tego stopnia, że poślubił miejscową dziewczynę. Wie naprawdę dużo. Jest moim przyjacielem; był kiedyś u mnie w domu i opowiedział mi o tej broni. Wybraliśmy dobre miejsce. Wiesz, ile sztuk są w stanie zrobić w ciągu jednego roku? Dziesięć tysięcy! Robią tam wszystko, mają dużą kuźnię i maszyny. Robią spłonki, lufy i jakiś nowy, okryty tajemnicą rodzaj kuł, jak powiedział pan Cook.

Kula! To słowo przeniknęło Troya jak prawdziwy pocisk. Oczywiście, Sten byłby bezużyteczny bez zapasów amunicji. Przez cały czas był tak pochłonięty pistoletem, że nie zastanawiał się nad tysiącami, setkami tysięcy pocisków, których będą potrzebowali, pocisków, które dopiero teraz miał zobaczyć. Od początku, kiedy tutaj przyjechał, miał jak na dłoni wszelkie wskazówki, ale był zbyt głupi, by je zobaczyć! Widział wiele rodzajów pistoletów: o gładkiej lufie, gwintowanych, ładowanych od tyłu, przez lufę i spłonkowych – całe mnóstwo, ale naładowanie każdego z nich zabierało dużo czasu i nie były automatyczne. Amunicja. W fabryce McCullocha nie było śladu po nabojach i prochu. Oznaczało to, że mimo iż pistolety robiono w Richmond, amunicję produkowano w innym miejscu. Gdzie wytwarzano te niezbędne pociski?

W rządowej fabryce broni, oczywiście.

Przybysz wciąż jeszcze odpowiadał na pytania. Troy czekał niecierpliwie. W końcu nie wytrzymał i wtrącił się.

– Panie Copeland, przepraszam, że przerywam, ale przed chwilą wspomniał pan coś o nowym rodzaju kuł produkowanych w Harper's Ferry.

– Zgadza się, tak powiedział pan Cook, a on nie jest człowiekiem, który kłamałby w tak ważnej sprawie. Robią te kule w Hall's Rifle Works, na wyspie na rzece Shenandoah. To ściśle tajne, wszędzie pełno strażników. Nie można się nawet zbliżyć do tego miejsca.

– Czy pan Cook opisał panu tę kulę?

– Zrobił coś więcej. Powiedział, że jeśli to jest aż tak tajne, to musi być bardzo ważne. Powiedział, bym poinformował o tym Johna Browna, co też uczyniłem. Zrobił coś jeszcze, a mianowicie zabrał łuski, które mieli wyrzucić, gdyż były pęknięte, bym pokazał je Johnowi Brownowi.

– Czy może je pan opisać? – zapytał Troy, starając się nie zdradzać emocji.

– Mogę je nie tylko opisać. Zobacz. Zatrzymałem jedną dla siebie. – Wsunął rękę do kieszeni spodni, zmarszczył czoło i przeszukał drugą kieszeń. – Nie, chyba jej nie zgubiłem. Musiałem ją włożyć gdzie indziej... Już wiem gdzie!

Troy patrzył na leżącą na jego dłoni pękniętą łuskę. Nie miał wątpliwości, że pochodziła z Parabellum kaliber dziewięć. Zbyt dużo ich wystrzelał, by mógł się teraz pomylić. Zaokrąglona i przedziurawiona na spodzie w miejscu, gdzie wchodziła spłonka.

– To bardzo ciekawe – powiedział.. – Zaprowadzi pan pana Meriama do innych?

– Oczywiście. Zaraz z, rana.

– Chciałbym przyłączyć się na ochotnika. Mogę?

– John Brown cieszy się z każdego, kto do nas dołącza.

– Miło mi to słyszeć – wtrącił Robbie Shaw, który do tej pory był tylko uważnym słuchaczem. – Jeśli przyda mu się jeden ochotnik, to przyda mu się i drugi. Idę z wami.

Mówiąc to spojrział Troyowi prosto w oczy i lekko się uśmiechnął. Ich słowa wywołały entuzjazm zebranych i dopiero później Troy zdołał odciągnąć Szkota na bok.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał. – Zabawa skończona. Teraz będą ginąć ludzie.

– To nigdy nie była zabawa, tylko zagadka. Wiesz, że o wielu rzeczach jeszcze mi nie powiedziałeś, chociaż przed chwilą sam zasugerowałeś, że ta nowa amunicja ma związek z tobą lub pułkownikiem albo z wami dwoma. Aż podskoczyłeś, kiedy Copeland o niej wspomniał. Czy możesz mi teraz powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie. Ale mogę ci powiedzieć, że jeśli się teraz z tego nie wycofasz, za kilka dni będzie już za późno. Ja muszę jechać do Harper's Feny, ale ty nie. Proszę cię, Robbie, uwierz mi, to naprawdę nic dobrego.

– Uwierzę ci dopiero, gdy mi powiesz to, o czym nie wiem. Czy nie możesz mi zdradzić, czego szukałeś w fabryce McCullocha? Musiałeś coś odkryć, skoro próbowałeś ją spalić.

Troy zastanowił się. Miał dowód, że McCulloch produkował pistolety. Dopuszczono go również do tajemnicy dotyczącej amunicji produkowanej w rządowej fabryce broni. Oznaczało to, że wielu ludzi wiedziało, co się dzieje, i nie musiał już dłużej milczeć o Stenie. Jedyna rzecz, która musiała pozostać tajemnicą to fakt, że przybył ścigać McCullocha z przyszłości.

– W porządku. To będzie fair, gdyż sam już dużo wiesz. Jestem agentem rządowym ścigającym McCullocha, który nie tylko popełnił te zbrodnie, o których ci mówiłem, ale ukradł również szkice ściśle tajnej, śmiertelnej broni. Jest święcie przekonany, że wkrótce wybuchnie wojna między stanami, więc robi pistolety w swojej fabryce, gdzie zresztą znalazłem jedną z części, ale nie ma maszyn do produkcji specjalnego rodzaju naboju, które mają łuski identyczne jak ta, którą trzymam w dłoni. W tym tkwi cała zagadka. Te pociski są wytwarzane w rządowej fabryce, ale mogę cię zapewnić, że rząd nie ma o tym najmniejszego pojęcia.

– Rozwiązanie tej zagadki jest tragicznie proste. Oficerowie kierujący tą fabryką są zwolennikami Południa. To nie jest tak trudne do zrobienia, zważywszy, jak wielu oficerów pochodzi z Wirginii. Najciemniej jest pod latarnią. To tak jak w opowiadaniu Edgara

Allana Poe o skradzionym liście. Przykro mi, Troy, ale po tym wszystkim nie możesz mnie już powstrzymać przed przyłączeniem się do ciebie. Cóż to będzie za temat! Pamiętaj, że jestem najpierw dziennikarzem, a potem dopiero abolicjonistą. Cokolwiek wydarzy się w Harper's Feny, będzie to wydarzenie dziesięciolecia. Razem dołączymy do Johna Browna!

ROZDZIAŁ 31

Burza skończyła się w nocy i sobotni dzień piętnastego października zapowiadał się całkiem znośnie. Wszyscy ochotnicy wstali przed świtem, zjedli śniadanie i zanim się rozwidniło, byli już w drodze. Copeland i Meriam jechali konno na przedzie, a Troy i Shaw podążali za nimi powozem. Posuwali się dość szybko i ledwie minęło południe, gdy Copeland zatrzymał konia i wskazał ręką na stok.

– Tam jest Harper's Feny – powiedział. – A kraina po drugiej stronie Potomacu to Maryland. Od tej farmy będzie jeszcze jakieś siedem mil. Spójrzcie na ten most przed nami.

– Czy musimy jechać przez miasto? – zapytał Shaw.

– To jedyna droga, chyba że macie ochotę popływać.

– Zatem powinieneś wiedzieć, że właściciele niewolników szukają mnie i Troya. Mogli nadać telegrafem wiadomość do swoich ludzi w tym rejonie, by rozglądali się za nami. Czarny i biały jadący bryczką.

– Nie widzę problemu – powiedział Copeland. – Jeden z was wysiądzie z powozu i pojedzie na koniu.

– Lepiej, żebym to był ja – powiedział Troy. – On ma chorą nogę i właśnie dlatego jedziemy tą bryczką.

Przez dalszą drogę Troy jechał konno, a Francis Meriam siedział obok Shawa. Miasto położone było w miejscu, gdzie Shenandoah wpadała do Potomacu. Miejsce spotkania się tych dwóch rzek w daleka kształtem przypominało klamrę. Ściśnięte domy, bary i sklepy rozciągały się wzdłuż brzegów obu rzek i wspinały się na zbocza Bolivar Heights. Kiedy przejeżdżali ulicą o nazwie Potomac zatłoczoną końmi, bryczkami i powozami, Copeland objaśniał im widoki.

– Widzicie te budynki wzdłuż ulicy, które wyglądają jak zakłady przemysłowe? To właśnie fabryka broni. Zaczyna się tam, przy tej pompie strażackiej, i ciągnie przez całą długość ulicy. A tamto to zakłady metalurgiczne, maszynownia i magazyn. Ten duży budynek to arsenał, gdzie trzymają całą broń.

– Gdzie wytwarza się amunicję?

– To jest w Hall's Rifle Works, jakieś pół mili dalej przy ulicy Shenandoah. Widzisz? To na tej małej wyspie niedaleko prawego brzegu rzeki. Na zewnątrz przy wejściu dzień i noc stoi dwóch strażników. Ale jest ich zbyt mało, by odeprzeć nagły atak.

To właśnie nurtowało Troya. Dlaczego McCulloch spośród wszystkich fabryk wybrał właśnie tę? Dlaczego tutaj prowadzi swoją nielegalną produkcję? Musiał przecież pamiętać z historii, że John Brown zorganizował napad na tę fabrykę. O tym pisano we wszystkich książkach. Niemożliwe, żeby o tym nie wiedział; wiedząc zaś, musiał przedsięwziąć jakieś środki ostrożności. Najprawdopodobniej przygotował zasadzkę, ale z drugiej strony John Brown wiedziałby o tym. Pracował przecież tutaj przynajmniej jeden z jego ludzi, John Cook... Trudno było to wszystko ze sobą powiązać.

Nikt nie zwracał na nich uwagi, kiedy przejeżdżali obok Harper's Feny, a później wjechali na most na Potomacu. Był to jednocześnie most kolejowy i kiedy byli na środku, minął ich pociąg "B and O", trzęsąc całą konstrukcją i pozostawiając po sobie kłęby dymu. Zaraz za mostem skręcili na najbliższej rogatce w wąską dróżkę. Kiedy upewnili się, że nikt za nimi nie jedzie, Copeland zaprowadził ich do znajdującej się u stóp góry kryjówki: rozwalającego się dwupiętrowego domu. Przed domem w ogrodzie warzywnym pracowały dwie dziewczyny, które pomachały rękami do zbliżających się mężczyzn. Kiedy przywiązywali konie, w drzwiach stanął drobny mężczyzna z siwą

brodą. Miał pooraną bruzdami twarz i grube, popękane wargi.

– Panie Brown, przyprowadziłem ochotników, którzy chcą do nas dołączyć – powiedział Copeland.

– Witam was wszystkich. Wejdźcie do środka i poznajcie się z pozostałymi.

Skinął głową do każdego z nich, gdy przechodzili obok. Miał ponurą minę i mocno zaciśnięte wargi, na których nie było śladu uśmiechu. Gdy Troy wchodził do domu, John Brown położył rękę na jego ramieniu i powiedział miękko głosem:

– Przyłączasz się do tej świętej wyprawy, by oswobodzić swój naród.

Troy skinął głową i wszedł do domu. Nie było niczego, co mógłby dodać do tych słów.

Małe pomieszczenie było wypełnione mężczyznami. Łącznie z nowo przybyłymi było ich dwudziestu czterech. Po przywitaniu się i przedstawieniu, Francis Meriam sięgnął do torby i wyjął portfel.

– To dla pana, panie Brown, na ten szlachetny cel. Wysypał złote monety. John Brown klasnął w rękę i pochylił głowę.

– Podziękujmy Panu – powiedział. – Podziękujmy Mu za tych ludzi i za złoto. To jest znak, pewny znak, że Jego wola jest, byśmy ruszyli teraz. – Popatrzył po twarzach mężczyzn wpatrzonych w niego błyszczącymi oczami aniołów zemsty. – Nadeszła pora czynu i tak będzie. W Dzień Pański rzucimy się na bezbożnych. Uderzymy. Jutro! Bóg wyróżnił bardzo niewielu ludzi łaską tak wielkiej, radującej duszę nagrody, jaka będzie nam dana. Zdobędziemy broń, nasi czarni bracia powstaną w wielkim gniewie i zniszczą swych ciemnych. Niech się stanie!

Niech się stanie, pomyślał Troy. Ale jaka będzie rzeczywistość? Jeżeli żołnierze zastawili pułapkę, ta garstka szalonych mężczyzn zostanie zmasakrowana. Czy mógł ich powstrzymać? A co ważniejsze – czy powinien to zrobić? Czy można było zmienić historię, a jeśli tak, to jakie mogły być tego konsekwencje?

McCulloch próbował to zrobić i stworzyć świat, jaki jemu odpowiadał, sprawić, by niewolnictwo trwało w nieskończoność. Nie!

Możliwe, że płomienna przemowa Johna Browna wywarła na niego taki sam wpływ, jak na innych. Rozumiał teraz ich ogromną nienawiść do instytucji niewolnictwa. Chcieli Ameryki, w jakiej on się wychowywał. Nie była wprawdzie doskonała, ale wiedział, że nie ma doskonałych społeczeństw ani instytucji. Ale na Boga, jego Ameryka była lepsza niż ten niewolniczy stan, część kraju, w którym połowa mieszkańców była wolna, a drugą połowę stanowili niewolnicy. Będąc tutaj, żyjąc tutaj, był w stanie zrozumieć – nie tylko zresztą zrozumieć, ale i czuć – przyczyny tej okropnej wojny, która miała nadejść. Żadne państwo nie mogło dalej istnieć z takim wyniszczającym podziałem. Ta straszna wojna miała zdecydować o dalszym istnieniu tego kraju. Jeśli on się nie włączy, właściciele niewolników mogą wygrać. Świat, który znał, może nigdy nie istnieć. Tak nie może być, tak nie będzie!

Czuł jednocześnie, że nie może stać bezczynnie, kiedy ci szlachetni ludzie popełniają samobójstwo. Był ich dłużnikiem, dłużnikiem ich sprawy i winien im być przynajmniej jakieś ostrzeżenie. Możliwe, że zmieni to historię, ale oni przecież zasługują na coś lepszego niż rzeź.

Przy najbliższej okazji odszukał Johna Browna i odciągnął go na bok.

– Panie Brown, czy mógłbym z panem porozmawiać przez chwilę?

– Oczywiście, jestem do twoich usług. Możemy pójść do kuchni, tam jest spokojniej.

Usiedli przy ogniu. John Brown wyciągnął rękę, by je ogrzać i pogrążył się w myślach o przyszłości. Widział triumf swego ruchu. Troy zastanawiał się, jak go ostrzec, nie zdradzając przy tym źródła swojej wiedzy.

– Czy zna pan pułkownika McCullocha z Richmond? – zapytał.

– Znam, chociaż nigdy się z nim nie spotkałem. To zły człowiek. Powiedziano mi, że zabił jednego ze swoich niewolników. Niech Bóg ukarze go w swym gniewie!

– Niech się tak stanie. Ale mam pewne informacje, że McCulloch odkrył to, co planujecie. Może zastawić pułapkę, w którą wszyscy wpadniemy.

– Dzięki, że mi o tym mówisz, ale nas chroni Bóg. Byli już tacy, którzy próbowali nas zdradzić. Jedni z wzniosłych przyczyn, inni dla pieniędzy, ale im się to nie udało. Z tej prostej przyczyny, mój synu, że Bóg jest z nami i nas chroni. Dziękuję ci za ostrzeżenie przed machinacjami tego złego człowieka, ale on nie zdoła nas pokonać. Plan został już ułożony, ludzie się zebrali i broń jest gotowa. Wyruszamy jutro. A czy ty pójdziesz z nami?

Troy zawahał się, ale skinął głową. Nie miał wyboru, żadnego wyboru.

– Tak, pójdę z wami.

Może ta chwila była mu przeznaczona, odkąd poszedł za McCullochem w ten czas i w to miejsce? Widocznie historia była już napisana i nie można jej było zmienić.

Obojętnie, co ma się stać, dowie się o tym już jutro. Nie mógł niczego przewidzieć. Przez pół nocy nie spał, zastanawiając się nad tym problemem. W końcu zapadł w sen, nie znalazłszy rozwiązania.

Wstali o świcie. John Brown wezwał ich do największego pomieszczenia na wspólną modlitwę. Najpierw przeczytał wszystkie urywki z Biblii dające nadzieję niewolnikom, a potem poprosił ich, aby przyłączyli się do niego w modlitwie do Boga o pomoc w zruceniu łańcucha niewoli. Później wyjaśnił zgromadzonym plan ataku. Troy zaczął żałować, że nie poświęcono mniej czasu na modlitwy, a więcej na zbadanie terenu. Nie potrzeba było znajomości historii, by wiedzieć, że cały plan był z góry skazany na niepowodzenie. Zamierzali zaatakować i utrzymać rządową fabrykę broni – to było wszystko. Nie pomyślano o żadnym odwróceniu na wypadek kontrataku ze strony oddziałów rządowych. Najbardziej liczone na niewolników, ale nie byli oni zorganizowani, nikt ich nie ostrzegł. Wszelkie próby przekonania Johna Browna, by przedsięwziął pewne środki ostrożności lub opracował jakieś alternatywne plany, kończyły się jego stwierdzeniem: Bóg nas prowadzi i On nas ochroni.

Kiedy wydawano dyspozycje dotyczące bitwy, Troy nie miał trudności z uzyskaniem pozwolenia na poprowadzenie ataku na Hall's Rifle Works. Stacjonowały tam jedyne w mieście oddziały rządowe i żaden z ochotników nie palił się, by stawić im czoła. Shaw dołączył do niego.

To było wszystko. Plan był gotowy, kości rzucone. Przez cały dzień wszyscy czuli wzrastające napięcie. O ósmej wieczorem John Brown zebrał ich ponownie.

– Nadeszła już pora. Zaklinam was, kiedy będziecie atakować, nie przelewajcie niepotrzebnie krwi, ale też nie wahajcie się, kiedy przyjdzie wam się bronić. Niektórzy z nas zostaną zabici, a może wszyscy zginiemy w walce o wolność i sprawiedliwość na tej zhańbionej niewolnictwem ziemi. Mamy tylko jedno życie i tylko raz możemy je stracić, ale pamiętajcie, że nawet gdybyśmy mieli umrzeć, będzie to o wiele lepsze dla naszej sprawy niż życie w niewoli.

Wszyscy pochyłili głowy w ostatniej modlitwie. Później John Brown podniósł się z kolan i stanął przed nimi. Z rękami podniesionymi do góry, błyszczącymi oczami i siwą brodą wyglądał jak anioł zemsty zesłany przez Boga. Wierzył, że nim jest.

– Weźcie broń! – krzyknął. – Idziemy na Ferry!

ROZDZIAŁ 32

John Brown jechał na przodzie na wozie załadowanym dzidami, które miały być narzędziem wyzwolenia niewolników. Reszta uroczyście szła za wozem, jakby był to orszak pogrzebowy maszerujący wiejską drogą w kierunku rzeki Potomac. Noc była zimna i ciemna i nie uszli daleko, kiedy drobna mżawka ochłodziła ich jeszcze bardziej. Stroma, mokra droga wiała się spod samego szczytu wzgórza, mijala pojedyncze farmy i opadała w dolinę. Przed nimi migotały światła Harper's Ferry. Robbie widział je wyraźnie, gdyż ze względu na swoją nogę jechał na wozie. Ścisnął kurczowo leżące między nogami torby i drżał z zimna.

Każdy z nich wiedział dokładnie, co ma robić podczas szturm. Maszerowali w milczeniu wzdłuż kanału płynącego równoległe do rzeki Potomac, a kiedy most był już blisko, zatrzymali się. Dwaj mężczyźni wyznaczeni wcześniej do przecięcia drutów telegraficznych zniknęli w ciemnościach, by wykonać swoje zadanie. Dwaj następni przebiegli szybko przez most i uprowadzili stojącego na drugim końcu stróża.

Droga była wolna. Kolumna w milczeniu przeszła przez most i ulicę, zachowując szczególną ostrożność przy mijaniu latami koło domu gry Galt House i hotelu Wagner House. Kilku mężczyzn zostało przy moście na rzece Shenandoah, a główna siła skierowała się na arsenał i budynki fabryki pilnowane przez jednego starego strażnika. Złapali go i sprawdzili pozostałe budynki. Innych strażników nie znaleźli. Podczas gdy przeszukiwano teren wokół budynków, Brown skierował palec na przerażonego więźnia.

– To niewolniczy stan – powiedział – a ja uwolnię wszystkich czarnych w tym stanie. Jestem teraz w posiadaniu rządowej fabryki broni i jeśli jakikolwiek obywatel będzie chciał mi przeszkodzić, spalę to miasto i poleje się krew.

Powiedziawszy to, skinął na Troya i pozostałych, którzy mieli zaatakować Hall's Rifle Works, jedyny budynek jeszcze nie zabezpieczony. Kiedy szli szybko ulicą Shenandoah, Troy wpatrywał się uważnie w brzeg rzeki. Zobaczywszy to, co chciał, podniósł rewolwer i zatrzymał pozostałych.

– Przy bramie wejściowej są strażnicy i może nam się nie udać ich zaskoczyć. Podejdźcie w stronę bramy. Jeśli zaczną strzelać, by was przepędzić, cofnijcie się i osłaniajcie mnie ogniem. Chcę podpłynąć tą łódką i zaatakować ich od tyłu. Ruszajcie!

– Idę z tobą – powiedział Shaw. Troy potrząsnął głową.

– Nie, Robbie, będziesz o wiele bardziej użyteczny, jeśli pozostaniesz tutaj. Powinieneś również zaopiekować się torbami. Niczego nie wiem o tych ludziach, ale ciebie znam i wiem, że potrafisz odciągnąć uwagę żołnierzy. Jeśli skoncentrują się na tobie, może uda mi się wtargnąć na tyły. Zrobisz to?

– Oczywiście. Ile czasu potrzebujesz?

– Tylko kilka minut, by dostać się na miejsce. – Kiedy pozostali odeszli, ściszył głos tak, by tylko

Shaw go usłyszał: – McCulloch może wiedzieć o tym napadzie, więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że przygotowali zasadzkę. Uważaj na siebie.

– Ty również. Powodzenia!

Troy wyjął nóż, przeciął nim linę, którą łódka była przywiązana do brzegu, odepchnął ją i wskoczył do środka. Przesunął po omacku ręką po pełnym wody dnie i wyciągnął wiosło. Tylko jedno. Musiało jednak wystarczyć. Odepchnął nim łódkę na głębszą wodę. Poczł, że prąd unosi ją w kierunku wyspy. Za budynkiem zauważył ledwo widoczną ciemną plamę błota lub piasku i skierował tam łódkę, czując jednocześnie, że jest już na mieliźnie. Kiedy wyskoczył na brzeg, usłyszał strzały z

rewolweru. Rozpoczął się atak.

Rękami po omacku natrafił na krzaki rosnące przy brzegu; przywiązał łódkę do jednego z nich, słysząc odległe krzyki i coraz częstsze strzały. Żołnierze musieli stawiać silny opór. Ale od tej strony budynku było cicho i ciemno. Zauważył okna, były jednak zbyt małe i za wysoko nad ziemią, by można było wybić szybę i dostać się do środka. Niedobrze. Musiało być jakieś inne wejście. Przebiegł wzdłuż ściany, trzymając w dłoni rewolwer gotowy do strzału. Nic.

Dopiero kiedy skręcił za rogiem, spostrzegł w murze małe drzwi. Gdy podbiegł do nich, strzały nagle się nasiliły, a po chwili umilkły. Czyżby atakującym udało się sforsować wejście? Nie, zostali odparci, ponieważ wymiana ognia rozpoczęła się na nowo, na razie tylko pojedynczymi strzałami. Musiał dostać się do budynku.

Solidne drewniane drzwi były zamknięte i nie dały się otworzyć, nawet kiedy napał na nie całym ciężarem swego ciała. Był tylko jeden sposób, by je sforsować. Bardzo hałaśliwy – musiał więc działać szybko.

Wystrzelił dwukrotnie, kierując lufę w zamki, i pchnął ramieniem drzwi. Drgnęły. Usłyszał zgrzyt ocierających się o siebie części zamka i drzwi otworzyły się. Troy rzucił się do środka i przeturlał za stertę paczek. Nikt do niego nie strzelał. Na razie.

Znajdował się w dużym pomieszczeniu zapełnionym stertami skrzyń. Na przeciwległej ścianie zarzyła się nikłym żółtym płomieniem mała lampa. Cisz. Istniało duże prawdopodobieństwo, że był sam. Musiał iść dalej, gdyż leżąc i chowając się, niczego nie zyskiwał.

Powoli podniósł się, trzymając rewolwer gotowy do strzału i podbiegł do drzwi znajdujących się na drugim końcu pomieszczenia. Nagle drzwi otworzyły się i zobaczył w nich ciemną postać.

Nie było czasu na myślenie. Instynktownie rzucił się na podłogę, przeturlał się w kurzu i leżąc wyciągnął rękę z rewolwerem.

Od strony drzwi posypał się grad kul rozrywających drewnianą podłogę tuż obok niego. Mógł jedynie wycelować broń w ziejącą ogniem paszczę i naciskać spust tak długo, jak długo starczyło mu naboń. Czekał na odpowiedź przeciwnika.

Nie nadeszła. W ciszy wyraźnie usłyszał szelest materiału ocierającego się o drewno i zaraz potem odgłos padającego na podłogę ciała. Światło lampy wiszącej nad trupem odbijało się w jego otwartych, nieruchomych oczach.

Na jego piersi błyszczała stal półautomatycznego pistoletu.

Troy bez zastanowienia wsunął swój rewolwer za pas i wyszarpnął Stena z zaciśniętych palców żołnierza. Zobaczył przed sobą pusty korytarz i szereg zamkniętych drzwi. Chwila zastanowienia. Trzymając nad głową pistolet z palcem na spuście, przesunął lewą ręką po martwym żołnierzu i znalazł zatknięte za pas dwa magazynki. Wyjął je i upewniwszy się, że są pełne, wsadził je za swój pas, po czym pobiegł naprzód i jednym kopnięciem otworzył drzwi po drugiej stronie korytarza.

To była rzeź. Uzbrojeni w rewolwery i strzelby mężczyźni stojący w oknach odwrócili się w jego stronę, dopiero kiedy otworzył ogień.

Grad kul zdążył przeciąć ich na pół, zanim skończyły mu się naboje. Włożył nowy magazynek i skierował lufę w kierunku rannego mężczyzny, który usiłował podnieść strzelbę. Zabił go.

Każdy z nich był żołnierzem. Każdy, którego zabił – czy raczej zamordował. Żołnierze Armii Stanów Zjednoczonych. Ciężko dysząc, zmusił się do przypomnienia sobie, że byli zdrajcami. Zdradzili rząd, złamali przysięgę. Wszyscy byli fanatykami Południa, wszyscy brali udział w spisku mającym na celu obalenie Unii.

Nagle wszystko ucichło. Ogień na zewnątrz budynku został przerwany. Powoli wycofywał się

tyłem do drzwi, trzymając w ręce pistolet gotowy do wyrzucenia z siebie gradu kul. Nikt nie ocalał.

Cały czas obserwując pomieszczenie, jedną ręką zdjął z drzwi drewniany skobel.

– To ty? – usłyszał dobiegający z ciemności głos.

Był to głos Shawa.

– Tak, chodź tutaj. Jestem pewien, że cały opór został złamany.

Na zewnątrz leżało dwóch martwych strażników. Shaw przeszedł nad ich ciałami, otworzył szerzej drzwi i wszedł, dźwigając torby.

– Jak było? – zapytał Troy.

– Niedobrze. Strażnicy zobaczyli nas i otworzyli ogień. Musieliśmy się wycofać. Potem wróciliśmy i dopadliśmy tych dwóch, ale strzały postawiły na nogi żołnierzy w środku. Wiesz, co było później.

– Wiem. Dostałem się tylnym wejściem. Miałem szczęście.

– Dwóch naszych nie żyje, jeden jest ranny, a jednemu nic się nie stało.

– Idź do niego i powiedz, żeby zabrał tego rannego do Johna Browna. Niech zamelduje, że zdobyliśmy Hall's Rifle Works.

– Dobrze.

Troy czekał z pistoletem w dłoni na powrót Shawa.

– Zarygluj drzwi – powiedział rozkazująco. Shaw zrobił to, patrząc na zmasakrowane ciała.

Później spojrzął na Troya i wskazał palcem pistolet.

– Czy to ten pistolet, o którym mówiłeś?

– Tak, widziałeś, czego potrafi dokonać. Co sądzisz o armii rebeliantów uzbrojonych w taką broń?

– Słodki Jezu – wyszeptał Shaw. – Czy nie za późno?

– Nie sądzę. Istnienie tej broni jest nadal tajemnicą. Bardzo prawdopodobne, że ciągle jeszcze magazynują te pistolety tutaj. Sprawdźmy. Weź to.

Wręczył mu pistolet półautomatyczny. Shaw przyjął go niechętnie.

– Nie znam się na czymś takim – powiedział.

Troy zmarszczył brwi.

– Nie musisz się znać, ten pistolet może obsługiwać każdy. Jest teraz naładowany i wystarczy, że naciśniesz spust. Rozpryskuje śmierć. Osłaniaj mnie teraz.

Zanim zaczęli poszukiwania, Troy ostrożnie naładował swój rewolwer. Kiedy sprawdzali kolejne pomieszczenia, Shaw stał, trzymając Stena gotowego do strzału. W budynku nie było nikogo więcej. Upewnili się co do tego, gdy weszli do wartowni. Troy wskazał ręką na łóżka.

– Osiem. Ośmiu zabitych żołnierzy. Mamy ich wszystkich, mimo to nie chcę ryzykować.

Połowę prac związanych z produkcją broni wykonywały maszyny. Zobaczyli wiertarki z długimi wiertłami do robienia luf i stalowe wytlaczarki do formowania naboju. W tyle znajdowały się magazyny wypełnione sztabami metalu i innymi surowcami, a także zaplombowane pomieszczenie, które okazało się składem baryłek prochu i skrzyń z piorunianem do produkcji kapiszonów. Obok był duży magazyn z potężnymi, zamkniętymi drzwiami. Kwadrans męczyli się nad rozbiciem zamków łomami. Kiedy ostatecznie udało im się otworzyć drzwi, Troy wszedł pierwszy, trzymając w górze lampę.

Pomieszczenie zapchane było skrzyniami poukładanymi w sterty piętrzące się od podłogi prawie do sufitu. Podeszli do najbliższej, jeszcze nie zaplombowanej, i zajrzeli do środka.

Skrzynia była wypełniona starannie zapakowanymi mosiężnymi pudełkami z kulami.

W następnej były Steny.

– Czy to jest właśnie to, czego szukałeś?

– Tak. Maszyny do produkcji tej broni, pistolety i naboje. Wszystko w jednym miejscu. Lepiej być nie mogło. Musimy to maksymalnie wykorzystać. – Rozejrzał się powoli dookoła. – Lepiej od razu zabierzmy się do roboty, żebyśmy zdążyli przed świtem.

– Co chcesz zrobić?

– To chyba jasne. Wysadzić tę maszynę, spalić to miejsce, zniszczyć wszystko. A kiedy to zrobimy, zajmiemy się McCullochem. Koniec z uciekaniem. Muszę go znaleźć i zabić.

ROZDZIAŁ 33

– Zniszczenie fabryki tak, by już nigdy nie wznowiono tutaj produkcji, będzie cię kosztowało wiele pracy – powiedział Robbie Shaw.

– Dlaczego? Czy spalenie jej nie wystarczy?

– Wziąwszy pod uwagę, że niektórym ludziom bardzo zależy na produkcji tych pistoletów, pożar będzie dla nich tylko drobną, tymczasową przeszkodą.

– Robbie uderzył ręką w ramię jednej z dużych wiertarek. – Te rzeczy zrobione są z lanego żelaza i stali. Widziałem, jak wyjęto je ze zgliszczy spalonego budynku, który się zawalił, oczyszczono z kurzu, nasmarowano i w ciągu dwudziestu czterech godzin wznowiły swoją pracę.

– Co zatem proponujesz? – zapytał Troy.

– Zrobimy to, co nasi francuscy kuzyni nazywają "sabotage", czy absolutną fuszerkę. Zepsujemy te maszyny tak, że nie będą się nadawały do naprawy. Najłatwiej powinno nam pójść z wyłaczarkami do na: boi, gdyż są najdelikatniejsze i praktycznie niezastąpione. Wytwarzane są w Szkocji na specjalne zamówienie. Nafaszerowanie każdej z nich czarnym prochem powinno wystarczyć.

– W porządku. Ja przygotuję ładunki, a ty pokażesz mi, gdzie je włożyć. Rozsypimy również trochę prochu na pudełka z nabojami, by mieć pewność, że eksplodują. Pozostaje tylko problem samych pistoletów; są dosyć trwałe. Nawet jeśli spalimy skrzynie, to nie mamy pewności, że znajdująca się w środku broń nie będzie się nadawała do użytku. Mogą je wyczyścić, a jeśli mają gdzieś drugi magazyn amunicji, cała nasza praca pójdzie na marne.

– Do rzeki z nimi! Kilka dni w wodzie i już nic nie da się z tymi pukawkami zrobić.

– Zgoda, zróbmy to, ale trochę tego tutaj jest. Z grubsza biorąc, kilka tysięcy pistoletów.

– Więc najwyższy czas, byśmy się wzięli do roboty – powiedział Shaw, zdejmując płaszcz. – Zobaczymy, ile z nich pójdzie na dno, nim zacznie świtać.

To była wyczerpująca praca. Gdy tylko skończyli faszerowanie maszyn prochem, zabrali się za pistolety. Otwierali skrzynie, brali Steny i taszczyli je przez boczną bramę do rzeki. Wydawało się, że ta praca nie ma końca. Ciągle jeszcze pozostało im wiele do zrobienia, kiedy na wschodniej stronie ujrzeni pierwsze promienie świtu. Deszcz przestać padać, ale niebo ciągle jeszcze było zachmurzone. Troy oparł się o skrzynię, sapiąc ze zmęczenia.

– Wystarczy... – powiedział. – Resztę musimy wysadzić i pomyśleć o wydostaniu się stąd. – Zawahał się, patrząc na Shawa. – Musimy być daleko, nim zacznie świtać. Bunt jest skazany na niepowodzenie. Próbowałem o tym powiedzieć Johnowi Brownowi, ale nie chciał mnie słuchać. Każdy biorący udział w tym ataku, każdy kto nie uciekł, zostanie zabity. Jestem tego absolutnie pewien.

– Skąd o tym wiesz?

– Nie mogę ci tego powiedzieć. Proszę cię, Robbie, uwierz mi na słowo. Musimy uciekać. Weźmiemy łódź, gdyż budynek od strony lądu na pewno będzie obserwowany.

Usłyszeli pojedyncze strzały; oznaczało to, że nie mogą się wycofać tą samą drogą, którą przybyli.

– Zgoda, zróbmy tak, jak mówisz. W przeciwieństwie do naszego przyjaciela Browna nie mam zamiaru ginąć jak bohater.

Ostrożnie, by nie spowodować przedwczesnego wybuchu, wycofywali się z pomieszczenia, pozostawiając za sobą kilka usypanych z prochu ścieżek, które łączyły się ze sobą przy wyjściu. Pozostawało im tylko położyć na pół opróżnione beczki z prochem na skrzynie z pistoletami, których

nie zdążyli wrzucić do rzeki. Kiedy Troy postawił lampę na ziemi, zobaczył na tle nieba kontury budynku.

– Zaczynamy. Za tą ścianą powinniśmy być bezpieczni w chwili wybuchu. Gdy tylko upewnimy się, że magazyn płonie, wycofujemy się do łodzi. Weźmy to ze sobą. – Włożył torby i naładowanego Stena do łodzi. – Ta broń daje nam równe szansę, jeśli musielibyśmy się bronić. Gdyby nas nie zaatakowali, zrobimy z nim to samo co z resztą pistoletów. Nasze pistolety powinny nam wystarczyć. Jesteś gotów?

– Tak, zaczynaj.

Troy rozbił szklany klosz lampy i rzucił płonący knot na podsypkę prochu. Mocno przyłgnęli do ściany. Trzaskający płomień powoli zbliżał się do drzwi budynku, po czym zniknął wewnątrz.

Chwilę później kilka eksplozji wstrząsnęło ścianą, przy której stali. Z rozbitych okien zaczęły wydostawać się płomienie i czerwonawy dym, który oznaczał, że ogień dotarł już do beczek z prochem.

– Udało się! – wrzasnął Troy, starając się przekrzyczeć szalejący żywioł.

Pobiegli do brzegu, odepchnęli łódź i wskoczyli do niej. Troy chwycił wiosło i z całych sił rozgarniając nim wodę, kierował łódź na środek rzeki. Mimo iż na brzegu nie zauważyli nikogo, nie zwolnił tempa wiosłowania, aż znaleźli się w bezpiecznej odległości od wyspy. W półmroku trudno byłoby ich teraz dostrzec.

Troy, dysząc ciężko z wysiłku, z ulgą oddał wiosło Shawowi i od tej chwili wiosłowali na zmianę, aż dostrzegli ciemny zarys drugiego brzegu. Za nimi płonęła fabryka broni. Przed nimi z pierwszych szarych promieni świtu wynurzał się ład.

– Czy widzisz coś na brzegu? – spytał Shaw.

– Nie. Wygląda na to, że są tam same łąki, ale do drogi nie jest daleko.

– Jeśli ktoś by tam był, zdążyłby nas już zauważyć.

Było cicho i plusk wiosła uderzającego o wodę był jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, zbliżając się do brzegu. Po chwili dno łodzi otarło się o piasek. Nie słychać było niczego oprócz żalostnego kwilenia ptaka. Siedzący na rufie Shaw odpychał mocno wiosłem łódź, a Troy wyskoczył, by wyciągnąć ją na brzeg.

– Dobra – powiedział. – Ja przywiążę linę, a ty... – Przerwał nagle, widząc rozszerzone przerażeniem oczy Shawa.

Rozległ się strzał. Shaw przycisnął dłonie do zalanej krwią twarzy i upadł.

Troy odwrócił się, chwytając rewolwer wetknięty za pas, ale nie zdążył go już wyjąć.

– Jeśli wyciągniesz tę spluwę, będziesz równie martwy jak ten twój miłujący czarnuchów przyjaciel!

Troy powoli poniósł ręce do góry i spojrzał na stojącego na brzegu mężczyznę, który mierzył z rewolweru w jego głowę. To był pułkownik McCulloch.

– Dostał to, na co zasłużył. Robbie Shaw przyjął gościnność mego domu, by wydać mnie tobie. Dziesięciokrotnie zasłużył na śmierć – wycedził lodowatym, wściekłym głosem McCulloch.

– Nie musiałeś go zabijać! – krzyknął równie wściekły Troy. – Nie było takiej potrzeby! Za późno, by nas powstrzymać. Widzisz ogień? To płonie Hall's Rifle Works. Wszystkie twoje pistolety, cała amunicja, wszystko stoi teraz w płomieniach.

– Tak, widzę ogień. Widziałem go z drogi. Widziałem płomienie i was na ich tle. Właśnie dlatego tutaj jestem i dlatego cię zabiję, czarnuchu.

– Nazywam się Harmon, sierżant Troy Harmon. Chcę, byś o tym pamiętał, pułkowniku. Chcę, byś pamiętał o czarnym, który poszedł za tobą, cofnął się o ponad sto lat, by zniweczyć twój szalony

plan.

– Nie jest on aż tak szalony, Harmon – powiedział McCulloch, z trudem panując nad wściekłością. – Wciąż jeszcze mam szkice i wkrótce te dwie fabryki, które spaliłeś, zostaną odbudowane. Ludzie, którzy pomagali mi do tej pory, pomogą i tym razem i znajdziemy jakieś inne miejsce do produkcji pistoletów. To tylko chwilowe opóźnienie. Wciąż jeszcze pozostało trochę czasu.

– Tylko do kwietnia sześćdziesiątego pierwszego roku; później twój czas się skończy.

– Na twoim miejscu nie martwiłbym się tym. Twój czas kończy się już teraz. Przysporzyłeś mi wiele problemów, ale wszystkie one skończą się w chwili, gdy pociągnę za spust. Czasu wystarczy ci na krótką modlitwę do tego twojego Boga czarnuchów. Posłuchamy tej modlitwy, chłopcze...

Troy wyprostował się powoli, opuszczając ramiona i powiedział pełnym pogardy głosem:

– Jesteś podłym, szalonym rasistą, McCulloch. Przynosisz hańbę temu krajowi i mundurowi, który nosisz. Uważasz, że człowiek, który ma inny kolor skóry lub wyznaje inną religię, jest kimś gorszym od ciebie. Chętnie splunąłbym ci w twarz, ale to nie jest warte wysiłku.

– Mądre słowa, czarnuchu. Być może nie zabiję cię, jeśli zaczniesz błagać o życie...

Troy wybuchnął śmiechem.

– Nic nie wiesz, zaszary Południowcze. Zastrzel mnie i niech cię szlag trafi!

McCulloch wymierzył lufę w twarz Troya i powoli odciągnął kurek. W obliczu nieuchronnej śmierci Troy był sparaliżowany do tego stopnia, że nie odczuwał nawet strachu.

– Żebrz – powiedział McCulloch. – Błagaj o życie!

– Pozbawię cię tej przyjemności, ale mam do ciebie prośbę.

– Żadnych prośb.

– To drobnostka. Powiedz mi, dlaczego zdecydowałeś się produkować amunicję w Harper's Ferry? Wiedziałeś przecież o Johnie Brownie...

Jego słowa zagłuszyła seria z pistoletu maszynowego głośno rozrywająca ciszę budzącego się dnia.

ROZDZIAŁ 34

Troy spoglądał z niedowierzaniem na rozrywane kulami ciało McCullocha. Pułkownik zwinął się, rewolwer wypadł mu z dłoni i z głuchym łoskotem potoczył się w dół wprost pod nogi Troya. Oczy pułkownika były otwarte, ale nie widziały już niczego. Kiedy McCulloch po raz ostatni wciągnął powietrze do płuc, z jego poranionej piersi dobyło się rżenie.

– Kto to jest... John Brown? – wyszeptał.

I umarł.

– Podaj mi rękę, Troy – powiedział Shaw i opadł z powrotem do łódki.

Jego twarz przypominała krwawą maź. Był tak słaby, że nie mógł utrzymać Stena, który zsunął mu się z ud.

Troy opuścił nagle bezwład, który ustąpił miejsca elektryzującej chęci życia. Wskoczył do łódki, chwycił Shawa za ramiona, wyciągnął go na brzeg i ułożył wygodnie na trawie obok ciała McCullocha. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że łódka zaczyna – dryfować od brzegu, więc wskoczył do wody, chwycił linę i przyciągnął ją z powrotem na piasek. Z łódki wyciągnął torby, otworzył je i zaczął szukać lekarstw.

– Dostałem w czubek głowy – powiedział Shaw, kiedy Troy zakładał mu opatrunek. – Takie rany zawsze silnie krwawią. Jak oberwałem, straciłem przytomność. Później ocknąłem się, a leżąc twarzą na dnie tej przeklętej łodzi, czułem się tak, jakby połowa mojej głowy gdzieś zniknęła. Ale my, z rodziny Shawów, zawsze byliśmy znani z niezwykłej twardości czaszek. W każdym razie kiedy przestałem się nad sobą użalać, byłem bardzo szczęśliwy, że mimo wszystko nadal żyję. Co prawda niewiele widziałem, ale za to słyszałem dobrze. Głos pułkownika dochodził z tego samego miejsca, z którego do mnie strzelał. Reszta, jak powiadają, to już historia. Moje ręce nadal ścisnęły broń, ale minęło trochę czasu, zanim zdałem sobie z tego sprawę. Zrobiłem wszystko tak, jak mi kazałeś i mi się udało. Przykro mi tylko, że tak długo to trwało. Chciałem jednak mieć pewność, że on jest skoncentrowany tylko na tobie, by spokojnie zrobić to, co zamierzałem.

– Nie wiem, jak ci dziękować...

– No to nie dziękuj w ogóle. – Zamilkł na chwilę, wpatrując się w twarz Troya. – Wiele z tego, o czym rozmawialiście, dotarło do moich uszu.

– Tak?

Troy przewrócił ciało McCullocha, znalazł nie zakrwawiony kawałek koszuli, oddał go, zanurzył w wodzie, wycisnął i zaczął ścierać nim krew z twarzy Shawa.

– Czy w tym, co mówiliście, była choć odrobina prawdy? – zapytał Shaw.

– Nawet jeśli tak, to czy ci to coś da? Opowiesz o tym komuś? Napiszesz do gazet?

– Musisz przyznać, że to niezwykła historia.

– Czy sądzisz, że ktokolwiek by ci uwierzył? Ja oczywiście wszystkiemu bym zaprzeczył.

– Rozumiem. – Shaw westchnął. – Nikt by mi nie uwierzył i żadna gazeta by mi tego nie opublikowała. Obiecuję ci więc, że nie pisnę słówka na ten temat. Zawdzięczam ci życie, tak jak ty zawdzięczasz mi swoje i to zacieśnia więź między nami. Ale jeśli obiecuję dotrzymać tajemnicy, opowiesz mi o tym wszystkim? Czy wy obaj naprawdę przybyliście tu z przyszłości?

Troy zawahał się, ale w końcu powoli skinął głową, czując ulgę, że nareszcie może się z kimś podzielić tą straszną tajemnicą.

– Poszedłeś za nim, tak? To było bardzo odważne z twojej strony.

– Odważne? Nie wiem. To po prostu musiało być zrobione. On przybył tu z tą bronią, która mogła zapewnić zwycięstwo właścicielom niewolników. Chciał zmienić historię, a do tego nie

mogłem dopuścić.

– Nadchodzi więc wojna, prawda? – Głos Shawa zadrżał. – Mówiłeś coś o kwietniu sześćdziesiątego pierwszego roku.

– Nie pytaj mnie o daty, proszę cię. Ale wojna przyjdzie z pewnością. Zginą setki tysięcy ludzi, ale Unia zwycięży i zakończy się era niewolnictwa.

– Oby tak się stało. Ale powiedz mi jeszcze jedno, bardzo cię proszę. Jak wygląda przyszłość Szkocji i Anglii? Znasz ją przecież.

Troy wstał i rozejrzał się nasłuchując, ale wokół panowała cisza. Wydawało się, że na razie byli bezpieczni.

– Wolałbym nic nie mówić, Robbie, bo obawiam się, że znając przyszłość, mógłbyś zmienić ją swoimi czynami. Ta przyszłość nie jest zła. Będą wojny, ale twoja ojczyzna pozostanie silna i wolna. Świat się zmieni, wszędzie będą maszyny. Miasta będą ze stali i betonu, wzdłuż ulic biec będą chodniki dla pieszych. Ale ludzie pozostaną tacy sami. Proszę, zakończmy na tym, nie powinniśmy w ogóle o tym mówić.

– Ale jest tyle pytań, które chciałbym ci zadać! Czuję się jak człowiek, któremu obiecano spełnienie trzech życzeń, a który nie może się zdecydować, czego pragnie najbardziej. Sprawy, o których ty wiesz, a ja nigdy się nie dowiem. – Troy nie odpowiedział. Shaw usiadł gwałtownie. – Spróbuję już nic więcej nie mówić, ale wiesz, jak diabelnie trudno będzie mi milczeć.

– Najlepiej zrobimy, jeśli stąd znikniemy, zanim ktoś nas znajdzie. Koń McCullocha musi być przywiązany gdzieś przy drodze.

– A co zrobimy z pułkownikiem?

– Jego ciało nie będzie dziś pierwszym pływającym w tej rzece – powiedział ponuro Troy.

Szybko przeszukał kieszenie McCullocha, zabierając portfel i pęk kluczy. Potem nogą zepchnął ciało pułkownika do rzeki. Zwłoki zatrzymały się na moment na brzegu, ale zaraz spadły z pluskiem do wody. Przez chwilę kręciły się lekko w miejscu, a po chwili prąd rzeki porwał je i podryfowały w dal. Pułkownik wracał do domu, na Południe, które kochał. Troy obserwował ciało, dopóki nie zniknęło mu z oczu, po czym wszedł do łódki i z uczuciem niesmaku spojrzął na półautomatyczny pistolet maszynowy; którego ciemny kształt widoczny był na dnie. Chwycił go i cisnął z całej siły. Broń z głośnym pluśnięciem wpadła do wody i natychmiast utonąła w głębinach rzeki.

Odnaleźli konia McCullocha przywiązanego do drzewa około trzydzieści jardów dalej. Troy pomógł Shawowi wdrapać się na siodło i zaczepił za nim torby.

– Jesteś wystarczająco silny, by jechać konno? – zapytał.

– Chyba tak. Głowa mnie tylko potwornie boli, ale poza tym wszystko w porządku. Masz jakiś plan?

– Tak. Muszę wrócić do Richmond. Słyszałeś, co McCulloch powiedział o szkicach pistoletu. Muszę je znaleźć i zniszczyć. To będzie niebezpieczne, ale nie mam innego wyjścia. Dlatego też nie proszę cię, byś jechał ze mną.

– Nie musisz prosić. Jestem ochotnikiem. Chyba nie myślisz, że zrezygnuję przed zakończeniem tej całej historii? Poza tym jasne jest, że sam nie dasz sobie rady. Będziemy się trzymać bocznych dróg. Nie chcę zbyt często wyjaśniać, skąd wzięty się te bandażę na mojej głowie. Nie sądzę, by pościg za nami był nadal tak zawzięty. Nie po tym, co się wydarzyło.

Kiedy dotarli do miasteczka Culpepper, poczuli się względnie bezpiecznie. Byli daleko od Harper's Feny, więc rana na głowie Shawa nie kojarzyła się nikomu z tamtymi wypadkami. Wyjaśnienie, że spadł z konia i poharatał sobie twarz o leżące na drodze kamienie, zostało przyjęte bez cienia wątpliwości. Kiedy Troy trzymał konia, Shaw wszedł do sklepu i zrobił zakupy. Nabył też

gazetę, jednak przeczytali ją dopiero po wydostaniu się z miasta. Nagłówki na pierwszej stronie mówiły o wydarzeniach w Harper's Feny.

– Już po wszystkim – powiedział Shaw, przebiegając oczami artykuł. – Napad trwał trzydzieści sześć godzin. Potem do akcji wkroczyła grupa specjalna, zdobyła fabrykę i resztę obrońców wzięła do niewoli. Grupę prowadził niejaki pułkownik Robert E. Lee z Drugiego Pułku Kawalerii i porucznik J.E.B. Stuart. Nie słyszałem dotąd o tych ludziach.

– Za to ja słyszałem – powiedział ponuro Troy. – W przyszłości i ty usłyszysz o nich o wiele więcej.

Ale Shaw nie słuchał; czytał dalej, a na jego twarzy malował się wyraz grozy.

– To potworne! Cała walka zamieniła się w jatkę. Wyobraź sobie, że pierwszym atakującym zabitym przez ludzi Browna był Murzyn! Tych, którzy próbowali uciekać, zaszlachtowali miejscowi ludzie. Pamiętasz tego Mulata, Newby'ego? Dołączył do Browna tylko po to, by wyzwolić rodzinę z plantacji w Wirginii. Poderżnęli mu gardło i odcięli uszy na pamiątkę. – Odrzucił gazetę i spojrzał na Troya ze smutkiem. – To dopiero początek, prawda? Będzie takich wypadków więcej.

Troy odwrócił głowę, by nie odpowiadać, ale jego milczenie starczyło Shawowi za odpowiedź. Troy podniósł gazetę i zmusił się do przeczytania artykułów. Nie powiedział Shawowi, że John Brown i reszta ocalałych zostanie osądzona i powieszona. Będzie to miało miejsce dopiero za parę miesięcy, ale wydarzy się na pewno.

Zanim dojechali na obrzeża Richmond, Troy miał już cały plan ułożony w głowie. Przed zapadnięciem zmroku rozbili obóz na małej polance otoczonej gąszczem krzewów i oddalonej nieco od drogi.

– Muszę dostać się do domu McCullocha – powiedział Troy. – W jego portfelu i kieszeniach nie było żadnej wskazówki, gdzie mogą znajdować się szkice, ale wiem, że muszą być gdzieś w tym domu. Wątpię, by je komuś powierzył. Niektóre ze znalezionych przy nim kluczy wyglądają imponująco i prawdopodobnie służą do otwierania kasy pancерnej albo sejfu. Zostań tu, będziesz bezpieczny. Ja wejdę tam szybko i równie szybko wyjdę. Nikt mnie nie zobaczy. Wrócę tu przed świtem.

– Powodzenia!

– Dzięki. Mam nadzieję, że jakieś szczególne szczęście nie będzie mi potrzebne. To prosta robota: włamanie, zabranie szkiców i wyjście. No, do zobaczenia.

Troy zwracał szczególną uwagę, czy ktoś go nie obserwuje, gdy okrężną drogą zbliżał się do domu McCullocha. Służący pułkownika nadal przebywali w barakach dla niewolników, a w samym domu panowała ciemność. Troy obserwował budynek ponad godzinę, lecz nie dostrzegł wewnątrz żadnego ruchu ani światła. Chmury co chwila przysłaniały i odsłaniały księżyc, a on patrząc w niebo, czekał, aż zapadnie całkowita ciemność, by bezgłośnie przysunąć się do frontowych drzwi. Bardzo szybko znalazł właściwy klucz i wślizgnął się do środka z rewolwerem gotowym do strzału. W domu wyczuwało się zapach kurzu. Kiedy Troy był już całkowicie pewny, że jest sam, wsunął broń za pas i zaczął przeszukiwać dom.

Sejf znalazł mniej więcej po godzinie. Nie był jakoś specjalnie ukryty, znajdował się w sypialni, do której Troy doszedł po przeszukaniu innych pokoi. Zaciągnął zasłony i dodatkowo zawiesił na oknach narzuty z łóżek, by na zewnątrz nie przeniknął najśłabszy nawet promień światła. Potem zapalił świece i zaczął wypróbowywać klucze w poszukiwaniu właściwego.

Na półkach sejfu zobaczył mnóstwo pieniędzy wzlocie i banknotach. Na dole znajdowała się mała, pojedyncza szufladka. Odetchnął z ulgą, kiedy otworzył ją i ujrzał równo poukładane szkice. Wyjął je z szuflady. Jego wzrok padł na niewielką książkę leżącą pod nimi. Zastanowił się, dlaczego

książka ta była tak cenna, że McCulloch ukrył ją razem z planami Stena w sejfie. Kiedy wziął ją do ręki i przeczytał tytuł, poczuł nagle na plecach lodowaty chłód.

Próba ogniowa Fletchera Pratta. Krótki zarys wojny secesyjnej – przewodnik McCullocha na drodze do zmiany historii. Pułkownik biorąc tę książkę ze sobą, był naprawdę szalony. Książka musiała być natychmiast zniszczona razem z planami. Ale w tym momencie coś zastanowiło Troya. Ciągle miał w uszach ostatnie słowa McCullocha: Kto to jest John Brown? Przerzucił szybko książkę, szukając na końcu indeksu nazwisk.

Nie znalazł żadnej wzmianki na temat ataku na Harper's Ferry. Nazwisko Johna Browna również nie pojawiło się w spisie.

Wszystko stało się nagle przeraźliwie jasne. McCulloch nigdy nie przejmował się szkołą i wzrósł w Missisipi, gdzie poziom edukacji był najniższy w całym kraju. Było całkiem możliwe, że w takiej szkole pułkownik nie słyszał w ogóle o Johnie Brownie, a jeśli nawet słyszał, to z pewnością zapomniał. Jego wiedza historyczna musiała być równa zeru. Wierzył tylko w abstrakcję, sen o starym Południu. Ale skoro chciał zmienić historię, musiał się dowiedzieć czegoś więcej o tej wojnie. Kupił więc to “dzieło”, które dla jego celów w zupełności wystarczało...

Jak na ironię przez dziwny kaprys losu, nieprzewidziany splot przyczynowo – skutkowy, kupił jedyną chyba historię wojny secesyjnej, która nic nie mówiła o Johnie Brownie i jego roli w tragicznych wydarzeniach ostatnich miesięcy przed wojną!

Nagłym, gwałtownym ruchem rąk Troy rozerwał książkę na dwie części. Brzydził się myślą, że ukoronowanie wysiłków wielu mądrych ludzi, wynalezienie wehikułu czasu, zostało użyte do tak podłych celów przez człowieka pokroju McCullocha. Dosyć tego! Sprawa została definitywnie zakończona i teraz jedyne, co mu pozostawało, to zapomnieć o niej. Zdjął podszewkę z poduszki i włożył do niej szkice i książkę, po czym wrócił do sejfu. Co zrobić z pieniędzmi? Nie było powodu, by je tu pozostawić. Przejałby je stan Wirginia i bez wątpienia użył do zasilenia funduszy na wojnę. Lepiej byłoby przekazać je abolicjonistom. Wsypał banknoty i złoto do podszewki i zamknął sejf.

Klucze ostatecznie wylądują w rzece, plany i książka spłoną w ogniu i będzie to koniec całej sprawy. Koniec McCullocha i jego paranoicznych zamiarów. Koniec wysiłków, by zapewnić lepszą przyszłość Konfederacji.

Ale zimne wiatry wojny wciąż wiały z przyszłości, przynosząc zapowiedź śmierci i zniszczeń, które miały być zapoczątkowane osiemnaście miesięcy później. Dla Troya oznaczało to dużo czasu na dopatrzenie, czy jego wysiłek nie poszedł na marne. Teraz, gdy wszystkie części łamięłówki pasowały już do siebie, jedyną rzeczą, którą miał jeszcze zrobić, było sporządzenie raportu dla ludzi czekających na niego w przyszłości.

ROZDZIAŁ 35

Dopiero kiedy dotarli bezpiecznie do Waszyngtonu, Troy poczuł, że napięcie zaczyna powoli opadać. Odpoczęli trochę w mieście, swobodnie wydając pieniądze McCullocha na nowe ubrania, wystawne jedzenie i picie. Troy spędził trzy dni nad raportem o wszystkim, co się wydarzyło do chwili, gdy przybył w ten odcinek czasu. Zawsze istniała możliwość, że raport może przypadkowo trafić w niepowołane ręce, więc starał się nie być zbyt precyzyjny. Kiedy pisał o McCullochu, używał inicjału M, a Stena nazywał po prostu bronią. Raport był bardzo szczegółowy i Troy odczuł dużą satysfakcję, kiedy skończył pisać i przeczytał to sprawozdanie. Spełnił swoją misję i pozostało mu tylko dostarczyć raport na miejsce. Podpisał go inicjałami T.H., opatrzył datą 5 listopada 1859 i starannie osuszył piaskiem atrament.

Próby z dmuchawką do szkła wykazały, że niemożliwe jest stopienie szyjki butelki bez zniszczenia papierów w środku. W związku z tym Troy schował raport do butelki po whisky, mocno zakręcił korek i zalał go kilkoma warstwami laku. Ale nadal jeszcze nie był zadowolony. Włożył butelkę do skrzynki wykonanej z grubego drewna, napełniwszy ją uprzednio roztopioną smołą. Kiedy smoła stwardniała, zamknął skrzynkę i przykręcił wieko śrubami.

Kiedy opuszczali miasto, kierując się na północ, był pogodny, ciepły dzień. Jesienne liście mieniły się złotymi barwami w gorących promieniach słońca. Troy dobrze oznakował miejsce, toteż krótko po południu dotarli do skały.

– Jeśli powiesz mi, co robisz, mogę ci pomóc – powiedział Shaw.

Troy pracowicie kopał dół tuż obok skały, wyrzucając w powietrze ziemię jak ryjący borsuk. Podniósł głowę, sapiąc i wycierając dłonią spocone czoło.

– W porządku, powiem ci, ale najpierw skończmy to. Chcę zdażyć wykopać ten dół, włożyć do niego skrzynię i zasypać ziemią, zanim ktoś nas zauważy. Ta skrzynia musi tutaj spokojnie leżeć bardzo długo.

Shaw wziął od Troya łopatę. Wykopanie dziury głębokości dwóch jardów nie zabrało im zbyt wiele czasu, gdyż ziemia była dość miękka i łopata wchodziła w nią bez trudu. Troy ostrożnie umieścił skrzynię na dnie dołu i patrząc na nią, miał wrażenie, że wygląda jak drewniana trumna. Trumna zawierająca marzenia McCullocha o niezależnym Południu. Troy wziął grudę ziemi i rzucił na skrzynię. Koniec McCullocha, koniec jego planów. Misja skończona, raport sporządzony.

Dosyć. Chwycił łopatę i zaczął zasypywać dół. Czarna ziemia pokryła skrzynkę, a po kilku minutach nie było śladu po dziurze. Troy wyrównał hałdę, wsypał pozostałą ziemię do dużego worka, który specjalnie w tym celu zabrał ze sobą. Kiedy udeptaną ziemię pokryli liśćmi, nie było już najmniejszego śladu ich pracy. Troy wskazał na wierzchołek granitowej skały.

– Przybyłem dokładnie w to miejsce. Ten kamień stoi tutaj od wielu wieków i będzie tak stał w przyszłości. Pewnego dnia zbudują na nim laboratorium i kilka budynków obok. Sporządziłem raport, leży teraz zakopany w ziemi. W ten sposób wykonałem zadanie.

– Masz na myśli, że kiedyś w przyszłości będą tutaj kopać? – Troy skinął głową. – Aby dowiedzieć się tego, co tutaj robiłeś? Dobry Boże, ależ z ciebie sumienny człowiek! Kiedy przeczytają ten raport, ty od dawna będziesz leżał w grobie.

– To nieważne. Zrobiłem to, co obiecałem. Wykonałem zadanie i dostarczyłem raport.

– Rozumiem, nie ma możliwości, byś wziął to pod pachę i zaniósł im osobiście,

– Nie, to podróż w jedną stronę. Wiedziałem o tym, kiedy się na nią decydowałem i niczego nie żałuję. Zrobiłem to, po co tu przybyłem. Myślę, że było warto.

– Nie mogę się dłużej z tobą zgadzać. Chociaż nie jestem pewien, czy stać by mnie było na coś

takiego, ale przecież twoja rola jest teraz skończona. Czy wiesz, co będziesz robił dalej?

– Oczywiście. Zamierzam opuścić Południe i pojechać na Północ, do Nowego Jorku. To moje rodzinne miasto i jestem ciekaw, jak ono teraz wygląda.

– Sodoma i Gomora – powiedział z niesmakiem Shaw. – To paskudne miejsce. To najbardziej zepsute i podłe miasto na całej kuli ziemskiej. Każdego roku są tam albo zamieszki, albo plagi.

– Brzmi swojsko – powiedział Troy. – Jadę to zobaczyć. Będziesz mi towarzyszył?

– Oczywiście. Nie planuję żadnej wyczerpującej pracy, dopóki nie zagoją się moje rany. Jeśli już mam dochodzić do zdrowia, to czemu nie robić tego, rozkoszując się trwonieniem mamony nad rzeką Hudson. Ale żadnych koni. Pojedziemy pociągiem.

To była powolna podróż, podczas której wszyscy i wszystko lepiło się od brudnego, tłustego popiołu wdzierającego się do wagonów przez drzwi i – okna. W Nowym Jorku nie mogli się doczekać, kiedy dorożka dotrze do hotelu i będą mogli wziąć gorącą kąpiel. Po trzech dniach nierobienia niczego poza długim wylegiwaniem się w łózkach i zjadaniem obfitych posiłków, Shaw doszedł do wniosku, że czuje się na tyle dobrze, by ponownie usiąść w siodle. Wypożyczyli konie ze stajni na Manhattanie i pojechali ulicą Houston na prom, który przewiózł ich przez East River. Troy był zdumiony, że z wyjątkiem braku mostów miasto było bardzo podobne do dwudziestowiecznego molocha. Nie było oczywiście żadnych drapaczy chmur ani samochodów, ale ulice i budynki na East Side były prawie takie same jak te, które pamiętał. Brooklyn był już mrowiskiem małych domów i dopiero w Queens zauważył istotne różnice. Domy były otoczone farmami i wąskimi wiejskimi drogami. Zatrzymali się na obiad w gospodzie Corona, po czym ruszyli w dalszą drogę.

Godzinę później Troy przystanął na wzgórzu i spojrzał na leżące w dolinie rozdroża Jamajki. Wszędzie były farmy, a za nimi pokryte sitowiem bagna. Jamaica Bay. Potrząsnął głową.

– Tutaj się urodziłem i wychowałem – powiedział. – Wszędzie były małe domy, tędy biegła trasa superekspresów Van Wyck, a wzdłuż Jamaica Avenue tory kolei nadziemnej.

– Jakiej?

– Nadziemnej. No wiesz, tory wiszące nad ziemią na stalowych podporach.

– To ciekawy pomysł.

– Hałaśliwy. W zimie jest cholernie zimno w przedziałach, kiedy na stacjach otwierają drzwi. Śnieg wlatuje do środka. Co ja tutaj robię, przyjacielu? To nie mój świat. – Przygnębiony wskoczył na konia i spał go ostrogami. – Wracajmy do gospody – powiedział. – Potrzebuję mocnego drinka.

Shaw pogalopował, by go dogonić, później zwolnili i jechali razem. Shaw spojrzał na Troya i zauważył, że ten patrzy gdzieś w dal i nie widzi drogi ani drzew, ale swój stracony świat, którego już nigdy nie miał odzyskać. Pochylił się i położył dłoń na jego ręce spoczywającej na łuku siodła. Troy spojrzał na niego oczami, z których biła niewiarygodna rozpacz. Później spróbował się uśmiechnąć i wydawało się, że powoli wracał do dziewiętnastego wieku.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Robbie, i cieszę się, że cię poznałem. Jedźmy na Manhattan i zabawmy się. Jakiś dobry lokal, gdzie można wypić kilka butelek wina, dobrze by nam zrobił. Później pójdziemy do teatru. Będziemy świętować i cieszyć się życiem, dopóki jeszcze możemy. Wkrótce będzie za późno. Śmiertelna, bratobójcza wojna rozedrze ten kraj na dwie części. Teraz chodźmy się bawić, a potem rozstaniemy się. Mam nadzieję, że jeszcze cię spotkam, ale nie wiem kiedy i gdzie.

– Brzmi to tak, jakbyśmy się nie mieli więcej zobaczyć. Co zamierzasz zrobić?

– To co umiem najlepiej. Spróbuję zaciągnąć się do wojska. Nadchodzi wojna i nic nie jest w stanie jej powstrzymać. Ty i inni abolicjoniści prowadziliście zimną wojnę z niewolnictwem, ale zbliża się ona już do końca. Niedługo wybuchnie prawdziwa wojna 5 upłynie bardzo dużo czasu,

zanim się skończy.

ROZDZIAŁ 36

1 lipca 1863.

Troy polał wrzącą wodą swoje ramię. Z początku ból był nie do zniesienia, ale potem woda obmyła zadaną szrapnelem ranę i ukazała się świeża krew. Rana nie była głęboka, lecz bardzo bolesna i musiał mocno zaciskać zęby, gdy ją oczyszczał. Nie miał już antybiotyków, którymi dzielił się z rannymi w ciągu lat wojennych, i wrzątek musiał mu wystarczyć. Wygotował również bandaże i dokładnie obwiązał nimi ramię. Po ostatniej bitwie czuł się doszczętnie wyczerpany. Z bezwładnymi prawie rękami ułożonymi na kolanach oparł się plecami o drzewo i zamknął oczy. Stracił już rozeznanie między snem i jawą, a wspomnienia z przeszłości i teraźniejszości zlewały mu się w jeden groteskowy wzór.

Jak szybko i jak zarazem wolno minęły te lata. Tyle wydarzyło się od momentu pożegnania z Robbie'em Shawem w Nowym Jorku. Troy szybko zorientował się, że jego pomysł wstąpienia do armii może napotkać wiele przeszkód, gdyż czarnych nie przyjmowano z otwartymi ramionami, chyba że jako służących lub do kopania rowów. Troy nie mógł się z tym pogodzić i po roku ciężkiej pracy za pomocą pieniędzy McCullocha zorganizował w Bostonie pierwszy batalion składający się z czarnych: Pierwszy Regiment Murzyńskich Ochotników z Massachusetts. By tego dokonać, wydał tyle samo na łapówki dla władz miejskich, ile na wyposażenie regimentu. Ale ostatecznie udało się i to miało dla niego największą wartość. Kiedy nadeszła wojna, on i jego żołnierze byli gotowi i walczyli jak lwy, a gdy przychodziło im ginąć, umierali równie odważnie. Nie brakło też coraz to nowych ochotników i w niewiele więcej niż dwa lata, gdy ponad połowa żołnierzy zginęła, zastąpiono ich nowymi siłami. Troy pomyślał o tych, którzy zginęli; o ich twarzach rozpluwających mu się w pamięci i prawie zapomnianych już nazwiskach. Pokiwał głową na pół przytomny od myśli, które krążyły jak oszalałe w jego głowie.

– Sierzancie, przyniosłem trochę konserwy. Głównie fasola, ale może doszuka się pan jakichś kawałków królika.

Głos żołnierza wybił Troya z zamyślenia. Spojrzał w górę, zamrugał i ujrzał uśmiechniętego wojaka z brakującą połową uzębienia. Odwzajemnił uśmiech i wyjął z kieszeni łyżkę, po czym przyjął menażkę z jedzeniem.

– Dzięki, Luther.

Jego zmęczenie było tak wielkie, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest nie tylko wyczerpany, ale i głodny.

Wziął do ust pełną łyżkę. Wspaniałe. Kiedy to jadł ostatnio? Jego pamięć, w której pozostały tylko urywki walk, nie mogła udzielić mu odpowiedzi. Wiedział tylko, że jadł tamtego dnia suchary i popijał kawą. Od tego momentu były już tylko kule świstające dookoła głowy, na które zbytnio nie miał apetytu.

Wieczór był ciepły i ciemny, Troy widział tylko obóz armii Unii na zboczu wzgórza. Nikłe światelka rozpościerały się między flankami Cemetery Ridge. Ci, którzy przeżyli dzisiejszą bitwę, gromadzili się wyczerpani wokół ognisk, gotowali posiłek i starali się nie myśleć o tym, co może przynieść następny dzień. Siedzieli zwrócenii plecami ku ciemności, w której daleko pobłyskiwały światelka linii armii Konfederacji. Było ich niezmiernie dużo i rozciągały się szeroko, otaczając Gettysburg, małe miasteczko w Pensylwanii.

Lis rebelii, generał Robert E. Lee, ciągle jeszcze żył i atakował. Teraz lis ten znajdował się w zagrodzie dla kurcząt. Kierując się na północ, zdołał przenieść wojnę na terytorium nieprzyjaciela. Wraz z osiemdziesięcio – tysięczną armią minął Waszyngton, dotarł do Pensylwanii, gdzie został

wprawdzie powstrzymany pod Gettysburgiem, ale nie pokonany. Zwolennicy Unii walczyli przez cały dzień pod zmasowanym ogniem konfederatów i naporem następujących po sobie wściekłych ataków żołnierzy w szarych mundurach. Ale wytrzymali, i to na całej linii, jak dowiedział się Troy z raportów. Dla niego najważniejszy był jednak odcinek pola bitwy pomiędzy wzgórzami i dolinami, gdzie jego żołnierze wytrzymali, walczyli i zwyciężyli.

Nie byli lepsi niż cała reszta żołnierzy, ale zwycięstwem było utrzymanie pozycji. Ten sukces był dla nich rodzajem nobilitacji, bo do tego momentu biali żołnierze Unii nie wierzyli, że czarni nie uciekną.

Nie uciekli zresztą od początku wojny, ale wytrwale stali w ogniu wymierzonym przez Konfederację. Nie ugięli się przed strzelbami, bagnietami, dyzenterią i innymi chorobami, a nawet przed oficerami i pogardliwie mierzącymi ich wzrokiem białymi żołnierzami.

Troy skończył jeść, wyskrobał menażkę, oblizał łyżkę i schował ją z powrotem do kieszeni. Wszystko było już w porządku: ranni na tyłach, pożywienie rozdzielone, manierki pełne. Troy czuł, że zrobił dla swoich żołnierzy wszystko i zabrał się do przeglądania własnego sprzętu.

Najpierw jednak rozpiął kieszonkę na piersi i wyjął fotografię, z której uśmiechała się do niego Lily. Z rozrzwinięciem pomyślał o miłości, jaką go darzyła; oderwał kawałek tkaniny, owiązał nim zdjęcie i schował z powrotem.

Kiedy zajął się czyszczeniem strzelby, podbiegł do niego posłaniec.

– Kapitan prosi pana do kantyny, sierżancie.

– Już idę – powiedział Troy i zwrócił się do kaprała siedzącego naprzeciw: – Skończ to za mnie, Hank, dobrze?

– To cię będzie kosztowało pięć dolców – odrzekł kapral.

– Dobra, zapłacę po wojnie.

Hank był wspaniałym facetem – zresztą oni wszyscy byli wspaniali. Troy poprosił go tylko z czystej uprzejmości, gdyż kapral i tak zrobiłby to dla niego. Cały batalion stanowił jedną rodzinę, najlepszy oddział w jakim do tej pory służył. Byli dla siebie jak bracia. Troy poprawił mundur, zapiął wszystkie guziki i otrzepał z kurzu swoje dystynkcje, po czym skierował się do stojącego w cieniu namiotu.

Zawsze myślał o kantynach jako o połączeniu tego, czego wymagała Komisja Sanitarna Armii Stanów Zjednoczonych i Czerwony Krzyż. Kantyny służyły za miejsca opieki nad rannymi, załatwiały sprawy emerytur i żołdu, a nawet dostarczały przedmiotów osobistego użytku, takich jak mydło czy igły, co pozwalało żołnierzom znieść życie obozowe. I jeśli nawet Troy myślał, że to wstyd, iż kantyn nie utrzymuje rząd tylko organizacje dobroczynne, nie mówił tego głośno. Kantyny były tam, gdzie potrzebowali ich jego ludzie i tylko to się liczyło.

Wszedł do namiotu i zsalutował. Kapitan odsalutował i Troy mógł przyjrzeć się przybyłym gościom. Byli nimi siwowłosa mężczyzna i starsza kobieta.

– Sierżancie Harmon, to są przedstawiciele Komisji Sanitarnej z Bostonu – powiedział kapitan.

– Specjalnie dla naszego batalionu zebrali pokaźną sumę pieniędzy, za co jesteśmy im niezmiernie zobowiązani. Opuszczają nas już wkrótce, ale chcieliby jeszcze porozmawiać z kilkoma naszymi ludźmi.

– Jestem nieco zmęczona – powiedziała kobieta. Miała ponad osiemdziesiąt lat i siwe włosy. Troy pomyślał, że po dniu spędzonym w pociągu nikt nie mógł czuć się wypoczęty. – Jeżeli panowie pozwolicie, to posiedzę tu, aż nie nadejdzie czas odjazdu. Jeśli zgodzi się pan, kapitanie, pozostawić tu sierżanta, jestem pewna, że udzieli mi wyczerpujących odpowiedzi na pytania, które chciałabym mu zadać.

– Oczywiście – odparł kapitan. – Zostańcie tu, sierżancie, my niedługo wrócimy.

Podniósł płachtę namiotu i przepuścił drugiego gościa przed sobą.

– Proszę usiąść, sierżancie Harmon – powiedziała kobieta. – Mamy dużo spraw do omówienia i bardzo niewiele czasu.

– Tak jest, proszę pani.

Troy przysunął sobie krzesło. Chciał skrócić rozmowę do minimum i wrócić do swoich ludzi. Miał jeszcze wiele do zrobienia przed świtem.

– Pamiętasz mnie, Troy? – zapytała kobieta. Jej słowa poruszyły jakąś strunę w jego pamięci.

Przyjrzał się jej dokładniej.

– Przykro mi, proszę pani. Pani twarz wydaje mi się znajoma, ale nie wiem skąd.

– Z Waszyngtonu – powiedziała, uśmiechając się. – Jestem trochę starsza, ale to ciągle ja. Roxanne Delcourt.

Te słowa przeszły go do szpiku kości. Zachwiał się na krześle. Doktor Roxanne Delcourt! Gość z innego świata, czasu i wieku. W natłoku wydarzeń i bitew jego myśli odleciały z Waszyngtonu; zaadaptował się w tym świecie i zapomniał, że przybył tu z przyszłości.

– Roxanne, niech mnie... To ty!

– Tak, może nie taka nastolatka, jaką znałeś, ale to ja. Mam teraz osiemdziesiąt pięć lat, ale te nowe lekarstwa...

– Ale ty nie możesz mieć tyle lat. Pamiętam dobrze, że masz około pięćdziesięciu. Nie rozumiem. Co ty tu w ogóle robisz i jak mnie znalazłaś?

Pytania cisnęły mu się z taką prędkością, z jaką wracały wspomnienia odległego świata, w którym kiedyś żył. Waszyngton, laboratorium przy zjeździe z Beltway i maszyna, która wysłała go tutaj... Nie myślał o tym wszystkim od dawna. Wojna, walka o przeżycie swoje i swoich ludzi nie pozwalały myśleć o niczym innym. Dopiero widok Roxanne przywrócił mu pamięć o tym, co się wydarzyło.

– Co ty tu robisz teraz? – powoził pytanie. – Twoja obecność nie może być przypadkowa. I twój wiek... Wybacz, ale to dla mnie zbyt wielki szok.

Skinęła głową.

– Przykro mi, że stało się to tak nagle, ale to był jedyne sposób, gdyż nie mogę tu dłużej zostać. Opowiem ci najpierw, co się stało po twoim opuszczeniu naszego czasu. Już następnego dnia rozpoczęliśmy poszukiwania twojego raportu i wykopaliśmy go. Nie da się opisać, jakie wrażenie wywarł na nas widok starodawnej skrzyni, pożółkłego papieru i wyblakłego pisma. To chyba właśnie wtedy doszliśmy do wniosku, że musimy coś dla ciebie zrobić i zaczęliśmy pracować. Nawet admirał Colonne, teraz już na emeryturze, pomagał nam z całych sił. Przesyła ci życzenia wszystkiego najlepszego. Bob Kleiman kazał cię pozdrowić, kiedy się zobaczymy. To on miał tu przybyć, nie ja. – Po jej twarzy przebiegł cień. – Dziesięć lat temu zmarł na raka. Możemy chyba mówić o tym okresie jako o czasie subiektywnym, prawda?

Jej twarz straciła na chwilę wyraz ożywienia.

– Roxanne – powiedział Troy miękko – dziękuję, że przybyłaś i dziękuję za troskę o mnie.

Zmrużyła oczy i udało jej się ponownie uśmiechnąć.

– Ktoś przecież musiał zatroszczyć się o ciebie. Po twoim wyruszeniu w podróż badania trwały dalej. Tajemnicy dochowywano przez cały czas, ale ludzi w rządzie przerażały możliwości wynikające ze zdolności naszej maszyny i mieliśmy związane ręce. Nie wiedzieli, co z nami zrobić. Najsurowsze restrykcje przyszły po wojnie jednodniowej, kiedy dowiedzieli się o wyczynach McCullocha. Zakazali nam prowadzenia dalszych badań i mogliśmy do nich powrócić dopiero po

dziesięciu latach. Pracowaliśmy nad udoskonaleniem maszyny prawie trzydzieści lat. Dziwnie to brzmi. W moim czasie trzydzieści lat, a tu tylko pięć. Ale udało nam się ją tak skonstruować, że możemy cofać się w przeszłość i wracać z niej.

Troyowi przeszło już zaskoczenie i zaczynał sobie zdawać sprawę, co osiągnęli Roxanne i jej zespół. Zaczynał też rozumieć, po co Roxanne przybyła do niego.

– Czy to znaczy...?

– Tak. – Jej głos brzmiał tak cicho, że ledwo go słyszał. – Przyjechałam, by zabrać cię do domu, Troy. To możliwe. To nie jest już podróż w jedną stronę.

Troy wstał i zaczął przechadzać się po namiocie, nie mogąc usiedzieć w jednym miejscu. To niemożliwe, to nie mogło się wydarzyć. Jednak się wydarzyło. Czy to prawda? Odwrócił się do Roxanne.

– Wrócić? Do kiedy? Do czasu, który opuściłem, czy trochę później?

Potrząsnęła głową ze smutkiem.

– Nie, to niemożliwe, a nawet jeśli tak, to nie odważyliśmy się na razie przeprowadzać takich eksperymentów. Mimo wysiłków nie znamy jeszcze prawdziwej natury czasu. Mówiłam ci, że doskonaliliśmy maszynę przez trzydzieści lat, w ciągu których nie wróciłeś, bo po prostu nie mogłeś. Maszyna nie była gotowa. Ale teraz możemy wrócić razem. Świat roku dwa tysiące piętnastego nie jest taki zły, choć trochę się zmienił.

2015. Niewyobrazalna data. Co to za świat? Nie chciał się tego dowiadywać i powiedział jej to.

– To już nie mój świat. Teraz, kiedy tu przybyłaś, zdaję sobie sprawę, że świat, który opuściłem, zniknął dla mnie na zawsze. Nigdy już go nie ujrzę i nie jestem pewien, czybym tego chciał. Nie mogę przecież przyjść na świat na długo po swojej śmierci. To długi czas od momentu, w którym jesteśmy i dla ciebie będzie odległą przeszłością, kiedy powrócisz. Nie zrozum mnie źle; jestem ci wdzięczny za twoje przybycie i chęć pomocy, ale zaczynam sobie zdawać sprawę, że mój świat jest tutaj. Ci ludzie to moi ludzie. Powinnaś ich poznać. Są biedni, ale dumni. Mniej niż połowa z nich umie czytać i pisać, a jeden pamięta jeszcze Afrykę i to, jak go porwali łapacze niewolników. Oni są teraz częścią mnie. Jestem ci wdzięczny za trud, jaki podjęłaś, ale świat, w którym żyjesz, nie jest moją rzeczywistością. Ci ludzie mnie potrzebują i zaczynam sobie zdawać sprawę, że ja ich również. – Jego twarz pociemniała. – Nie mógłbym ich teraz opuścić, będziemy się jutro nawzajem potrzebować. To przecież wielka bitwa, punkt zwrotny całej wojny i my musimy ich pokonać. Południe nigdy już nie powstanie i nie odzyska swej potęgi. Dlatego właśnie ta bitwa jest taka ważna. Rozumiesz to?

Roxanne skinęła głową i otworzyła torebkę.

– Byliśmy tego prawie pewni, kiedy przygotowaliśmy moją podróż. Wiemy, jakim człowiekiem jesteś, Troy, i wiemy, co zrobiłeś, przybывая tu bez nadziei powrotu. Dlatego też musieliśmy to zrobić, musieliśmy dać ci szansę. Nie jesteś ciekaw, jak cię znaleźliśmy?

– Nawet bardzo. Nie wspomniałaś o tym do tej pory. Znaleźliście w archiwach wojskowych?

Potrząsnęła głową i wyjęła zwiniętą kartkę papieru.

– Nie, archiwa nic nam nie pomogły. Ale wiedzieliśmy, gdzie byłeś i tę drogę obraliśmy. W raporcie napisałeś, że wracasz do armii. Wiesz chyba, że ta wojna doczekała się najlepszych opracowań, prawda?

– Podała mu kartkę. – To fotokopia strony jednej : książek o regimentach murzyńskich. Przeczytaj to dowiesz się, dlaczego tu przybyłam.

Troy wziął kartkę i wolno przeczytał słowa z przyszłości o terażniejszości. W miarę jak czytał,

czuł, że serce bije mu coraz mocniej.

...punkt zwrotny całej wojny. Bitwa trwała trzy dni i regimenty murzyńskie ucierpiały najmocniej, ale utrzymały swoje pozycje. Stało się tak głównie dzięki iierzantowi – majorowi Hormonowi, który przeprowadził kontratak na Culp's Hill, co zaważyło na pomyślnym przebiegu bitwy. Bitwa została wygrana, ale sierżant Hormon został śmiertelnie ranny i zmarł...

Spoconymi rękami wyjął z kieszeni pudełko zapalek, zapalił jedną i przyłożył do brzegu kartki. Trzymał papier w dłoni, aż zajął się cały i dopiero wtedy rzucił na ziemię.

– Nie każdy może przeczytać swój własny nekrolog – powiedział urywanym głosem i wdeptał obcasem popioły w ziemię.

– Ale to się nie musi tak skończyć – powiedziała Roxanne. – Jedź ze mną tej nocy, wszystko jest gotowe. Nie musisz umierać.

– Doprawdy? Przecież tak napisano. Nie chcesz chyba tworzyć paradoksów czasu?

– Sama nie wiem. Przecież McCulloch przybył tu z przeszłości i nie wydaje mi się, by coś się zmieniło. Troy, błagam cię, nie zostawaj tu, by umrzeć. Jedź ze mną...

– Nie, Roxanne, wiesz, że nie mogę tego zrobić. To byłaby dezercja. Nawet jeśli wiem, że zginę, nie zostawię tych ludzi. Nie prosź mnie o to. I nie płacz.

– A płacę? Chyba tak. – Uśmiechnęła się i otarła chusteczką oczy. – Przez cały czas byłam pewna, że to powiesz. Naprawdę jesteś kimś, Troy. Dwa razy postąpiłeś tak, że jestem dumna, iż należę do rodzaju ludzkiego.

Stali obok siebie, trzymając się za ręce.

– Nie martw się – powiedział. – Jedź do domu i pamiętaj o naszym spotkaniu, a jeśli maszyna jest naprawdę coś warta, może spotkamy się jeszcze raz i opowiesz mi wtedy, że wszystko się udało.

– Usłyszeli głosy ludzi zbliżających się do namiotu.

– Nie chcę, byś za bardzo się tym przejmowała. Twoja książka nie musi być prawdziwa. Historię można zmienić.

– Nie rozumiem...

– Zapomnijmy o moim raporcie i pomyślmy o książkach do historii, z których uczyłaś się w szkole. Pamiętasz atak na Harper's Feny? – Skinęła głową.

– Co mówiła o tym twoja książka? Że ci z atakujących, którzy przeżyli, zostali pojmani i skazani na śmierć, prawda? – Potaknęła ponownie. – Czy pamiętasz również, co stało się z fabryką broni Hall's Rifle Works?

– Tą, która wyleciała w powietrze podczas ataku? Oczywiście. Gdy przeczytaliśmy twój raport, zdaliśmy sobie sprawę, że to dzięki tobie. Wybuch zniweczył plany McCullocha raz na zawsze.

– Tak, ale i ja pamiętam te książki, jestem przecież historykiem i znam dokładnie wszystkie daty. Pamiętam, że książki podawały, że w Harper's Feny nic złego się nie stało. Atakujący zostali wyłapani, a fabryka pozostała nietknięta. To historia, jaką pamiętam. Jest jeszcze coś. Zużytkowałem pieniądze McCullocha na zorganizowanie batalionu murzyńskiego w rok przed początkiem wojny. Pułkownikowi pewnie by się to nie spodobało. A moje książki podają, że wówczas nie było w ogóle takich batalionów. Zaczęto je tworzyć kilka lat po wybuchu wojny.

Puściła nagle jego ręce i uniosła dłonie do skroni, po czym spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Z tego co mówisz, wynika, że twoje przybycie zmieniło historię. To oznacza, że teoria alternatywnych światów musi być prawdziwa. Zdarzenia zachodzące w jednym czasie powodują jego rozgałęzienie na równoległe, alternatywne światy.

– Racja. – Uśmiechnął się szeroko. – Z tego wynika, że nie powinniśmy ścisnąć się za ręce jak

starzy przyjaciele, gdyż nigdy dotąd się nie spotkaliśmy. Pochodzimy z różnych czasów. Ja z takiego, w którym nie było batalionów murzyńskich na początku wojny. Ale tutaj to nieprawda. W moim czasie atak na Harper's Feny nie spowodował żadnych zniszczeń. Co oznacza, że nie dostaliście nigdy mojego raportu i to, co wykopaliście pod kamieniem, nigdy nie istniało. Ale w twoim świecie fabryka broni wyleciała w powietrze i znaleźliście raport. I dlatego ja przybyłem tu z równoległego świata, który nie jest twoim, i to czyni nas obcymi aż do tej chwili. Uśmiechnęła się do niego.

– To znaczy, że wcale nie musisz jutro zginąć. Moje przybycie tu i powiedzenie ci o tym mogło zmienić historię.

– Nie mogło, ale naprawdę zmieniło. Zostałem ostrzeżony i będę się cholernie starał pozostać przy życiu.

– Mimo to możesz jednak zginąć...

– Tak, istnieje taka możliwość. W czasie tej wojny każdy z nas codziennie staje twarzą w twarz ze śmiercią. Taka możliwość zaistniała, gdy zużyłem wszystkie moje antybiotyki, zostałem ranny, a mimo to przeżyłem. Istnieje więc prawdopodobieństwo, że doczekam końca tej wojny, a przynajmniej mam taką nadzieję. Zresztą podoba mi się tu. I chociaż dzieje się wiele okropności, to mimo wszystko jest to mój świat. Chcę zobaczyć koniec wojny i żyć w czasach pokoju, które po niej nastąpią.

Płachta namiotu odsunęła się i wszedł kapitan.

– Muszę już wracać do moich ludzi, panie kapitanie – powiedział Troy.

– Tak, wiem. Czy pani Delcourt dowiedziała się już wszystkiego?

– Tak, kapitanie, dziękuję bardzo. Rozmowa z sierżantem wyjaśniła mi wiele rzeczy. Opowiedział mi dużo o tym, co tu robicie, i pozostaje mi tylko zdać innym sprawę z waszych wysiłków i sukcesów.

– Dziękuję pani – powiedział Troy. – Proszę podziękować wszystkim za to, co uczynili.

– Tak, sierżancie, może mi pan wierzyć, że na pewno to zrobię.

Troy zasalutował, odwrócił się i po chwili wtopił w nocne ciemności. Gwiazdy świeciły na niebie jasnym światłem, a poniżej widoczne były rozproszone ogniska obozowe. Był rok 1863 i pomimo wojny i groźby śmierci był to dobry czas.

Troy pogwizdywał radośnie, gdy szedł z powrotem do swoich żołnierzy.

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA..	1
ROZDZIAŁ 1.	3
ROZDZIAŁ 2.	8
ROZDZIAŁ 3.	15
ROZDZIAŁ 4.	21
ROZDZIAŁ 5.	25
ROZDZIAŁ 6.	30
ROZDZIAŁ 7.	35
ROZDZIAŁ 8.	41
ROZDZIAŁ 9.	47
ROZDZIAŁ 10.	53
ROZDZIAŁ 11.	57
ROZDZIAŁ 12.	62
ROZDZIAŁ 13.	67
ROZDZIAŁ 14.	73
ROZDZIAŁ 15.	80
ROZDZIAŁ 16.	86
ROZDZIAŁ 17.	91
ROZDZIAŁ 18.	97
ROZDZIAŁ 19.	103
ROZDZIAŁ 20.	107
ROZDZIAŁ 21.	112
ROZDZIAŁ 22.	117
ROZDZIAŁ 23.	122
ROZDZIAŁ 24.	128
ROZDZIAŁ 25.	133
ROZDZIAŁ 26.	139
ROZDZIAŁ 27.	145
ROZDZIAŁ 28.	149
ROZDZIAŁ 29.	155
ROZDZIAŁ 30.	161
ROZDZIAŁ 31.	165
ROZDZIAŁ 32.	169
ROZDZIAŁ 33.	174
ROZDZIAŁ 34.	178
ROZDZIAŁ 35.	184
ROZDZIAŁ 36.	187